



26

Wanke



1092

LEPSZE DOBRE IMIĘ, NIŻLI MAŚCIE DROGIE.

<http://rcin.org.pl>

PIOTR JAXA BYKOWSKI.

---

LEPSZE DOBRE IMIĘ,  
NIŻLI MAŚCIĘ DROGIE.

HISTORIA

STARÉJ BRAMY ZAMKOWÉJ.

DWIE CZĘŚCI W JEDNYM TOMIE.

*Bydostem*  
*S.P.*

WARSZAWA.

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

—  
1883.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

<http://rcin.org.pl>

ul. Towary Szuki Nr 72

01-200 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

996



Дозволено Цензурою.

Вршаса, 2 Июня 1883 года.

434.

---

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 3.

<http://rcin.org.pl>



Do

WŁADYSŁAWA POBÓG  
GÓRSKIEGO.

*Kochany Władysławie!*

*Rok bieżący 1883, jest jubileuszowym pół-wiekowej naszej znajomości, a następnie koleżeństwa szkolnego i rzetelnej, niezamąconej żadną rozterką, przyjaźni. Pozwolisz zatem, iż erę pamiętną w mojem życiu, na téj karcie zapisując, przeszłę ci serdeczne uściśnienie starego, a wiernego druha.*

*Piotr Jaxa Bykowski.*

LIBRARY FOR  
G-18-188

## CZEŚĆ PIERWSZA.

### I.

#### Niedobitki.

Kiedy melduję panu pułkownikowi, że już wi-  
dać Leliwitów.

— Czy podobna? O, Boże, jakeś jest miło-  
sierny! — ozwał się inny głos, głęboko wzruszo-  
ny—ale czy tylko nie mylisz się, wachmistrzu?

— Melduję panu pułkownikowi, że widzę do-  
kumentnie, jak z poza lasu przegląda kopuła  
naszego kościoła, a nawet lepiej będę miał ho-  
nor zameldować, że zostawiliśmy ją czerwoniut-  
ką, jak dziewczynę w wianeczku kaliny, a te-  
raz już porządnie się przetarła i miejscami bla-  
cha bieleje... Może pan pułkownik sam zechce  
się przyjrzeć, ot tu, tak proszę patrzeć, jak te  
krzaczki leszczyny... o, o, nawet krzyżyk się wy-  
chyła...

*Lepsze dobre imię, niżli maście drogie.*

1

I mówiący posuwał palcem, wskazując przedmiot poszukiwany.

— Wiesz przecie, mój dobr wachmistrzu, że mi Bóg odebrał to szczęście oglądania rodzinnej ziemi i wszystkich na niej drogich istot, ale pozostawił mi serce gorące, które kochać i czuć umie, a silnie uderzy do wszystkiego, co swoje... Ach! spieszmy! spieszmy!...

Odpowiedział głos, w którym lży gęsto się czuć dawały.

— Ach, ośła głowo, kiedyż nakoniec mieć będziesz rozum, tom do dyabła spisał się, jakbym wyrzucał pułkownikowi jego nieszczęśliwe kalectwo! A bodaj-że mnie profos połknął (co było jego pogadanką, szczególnie, gdy się gniewał)—mrucał w złości wachmistrz, szarpiąc nie- miłosiernie sumiastego wąsa.

Nastąpiło milczenie, z którego korzystając, poznajmy się bliżej z mówiącymi: ów szarpiący sumiastego wąsa wachmistrz, był *re et nomine* stary wiarus, którego równie dobrze zwał Francuzi „vieux troupier;” twarz miał piękną, szlachetną, obok nieodstępного marsa wojowniczego, pełną dobroduszości i jakićś dziecinną prostoty, siędy i tędy pokiereszowaną bliznami, jakby kto na niej kartę geograficzną rysował. Nic odrębnego nie znalazłeś w całej jego postawie, pospolitej wojackiej z onego czasu, co to *ab uno disce omnes;* a prawda, to chyba wyróżnienie, że nie miał jednej nogi, którą grubem, a ciężkiem,

niezręcznie ostruganem szczudłem, zastępował; aliści, gdybyś widział zdaleka staruszka, bo już dobrze podszpakowaciał, jak był ruchawy, zwinny, żywy, skaczący prawie, jak młode chłopię, ani byś podejrzewał tego kalectwa. Wszelkie ruchy miał czysto wojskowe, na tempa musztry podzielone, a snać weszło mu to w naturę, bo na przestrzeganie ich nie wysiłał się wcale. Odziany był... ale tu sęk, jak opisać tę odzież, złożoną z przeróżnych strzępków i łachmanów, którymby nazwy odszukać trudno było; charakter, nibytęj odzieży, zdradzał pretensją munduru wojskowego, wszystko tam było obciśnięte, przypasowane należycie, ale z drugiej strony złożone z rozmaitych różnobarwnych i różnogatunkowych kawałków, to sukna, to płótna, nakoniec skóry — słowem wszystkiego, co Bóg dał, zeszywanego do kupy.

Główna wojskowość stroju tego zawierała się w kilku świecących guzikach, starannie oczyszczonych, furażerce fantastycznie na bakier od lewego ucha włożonej, a najbardziej w dwóch krzyżach na piersi, obydwóch białych, z których jeden srebrny, zawieszony na niebieskiej wstędze, a drugi emaliowany na czerwonej. Te jedynie oznaki świadczyły dowodnie, iż noszący je, nie był prostym żebrakiem, jakby wnosić można z okrywających go łachmanów, a do tego sakwy dużej płóciennój, przewieszonój przez plecy, i brody, dawno niegolonój, która mu już dobrze porosła.

Poznaliśmy tedy pana wachmistrza, który do-  
tąd jeszcze nie przestał karcić się za mimowolną  
przykrość, sprawioną panu pułkownikowi; to kar-  
cenie przy stośowném pomrukiwaniu, zawierało  
się w szarpaniu wąsów, brody, uszów, nosa,  
wreszcie siwój, a gęstój czupryny, wrywającej  
się gwałtem z pod furażerki.

Przez ten czas inny podróżny, zwany „pułko-  
wnikiem,” stanąwszy na miejscu, na którem go  
wachmistrz postawił, zdawał się wpatrywać w dal  
sobie wskazaną, a widocznie był wzruszony, bo  
ręce wznosił ku niebu, a pierś jego podejmując  
się, to opadając, świadczyła o żywej grze uczuć  
w niej zawartych. Lecz nieszczęsny spoglądał  
tylko „oczyma duszy,” jak mówi poeta, bo wzrok  
miał nazawsze zasłonięty.

Był to mąż w sile wieku, zaledwie może cztery  
krzyżyki życia przekroczył, a lubo znużony po-  
dróżą, miał w twarzy coś imponującego, pewną,  
(że tak powiem, ucziwszy uszy demokratów),  
szlachetność w rysach i całej postawie, znamio-  
nującą, iż przyszedł na świat dla rozkazywania  
i przewodniczenia innym. Dolna część twarzy  
różowe wargi, nieposzlakowanej białości zęby,  
wąs kruczy czarny, jak u wachmistrza, dowo-  
dnie świadczyły, iż natura obdarzyła go wspa-  
niałą powierzchownością; ruchy zaś swobodne,  
postawa wzniosła i kształtna, przyczyniały się  
do utworzenia tej imponującej całości. Głową  
tylko, czoło i oczy, obwiązane szmatą okrwawio-

na, świadczyły o smutném kalectwie ślepoty, toż kilka miejsc na twarzy, osmolonych prochem i noszących na sobie ślady ciężkiej rany.

O ile wachmistrz trząśł biedak lachmanami, pułkownik w porównaniu z nim był, można powiedzieć, wytwornie odziany; miał na sobie mundur ułański, lśniący od czystości, wprowadzie tu i ówdzie polatany, ale łatką jednobarwną, starannie przyszytą, w szlifach polyskujących promienie słońca, odbijały się, jak w zwierciadłach, cały ubiór leżał na nim gładko i zdradzał widoczne o nim staranie, a ktoś widzący go zdaleka, nie odgadłby w nim podróznego, lecz raczej oficera, dążącego na rewjã, lub paradę wojskową. Dwa krzyżyki na piersi takie same, jak u wachmistrza, różniły się tylko staranniejszẽm wykończeniem i czystościã bez najmniejszego zarzutu.

Po dłużej zadumie, ozwał się on łagodnie, z pewną rubasznością, a nawet dobrym humorem:

— Wachmistrzu, co wy tam mruzcycie, czy odmawiasz pacierze?...

— Za pozwoleniem pana pułkownika, ja to ośmielam się meldować sam sobie, czemu to nie ma tu pod rękã kurdygardy?...

Odparł wachmistrz, wyprężony, jak struna, przykładając rękę do furażerki, czego nigdy nie niechał, ile razy przemawiał do pułkownika, lubo on biedak tego objawu subordynacyi widziẽć nie mógł.

— A cóżby ci, stary, przyszło z kurdygardy?—wtrącił pułkownik z uśmiechem.

— Ano mam honor zameldować, że kazałbym się wsadzić na dwadzieścia cztery godziny na chleb i wodę, a nawet odliczyć sobie z 50 fuchłów... Bodaj-że mnie *profos połknął!*...

Na te oryginalne wystąpienie, pułkownik rozśmiał się na całe gardło szczerym, nieudanym śmiechem, i zawołał:

— Cha! cha! a to za co?

Zmieszał się stary wachmistrz i znów wąsy z nosem były w robocie, a nie umiał na razie odpowiedzieć na pytanie, tylko karcąc się na nowo, mruczał do siebie:

— A bodaj-że mnie *profos połknął*, znów się z głupstwem wyrwałem.

— Czy odpowiesz dzisiaj, za co to ma cię *profos* polykać?

Pytał uśmiechnięty pułkownik, udając surowość wojskową.

Biedny wachmistrz, wyprężony do największej możności, dusząc stare czoło kulakiem na znak salutacyi, bełkotał piąte przez dziesiąte:

— To jest, meldując panu pułkownikowi wedle subordynacyi, co to jest z ordonansu śmiejem raportować... bodaj mnie *profos*... żem się wyrwał z głupstwem, co dotyczące jest niedyspozyceyi wzroku pana pułkownika...

— Stary, pocziwy Pawle, jaki ty głupi, czyż to myślisz sobie, żem ja zawsze dawny ten pa-



niezyk, coś to go huśtał i piastował, żebyś mnie bredniami pocieszał?... Ba! komu Bóg pozwolił złożyć co na ofiarę na ołtarzu dobrej sprawy, to tём lepiej... poszło wiele, poszły i oczy, a umarłych z grobu nie wracają...

Nie bez pewnego wzruszenia w głosie wypowiedział pułkownik, a tak zakończył:

— Ano teraz, stary, pocałuj mię, jak to niegdyś swojego małego Stasia.

Wachmistrz, z rozwartemi ramiony, ruszył się z miejsca, tak mu snać pilno było ten miły rozkaz wykonać, lecz w połowie drogi, nagle zesztyniał, stanął wyprężony, rękę do furazerki przyłożył i widocznie serce go rwało do młodzieńca, a subordynacya na miejscu skowiała.

Pułkownik, jakby oczekując uścisku, posuwał się zwolna z miejsca i twarz nastawiał.

— A cóż, wachmistrzu, nie słyszałeś?—rzekł z udaną surowością.

— Mam honor meldować panu pułkownikowi, co do dyscypliny, subordynacyi i względem karności wojskowej.

Jąkał stary z miejsca, zakłopotany, widocznie chęć serca hamując.

Pułkownik się rozśmiał i począł głosem komendy wojskowej:

— Lewę ramię naprzód... raz, dwa, trzy... marsz!.. całuj!

I wskazał swoje usta.

Licząc tempa wojskowe, posłuszny kometdzie, szedł stary wiarus, jak na mustrze. Chwyił go pułkownik w silne ramiona, do ust i piersi tulił to pocziwe oblicze, mówiąc z uczuciem:

— Ty mój stary pocziwczel! moja piastunko, moja matko! tyś mi życie wybawił, własne narażając...

A gdy się wyściskali dowoli, pułkownik, wracając do rubasznego tonu, prawil:

— Co prawda, mój Pawle, orator z ciebie nie tęgi, ale z serca i odwagi, mógłbyś być feldmarszałkiem.

Staremu wachmistrzowi lzy kropliste puściły się z oczu, a strzepując je z wąsów, jeszcze się mocował z subordynacją.

— Słuchaj-że teraz, Pawle, skoro, jak powiadasz, „dokumentnie widziałeś” kopułę naszego kościoła, czego mi już widzieć nie sądzono, niestety, to zbierajmy nogi za pas i marsz w drogę!

— Uczciwszy subordynacją wedle przynależności, mam honor zameldować, że pan pułkownik bez śniadania, a kto nie pasie, ten nie jedzie, jak mawiał pan major, trzeba się posilić, a ja tymczasem moją szkapę zamusztuczę porządnie, co się zowie, i jeszcze słonko będzie wysoko, kiedy staniemy w Leliwitowie.

— Lecz cóż my tam zastaniemy? — szepnął pułkownik z westchnieniem—moja biedna żona, moja Julka i Napoleonek, o którego urodzeniu wiem za ledwie?

— Melduję panu pułkownikowi, że wszyscy staną do apelu i czemuż-by stanąć nie mieli?— wtrącił wachmistrz pocieszająco.

— Obyś był dobrym prorokiem, mój Pawle!... Ale kiedy mamy jeść, to jedzmy, bo już wiem, że na tym punkcie i subordynacya nie pomoże, a nie darujesz mi tego śniadania, choć co prawda nie jestem głodny...

— „Nie wierz gębie, połóż na zębie.” jak mówił wedle subordynacyi nasz nieboszczyk chirurg, co to zginął pod Raszynem na punkcie opatrunkowym, nieboraczek, psia jucha, bomba głowę mu zdmuchnęła, jak makówkę, że ani zipnął, a bodaj ją profos!...

Prawił już poufaléj wachmistrz, zabierając się do przyrzadzenia uczy, przy którém zajęciu subordynacyą mniej obserwował, niż zazwyczaj, a w miarę przygotowań wypowiadał, co czynił:

— Oto jest kłoda w cieniu, jakby ktoś powiedział generalska kanapa... przykrywam to płaszczem, żeby było miękko, jak na puchu, względem subordynacyi...

To mówiąc, zdjął ze siebie jakiś wierzchni łachman, który szumnie płaszczem tytułował, rozciągając go starannie na drzewie obaloném.

— Tu, mosanie, dwie te gałęzie zrosnięte, to jakby stolik, wedle subordynacyi przykrywam go obrusem holenderskim, tak, żeby było po cesarsku.

Zmówione wykonał, dobywszy z torby jakąś płachtę.

— Teraz, wedle subordynacyi, następuje pasz-tet, pieczone, wety i tak dalej, jak wysoka ran-ga oficerska każe.

A dobywając z torby chleb i mięsiwa, nieko-niecznie apetyczne, starał się sam siebie oszuki-wać, kiwając boleśnie głową, aż gdy wszystko ukończył, wyprężony, zawołał gromkim głosem:

— Melduję, iż na stół podano! Uczciwszy su-bordynacją, pozwoli pan pułkownik oprzeć się na mojem ramieniu.

A z wielką delikatnością i staraniem ująwszy pułkownika pod rękę, sadowił go przy onym im-prowizowanym stole, a odkrawując kawały mię-siwa i chleba, wkładał w rękę pułkownikowi, a tu już zapominając subordynacyi, starał się ową skromną ucztę gawędą rozweselić.

— Ano, niby to pod koniec drogi, nasze pro-wizye trochę się wyczerpały, co to gadać, kiedy to nie tylko z ludźmi, ale i z wielką armią się działo, a jak francuziska gryźli i skóry, i swoich trupów nawet, kiedy się rejterowali z pod Mo-skwy... dobrze im tak, a czemu nie przezimo-wali na Litwie, jak nasz książę Józef radził... ale, mosanie, cesarz to sobie myśli: „ludzi się radź, a swój rozum miěj,” a ono czasem dobrze jest i ludzi posłuchać, zawsze to on swego nie daruje *wiw lamprrrrr!* — wykrzyknął na całe

gardło, a przyłożywszy palce do furażerki, wyprężył się, jak struna.

— *Vive L'empereur!* — dorzucił z cichém westchnieniem pułkownik, powstając z miejsca i salutując od czoła.

Taki to bywał zwykły początek każdej uczyty, poczem pułkownik znów wrócił do jedzenia, a wachmistrz do posługi, urozmaicając ją rozmownością.

— Uczciwszy subordynacją i dyscyplinę wojskową, mam honor zameldować, że markietanka nasza zbankrutowała co do trunków, i za cały napój, posiadamy wodę zdrojową, ale jaką wodę, cesarską prawdziwie, z żywegom ją źródła naczepał.

To mówiąc, zdjął z ramienia tykwę, która naprzeciw sakwy wisiała i napełniwszy świeżym płynem rogowy kubek, podał pułkownikowi, mówiąc:

— *Alager kom alager* — mawiał król Jouchine, będąc zmuszony pijać wodę, kiedy wina zabrakło.

— Poczekaj no, Pawle, bo ty gadasz, jak najęty, a nic nie jesz swoim zwyczajem—jedz mi zaraz!

— Wedle rozkazu pana pułkownika—wymówił z subordynacją wachmistrz, szurując głośno miskami, ustawionemi przed pułkownikiem, jakby z nich coś brał, ale w rzeczy miał przygotowany suchar, namoczony w wodzie, który gryzł

głośno, robiąc wargami, jakby smakował, było to już oszukaństwo jego pocziwe, wprowadzone przez oszczędność, w zwyczaj przez czas podróży, byle pułkownikowi na prowizyi nie zbrakło, która w istocie już się prawie wyczerpywała.

Pomimo tego, tak się im jakoś zrobiło wesoło i rażno, że patrząc na spożywających, pomyślałbyś, iż dwaj zawołani sybaryci zasiedli przy uczcie Lukullusowój.

— Wiem ja to, żeś w polu robił ludziom za pieniądze, niby udając, żeś był na przechadzce, lub grzyby zbierał, a nawet drzemiąc, podchwyciłem, żeś i żebrał u przechodniów, a wszystko dla mnie, pocziwy Pawle.

I ślepy pułkownik, namacawszy ręką głowę wachmistrza, czule, a ze łzami, tulił ją do ust i piersi.

— Ano, wachmistrzu, kiedy Bóg nam daje docierać już do kresu podróży, wypowiadaj się na koniec, jakoś to sobie poczynił, aby nam, raczej mnie, na niczem nie brakło, bo co do ciebie, wiem, żeś szachrował, gryzłeś suchary, zamiast mięsa, bo chociaż tegom widzieć nie mógł, ale złapałem cię nieraz na gorącym uczynku, wszakżem zamileczał, widząc, iż żadna subordynacja nic nie pomoże, boś w tój mierze uparty, jak kozioł.

— Uczciwszy subordynacją wojskową, a bo-  
dajby mię <http://zagryzł>, ośmielę się zameldo-

wać, iż co do tego, pan pułkownik ma honor się mylić.

— Niechaj cię tam profos nie gryzie, bo szkoda by było na jego zęby takiego poczciwca, ale ja napróżno w głowę zachodzę, jak to ty tak kalkulowałeś, że w ciągu podróży na niczém nam, a raczej mnie, nie brakło?

— Oho, ucziwszy subordynacyą, „nie brakło, nie brakło!” czy to taki panicz, jak pan pułkownik, tak powinien być obsłużony? — mruzczał stary, szarpiąc niemilosiernie wąsa.

Wachmistrz był, jak nie swój, jakiś pomieszany, a wyrwawszy się z nścisku, burknął już bez wszelkiej subordynacyi:

— „Żebrał, zebrał!” Co też to pan pułkownik powiada? Wachmistrz ósmego liniowego „zabrać?” — Ano, jeżeli tam jakiemu i powiedział — „daj mi kawałek chleba, albo mięsa?” cóż w tém złego, a ja mojego mięsa nie dawałem za nich? — prawil wachmistrz, zapalając się, a uderzał z kolei to po szczudle, to po bliznach na twarzy i ciele. — A zresztą — ciągnął dalej — przecie to i z pod Możajska nie wyszliśmy z gołemi rękoma, był piękny kapitał..

— Ciekaw jestem, jak wielki? — wtrącił pułkownik żartobliwie.

— Ano zawsze, ucziwszy subordynacyą, złotych polskich 45 i groszy 9, toż przecie piechotą nie chodzi.

— Niezawodnie, a czemużeś nie sprawił nam karety?

— Zapewne należało, ale to tylko taka ośła głowa, jak moja, żeby pan pułkownik nogi mordował.

— Ale, jakże długo my tym kapitałem żyliśmy, ciekaw byłbym wiedzieć?

— Będę miał honor zameldować, wszystko to u mnie zakarbowano na moim karabinie — rzekł wyprostowany wachmistrz, a biorąc de ręki kij sękaty, począł liczyć, mruczając:

— Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto, dwieście... od zabawki pod Możajskiem minęło dni 243, z tych 54 przebyliśmy w niewoli, czyli w lazarecie, kiedy mnie tę niepotrzebną nogę zabrali... ale Bóg da, że odbiorę z nawiązką od tych, co mi ją wzięli! — Już dziś dzień 189-ty, kiedy nam dano ów bilet internacyjny i wyruszyliśmy w drogę, zawsze, jako jeńcy na parol.

— Musiałeś tedy, wachmistrzu, mieć jakiś inkluz w worku, bo taką drogę przebyć za 45 złotych...

— I groszy 9, mam honor zameldować panu pułkownikowi.

— Ano prawda, groszy dziewięć, to grunt. Ale, ale, my tu sobie gadu, gadu, a komu droga, temu czas, przecie mieliśmy dziś być w Leliwotowie?

— Co i teraz mam honor meldować. Wszakże warto wypalić luleczkę dla strawności, a ja tym-



czasem moję szkapę zamusztuczę, żeby nie brykała i *àlom marsz!*... Jeszcze słońko nie pomyśli o odpoczynku, kiedy staniemy na miejscu.

Wy dobył wachmistrz z torby fajkę piankową, a oczyściwszy ją starannie, wykrzesał ognia, rozpalił i podawszy pułkownikowi, sam zajął się „zamusztuczeniem szkapy,” jak nazywał, to jest, umocował szczudło do nogi, co sprawiwszy, wziął się do sprząwania resztek jadła i skromnych naczyń.

— Tylko nasz kredens uporządkuję i gotów do apelu, panie pułkowniku.

Jakoż niebawem wszystko było w porządku i wachmistrz po wojskowemu raportował:

— Mam honor meldować, że szeregi w porządku. Rozkaże pan pułkownik trąbić do wymarszu?

Kapitan dał znak głową, co czynić zwykł z każdego przestanku dla dogodzenia wojskowej ochocie swojego wachmistrza, który udawał dziwnym sposobem sygnał na trąbce, a potem na różne głosy powtarzał komendę, jakby dla całej dużej armii „*allom marsz!*” i dopiero, gdy to ukończył, brał kij sękaty na ramię, jak karabin, dawał łaskę pułkownikowi, brał go pod rękę, kierując jego krokami, jakby pieczołowita piastunka i puszczała się w drogę.

Trudnoby dziś sobie wyobrazić, ile to serdecznej, a rzewnej prostoduszności, było w tych starych dzieciach wiarusach; przy lwiej odwa-

dze, a gołębięj słodyczy, byli to ludzie, iście anielskiego serca.

Zkąd to się wzięło owo pokolenie, tych ludzi, tak dziś do naszego niepodobnych, jakbyśmy od nich na lat tysiące odskoczyli. Gdybym z toku rozmowy nie napomknął, kiedy się rzecz nasza rozpoczyna, każdy, choć cokolwiek z opowieści przynajmniej, świadom onego czasu, snadno by odgadł, iż przenieść go chcę w początek naszego wieku, tak dziś przy końcu błędnego i wyziębionego, mierzącego wszystko liczbami i zimną racbubą, co niemal cyfry w pierś, miasto serca, włożył.

Czas to był podniosłego zapалу i wielkich nadziei; zaprawdę ludzi w nim żyjących może potępi historia za marny i rojenia, może posądzi o brak dojrzałości politycznej o rządzenie się płochami mrzonkami i nadmiarem spodziewań, którym wiele, a wiele, bo wszystko i życie i mienie nieśli w ofierze — ale byli przeto szczęśliwi, a może od nas szczęśliwsi, bo kochać i wierzyć umieli.

A z jakiej-że epoki powstało to epos narodowe *Pan Tadeusz*? Prawda, że jego twórca nieśmiertelny, był tym geniuszem, nieznanym zapory „ex nihilo nihil,” lecz pomimo to, ażeby życia tak podniosłego, jakim owo było, nie miał pod ręką, czyliż-by sprostął największym geniuszem budowie tak wspaniałej, do której cegiełki podejmował z ogólnego ówczesnego poziomu?—

co tam nagrzeszyli ci ojcowie nasi łatwowiernością i gorącym sercem, toć im przebaczone będzie na téj zasadzie wzniosłych słów Zbawiciela: „Odpuszczone im grzechy wielkie, albowiem wielce ukochali!”

Poczęliśmy powieść naszą od „niedobitków,” boć to była chwila, kiedy ich tyle było na świecie, jak zazwyczaj, po rozproszonych świetnych nadziejach, po każdym wielkim upadku. Ci to byli zrozpaczeni i odarci, o których przysłowie niesie, że „tonący, brzytwy się chwyta” — a więc i historia w potępianiu ich, winnaby być mniej skora.

## II.

### Dzwon rodzinny.

Raźno puścili się nasi podróżni w drogę. Z początku wachmistrz potrębywał sobie, to głos bębna udawał, jako to miał we zwyczaju, dla urozmaicenia pochodu. Lecz, że młodszy podróżny, ciągniony niezawodnie przez ów najsilniejszy z magnesów strzechy rodzinnej, niepomny kalectwa towarzysza, niezwykłym sposobem kroku przyspieszał, biedaczysko wachmistrz pocił się i przystukiwał swoim szczudłem, wszelako dobywając się ostatka, podążał, bo jako przewodnik niewidomego, obawiał się na szwank go narazić.

Lekka tylko milka oddzielała podróżnych od upragnionego celu, do którego im bardziej się zbliżali, tém więcej pułkownik przyspieszał kroku, a zziajany do ostatka, biedny wachmistrz ochraniał go z całym wysiłkiem, a pieczołowitością

matki. Szybki krok nie przeszkadzał pułkownikowi, co chwila dawać zapytania towarzyszowi, przez którego oczy już patrzył:

— A co tam widzisz, wachmistrzu?

— Melduję panu pułkownikowi, iż już bramę zamkową widno, jak na dłoni, ot i dach prawego pawilonu.

— Ale co pod tym dachem?.. sześć lat, jak go opuściłem, a to kawał czasu, tyle się mogło zmienić, a nieszczęście łatwo się wciska pod każdą strzechę—rzekł młodszy, z głębokim westchnieniem.

— Melduję panu pułkownikowi, uczciwszy subordynacyą, że Bóg jest łaskaw, a w Nim wszelka nadzieja — odparł, salutując, wyprostowany wachmistrz.

Szli dalej w milczeniu, a pułkownik w ciężkiej zadumie, gdy w tém wachmistrz, zatrzymując pochód, ozwał się:

— Mam honor meldować, że jesteśmy na naszej granicy, oto są kopce, wprawdzie trochę się osunęły, bośmy to jeszcze sypali za nieboszczyka kasztelana ojca, ale tu już nasza ziemia...

— O, ziemo rodzinna! czemuż mi cię widzieć nie dano, ale niech cię chociaż uczuję, niech cię przycisnę do serca, abyś posłyszała żywe dla ciebie jego bicie!

Padłszy twarzą do ziemi, cisnął ją do łona, jak kochankę, i łzami miłości oblewał.

Stary wachmistrz, stojąc obok, targał niemiłosiernie węża, po którym lży dużemi kroplami spływały.

O, jakże to pokolenie miłować umiało!

Od tego punktu, pomimo pospiechu, usta się pułkownikowi nie zamykały, a zasypywał towarzysza tysiącznemi pytaniami, które dla objętego słuchacza nie posiadałyby najmniejszego znaczenia; sam też wachmistrz, uprzedzając je nieraz się odezwał:

— Melduję panu pułkownikowi tę leszczynkę, do której, jako z paniczem, jeszcze małym Stasiem, chadzaliśmy na orzechy, a tam dalej lasek, gdzie zbieraliśmy grzyby.

— A jest tam ten dąb duży na prawo, gdzie to kiedyś było orle gniazdo?

I tym podobne tysiące pytań się sypało.

Gdy już dochodzili do samej wioski, nagle dał się im słyszeć dzwonek z pałacowej kaplicy.

— O, witaj mi, dzwonie rodzinny! — zawołał pułkownik w uniesieniu, wznosząc ręce ku niebu.

— Tyle się człek w tej włóczędze nasłuchał rozmaitych dzwonów, ale głos tego, wprost do serca przemawiający, poznałbym i odróżnił od innych tysiąca! Ale, czyliby to dzwoniło na „Anioł Pański?”... która, jak myślisz, może być godzina?

Wachmistrz, spojrzawszy na słońce, odpowiedział:

— Mam honor zameldować, że jeszcze para dobrych godzin pozostała do zachodu słońca,

a jak to miałem zaszczyt raportować, już prawie jesteśmy w domu, ale prawda, że paradowaliśmy, co się zowie *grand galop*.

— Czemuż-by tak wcześniej na „Anioł Pański” dzwoniono?

— Mam honor zameldować, że nasz kapelan staruszek, bywało, kiedy się wcześniej ocknie z poobiedniej drzemki, to woła na zakrystyana, żeby dzwonił...

— Ano, Pawle, tak po dawnemu, jak za nieboszczyka ojca bywało, kiedyśmy to całą gromadką w kaplicy odśpiewywali „Anioł Pański.”

To powiedziawszy, rzucił się pułkownik na kolana, obok na jedno zdrowe przykląkł wachmistrz i wzbila się ku niebu w dwu mężkich rzewnych głosach, z tułających piersi, wzniosła pieśń: „*Anioł Pański!*”

Po skończonej modlitwie, pułkownik, powstając, rzekł z pewnym niepokojem:

— Ale, czy uważasz, Pawle, jak ten dzwon smutnie jęczy, nigdy za mojej pamięci tak płaczącym głosem się nie ozwał—dlaczegoż tak długo dzwonią?

Wachmistrz równie się zasepił i namarszczył czoło, widocznie podzielał zdanie towarzysza. przeto jednak ozwał się rubasznie, a uspokajająco:

— Uczciwszy subordynacją wojskową melduję panu pułkownikowi, iż każdy dzwon, uszanowawszy uszy, jest głupi i tak dzwoni, jak go za sznur ciągną, a że trochę dłużej, to może jaki

smarkacz dorwał się i bawi się sobie przy sposobności.

— Oj, nie! coś to złowrogiego wydzwanają. Boże, bądź miłościw!—idźmy dalej.

I gorączkowo spieszył pułkownik, a wachmistrz, prowadzący go, zaledwie mógł podążyć z ciężkiem szcudłem. Nastąpiło jakieś grobowe milczenie, pułkownik o nic nie pytał, tylko szedł przed się, jakby widział, a wierny wachmistrz zawsze krokami jego kierował:

— Co to jest, słyszę głosy, jakby wielu ludzi, dążących ku zamkowi?—pytał niespokojnie pułkownik.

Lecz na ten raz wachmistrz, pomimo czujności na każde słowo i subordynacyi wojskowej, nie znalazł na prędce odpowiedzi, ale tylko gryzł, to szarpał nieszczęsne wąsy.

Gdy w tém nagle doleciała do uszu pułkownika rozmowa dwóch przechodniów:

— Taka młoda, umarła, nawet, biedaczka, powrotu męża się nie doczekała, a kto wie, co z nim, bo to wojna...

— Kto umarł?—zawołał z całej silnej piersi pułkownik.

— Ano, pani z zamku,—to wy chyba podróżni, panowie wojacy? a ot dzwonili, zaraz będzie pogrzeb, my tam idziemy—ale spieszcie, bo już zaraz będą wynosić ciało...

Była obojętna odpowiedź, na którą obaj podróżni skamienieli//odrazu: pułkownik konwul-



syjnie ścisnął ramię wachmistrza, stojąc nieruchomy przez czas jakiś, pierś tylko wznosząca się i opadająca gwałtownie, świadczyła o srogięj burzy, jaka tam wewnątrz grać musiała. Nagle westchnął z głębi, jakby ostatniem tchnieniem, mocniej jeszcze ścisnął ramię towarzysza i popędził przed się na oślep.

Biedny wachmistrz, cały drżący i zbolący, już ostatnich sił dobywał, aby sprostać temu szalonemu biegowi. Szczudło staremu odwiązało się; on, je podjąwszy, trzymał tylko w rękę, a skakał na jednej nodze, aby pana swojego nie opuścić i do tego smutnego końca, służyć mu za przewodnika. Pułkownik zaś biegł zapamiętale, kierując się odgłosem dzwonu, który jęczęc nie przestawał.

Nakoniec tym szybkim krokiem, dotarli do miejsca, gdzie stała spora gromadka ludzi; a było to przed wspaniałym krążgankiem pałacu, o wzniosłych marmurowych kolumnach, od których dziwną sprzecznością odbijała czarna prostacza trumna, niedbale sklecona i sadzą pomalowana, opierająca się na barkach sześciu ludzi, przyodzianych w barwę, a raczej w jakieś galonowane strzępki, przy których strój żebraczo-wójacki wachmistrza, wstydzićby się nie miał.

Na wszystkich twarzach prostaczków, otaczających trumnę—bo choć ten smutny obrzęd odbywał się przy pałacu, ale zaledwie parę *pałacowych* twarzy dojrzałeś w żałobnym orszaczku--

malowały się głęboki smutek i żywe współczucie. Tuż przy trumnie stało dziewczę 15-to letnie, blade i wysmukłe, o dużych czarnych oczach, które, acz suche i łzami niezwilżone, zawarły w sobie boleść ciężką i głęboką, co w strumieniu łez, zbawiennych dla smutku, rozplynać się nie umie; czarny strój żałobny dziewczyny, acz schludny i w pewnym rodzaju staranny, ale ubóstwem i skromnością stosował się do onęj prostej trumienki, jedyną zaś konieczną, a nieuniknioną ozdobą téj żałobnej postawy, której ukryć było nie podobna, bo sama się przez się na wierzch dobywała, stanowiły bujne włosy dziewczyny, ujęte w dwa warkocze, a do kolan jęj sięgające.

Dziewczyna za rękę trzymała pięcioletniego chłopczyka, równie w skromną żałobę odzianego, który z bezmyślnością dziecięcą, rad może z przerwania jednostajności powszedniego żywota, ciekawie rozglądał się na wszystko otaczające.

Temu ubogiemu orszakowi przewodził niemniej ubogi zakonnik, staruszek kapucyn, w wytartęj kapie; on to w téj chwili powstrzymał pochód żałobny, aby rzewném słowem pożegnania uczcić pamięć odchodzącej, i kiedy podróżni nasi zdążyli wmięszać się w gronko pobożnych, te właśnie usłyszeli słowa, kończącej się już mowy:

— Wszyscyśmy równi w obliczu Boga, wszyscyśmy jednako stworzeni, z wątłego ciała na pastwę zgniliznie i robactwu, a duszy nieśmiertelnej na życie wieczne szczęśliwe, lub potępione,

wedle zasług i meritów doczesnych. Te to są nieprzebrane bogactwa duszy nieśmiertelnej, które mi mądry Stwórca zarówno wszystkich obdzielił, jednako ich każdemu używać dozwolił na zaszkarbienie wiecznego żywota, a więc nic nadto jednemu przed drugim, co do ducha daném nie jest, nikt zaś w tój mierze pysznić się i panoszyć nie może. Aliści, co do dóbr doczesnych, te w niezbadanej mądrości swój, Opatrzność tak podzieliła, skupiając w jedném ręku, jakoby skarby i zapasy, ażeby dobro ogółu w nagłych potrzebach pełną z nich mogło czerpać dłoń. Nie mówię tu o ludziach skąpych, gromadzieliach zapleśniałych bogactw, bezużytecznych pasożytach społeczeństwa, ale o ludziach bożych, pełnych poświęcenia i gotowości dla każdej dobrej sprawy—i pytam się, z kąd w obec takich, bierze się naganna zawiść i zazdrość pomiędzy śmiertelnymi? Dlaczegoż zajrzymy jedni drugim dóbr doczesnych, snadno przemijających, które, jak powiedziałem, skarbnicą ogółu w ręku wybranych pańskich są? Pytam was, zatem zgromadzonych do koła tój trumny, pracowitych prostaczków, z których niejeden może z grzeszną zawiścią, spoglądał na odwieczne przepychy i bogactwa tego, dziś upadającego w ruinę, gmachu, na olbrzymią fortunę jego dziś zubożałych i podupadłych dziedziców—pytam, ażali każdy z was, pracujący w pocie czoła, zasiadając po codziennym trudzie w gronie rodziny, do nędznej strawy,



przy skromném ognisku, nie jest stokroć szczęśliwszym od rozproszonych i dotkniętych ręką pańską, mieszkańców tego pałacu? Gdzież bowiem jego dostatki, świetność i zamożność? Oto poszły, jako całopalenie na ołtarz dobrej sprawy: Gdzie jego głowa domu? Może drapieżne pta-ctwo już rozszarpało jego, niegdyś waleczne, a dziś martwe członki, a kości gdzieś bieleją na bitew polu?

W tém miejscu mowy, wachmistrz, ciągle trzymający rękę swego pułkownika, zrobił ruch silny, jakby chcąc zaprotestować i przytomność pana zamku zaznaczyć, lecz silném ściśnieniem ręki powstrzymany przez towarzysza, pozostał nieruchomy, a manifestacją swoją, silniejszém targaniem wąsa objawił.

— Owóż widzicie znikomość i marność téj do-czesnej świetności—mówił dalej kapłan—i patrzcie, jako głową tego możnego, a szeregiem szla-chetnych poświęceń kilku pokoleń, rozbitego i zrujnowanego domu, stoi dziś przed wami wąż-tła dziewczyna, podpora i jedyna orędowniczka niemocnego dzieciństwa; na jój to słabój główce, ale mocnym duchu, który po ojcach dziedziczy, spoczywają przyszłość, byt i spokój, a niczém dotąd nieskalany honor starego domu. Widzicie, zaprawdę, iż ci wieley, którym nie rzadko rze-komego panowania na ziemi zazdrościcie, są ino powołani, jako męczennicy dobrej sprawy; a po-nieważ w ich ręce Bóg więcej złożył, do ściślej-

szego obrachunku w dzień sądu, powołani zostaną. Macie tedy przykład żywy na téj tu ubogiej trumnie dziedziczki niegdyś licznych włości i wielkiego imienia, o ile wasza nienawiść do rodów możnych i przodujących w kraju, jest usprawiedliwioną i godziwą. Córko moja!—mówił dalej kapłan, zwracając się do dziewczyny—znam twą gorącą wiarę i moc silnego ducha, a ztąd wiem, iż krzyż ów Pański, włożony na twe słabe barki, dźwignąć podolasz: pomnij, iż Bóg, kogo miłuje, tego obciąża, albowiem „*jarzmo jego wdzięczne jest, a brzemie lekkie.*” Na tobie spoczęło to imię, wslawione cnotą i rycerskimi czyny, piastowane bez zarzutu i skazy, przez liczne pokolenia, które w czystości winnaś od dać młodszemu bratu, którego przy téj trumnie stałaś się matką jedyną. Lecz niech spią przodkowie twoi w spokoju, bo w rodzie, wybranym waszym, silnie wpojona od dawnych pokoleń ta wielka, a wzniosła prawda mądrego Ekkleziasty, którąście godłem rodu waszego od wieków uczynili, iż „*lepsze jest imię dobre, niżli maście drogocennie*” (\*).

Po skończonej mowie, orszak żałobny ruszył się z miejsca ku kaplicy, w niewielkiej odległości od pałacu na zieleniejącym, otoczonem drze-

---

(\*) Wyjątki z mowy X. Remigiusza, kapucyna, na pogrzebie starościny C. w roku 1814.

(Przyp. Autora).

wami, wzgórzu, które wyglądało, jak najpiękniejszy ogródek.

Dwaj nasi podróżni stali dotąd na uboczu, nieco opodal od całego orszaku. Pułkownik, trzymając silnie rękę wachmistrza, coraz bardziej ją ścisnął, a drżał na całym ciele i przez to jedno zdradzał głęboką boleść i wzruszenie, nadludzkim wysiłkiem tłumiąc w sobie jęki żalu, które pierś jego tłoczyły. Nikt tam na nich nie zwracał uwagi, albowiem był to czas właśnie, kiedy siła niedobitków wielkiej armii snuła się po świecie, bo i prócz nich było tam kilku jeszcze podobnych kalek, którzy zwabieni obchodem pogrzebowym, przyszli tu szukać nędznej pożywy.

Skoro orszak ruszył z miejsca, pułkownik, przemagając boleść, szepnął do towarzysza:

— Trzymaj się na samym końcu, opodal od tłumu, ażebyśmy jak najmniej byli widziani.

Wachmistrz, który tymczasem korzystając z ogólnej uwagi, w inną stronę zwróconej, zamusztuczył na nowo szkapę, t. j. szcudło nawiązał, rozkaz wypełnił, a o kilkadziesiąt kroków wypuściwszy tłum pobożnych, pedażał zwolna za nim, prowadząc pułkownika.

Dzwon kaplicy jęczał wciąż żałośnie.

— Dokąd podążają z trumną? — spytał pułkownik towarzysza.

— Do grobu familijnego, pod kaplicą w sklepieniach.

— Prowadź mię boczną drogą, w stronę przeciwną aby nas kaplica zakrywała.

Wachmistrz wykonał rozkaz. Pułkownik, wsparty o jeden z nagrobków po drugiej stronie kaplicy, wsłuchiwał się w śpiew żałobny, a kiedy ten ucichł, usłyszał, jak grudki ziemi obijały się smutnemi uderzeniami o wieko trumny, która, jakby wydawała jęki bolesne ostatniego rozbratu ze światem, a za każdym takim odgłosem, biedny pułkownik zadrgał na całym ciełe.

Jeszcze kilka westchnień, kilka łkań przytłumionych, i wszystko o zachodzie słońca się skończyło. Pobożni rozeszli się do domów, do swoich codziennych zajęć, a każdy z nich rychło miał zapomnieć, iż mniej o jednego bliźniego posiadał na ziemi.

Gdy już szmer ustał i dzwon ucichł, pułkownik spytał:

— Czy już rozeszli się?

— Już, cmentarz pusty.

— Czy drzwi od grobów otwarte?

— Jako popsute i stare, nie zamykają się prawie wcale.

— Więc ruina od żywych do umarłych się przeniosła — wyszeptał smutno ślepy, a głośno ozwał się do towarzysza:

— Zaprowadź mię, Pawle, na ten drogi grób, niech moję Hannę raz jeszcze pożegnám.

Wachmistrz podał rękę pułkownikowi i z wielką przezornością po wyszczerbionych i zde-

zelowanych schodach, prowadził go w podziemia.

Był to obszar duży, sklepiony, ciemny, bez światła, trudno się tam było orjentować, więc wachmistrz, znalazłszy niedopaloną od pogrzebu pochodnię, wykrzesał ognia, rozpałił ją. Była to przestrzeń duża, cała wypełniona nagrobkami rozmaitego rodzaju, i jak w sali zamkowej wisiały na ścianach wizerunki przodków, tak tu tą samą koleją starszeństwa poukładali się do wiecznego spoczynku w grobach, które sobie sami mrowali; pośrodku stał sarkofag największy założyciela zamku, a dalej w półkole ciągnął się szereg cały wiecznych spoczynków. Kamienie na grobach wyobrażały to rycerzy we zbroi, to kapłanów, dygnitarzy kościoła, to niewiasty w szatach zakonnych, lub świeckich. A więcej już było Leliwitów pod ziemią, niżbyś się ich na ziemi doliczył.

Już blisko drzwi w jednej z framug wstawiono świeżą trumnę, a że zamurowanie na dzień jutrzejszy odłożono, zatem przykryto ją tylko z wierzchu deskami, a tuż obok złożono na stosy wapno i kamienie, tam się zatrzymawszy wachmistrz ze ślepym towarzyszem, rzekł smutnie:

— To, tu.

— Mój dobry Pawle—błagał smutnym głosem pułkownik—czy nie mógłbyś odkryć trumnę, abym te moje drogie ostatki raz jeszcze do piersi przycisnął?



— Niech mi pan pułkownik pomoże, a w dwóch łątwo tego dokonamy—odstawiając deski, mówił wachmistrz, wprzód jednak rozpałił parę świec kościelnych, przy pogrzebowym katafalku jeszcze pozostawionych, kierując rękoma pułkownika, wyciągnioną nawspół z nim trumnę z framugi odkrył. Światło padło na martwe oblicze pięknej jeszcze kobiety, ale widocznie umęczonój zakończoném niedawno życiem i jego troskami.

Przypadł ociemniały do nóg zmarłej i boleśnym jękiem do ust je tulił, to twarz, to ręce całował.

Wachmistrz, stojąc obok w milczeniu, dał wolę łzom, które mu się obficie po wąsach sumiastych staczały.

Długo trwała ta bolesna scena, aż w końcu wachmistrz się smutnie ozwał:

— Melduję panu pułkownikowi, iż wkrótce nam światła pogasną i nie będziemy mieli przy czém trumny na miejscu postawić.

Pułkownik, z powolnością dziecka, ucałowa wszy raz jeszcze nogi drogiego trupa, powstał, i znów wedle wskazówek towarzysza, trumnę na miejscu złożywszy, deskami, jak przedtém, zakryli.

Wachmistrz, spojrzawszy do góry przez szczeliny drzwi, powiadał znowu:

— Melduję panu pułkownikowi, iż już księżyc wschodzi, północ niedaleko, czy nie czas by nam odejść?

— Dokąd, mój Pawle, dokąd?

— A dokąd-że, jak nie na zamek...—rozpoczął stary, lecz mu przerwał kapitan:

— Na zamek? nowy ciężar jednego niedołęz-  
nego kalekę do żywienia przynieść biednej córce,  
zatrwożyć ją straszném kalectwem! o, nie. Ty  
idź, dobry Pawle, bądź opieką i podporą moich  
biednych dzieci, jak niegdy byłeś dla ich matki...  
ty poczciwy przeżyłeś cały żywot poświęcenia,  
więc dotrwaj do końca, wiem, że twoje dobre  
serce nie cofnie się przed żadną szlachetną ofia-  
rą... zresztą widok rodzinnej ziemi, swojskie po-  
wietrze, pokrzepią cię, umocnią... Niech Bóg na-  
gradza twoje dla mnie poświęcenie bez granic  
i miary, a bądź pewny, że jeżeli zmarli w gro-  
bie umieją pamiętać, to i tam ci ich nie zapo-  
mnę... Ale mnie opuść, boś im potrzebniejszy...  
mnie daj kij do ręki, a jeszcze, jako tako, prze-  
tułam się sam na świecie, dopóki sądzono. Bądź  
zdrów, drogi Pawle, uściskaj mię raz jeszcze.

Po tych słowach, Pułkownik, z rozwartemi  
ramiony, oczekiwał na uścisk wiernego towarzy-  
sza, który nie ruszając się z miejsca, odparł,  
może poraz pierwszy w życiu, głosem stanowczym,  
a wcale nie szeregowym:

— Melduję, że co do tego, nie będzie subor-  
dynacyi, i że pana pułkownika nie opuszczę,  
choćby mię chciał kijem napędzić, na to daję  
parol żołnierski... A jeżeli można radę powolną  
zameldować, to powiem, czemu nie mielibyśmy

iść na zamek i młoda Julka, chciałem powiedzieć panna pułkownikówna, rada będzie, ojca dawno niewidzianego powitać, a pocieszy się w ciężkim smutku... Wartoby też bliżej poznać imiennika cesarskiego, małego Napoleonka, którego pan pułkownik nie zna jeszcze.

— No, no, nie mam co robić z twoim uporem... dobrze, niech i tak będzie, ale nie zaraz, nie nagle, żebym moim żalem ich smutku nie powiększył, nie przeraził dzieci kalectwem, niech się z tą myślą oswoję, ochłonę nieco z pod ciężkiego wrażenia, ciosu téj straty, jaka mię dotknęła... Zgódź się na to, mój Pawle, abym tę noc tu przy drogiéj zmarléj przepędził...

— Do woli pana pułkownika—odparł znów, ze szeregową powolnością, wachmistrz, wracając do subordynacyi.—Ale trzebaby posłać, jako dla wysokiéj rangi przynależy... zaraz ja to przemyśle... gdzieby to najlepiej?...

— Tu pod tą framugą, bliżej mojej zmarléj, rozściel mi tu płaszcz, dasz mi swoją sakwę pod głowę...

— Do woli pana pułkownika—rzekł posłuszny towarzysz, zabierając się do wypełnienia rozkazów.

Skoro już ułożył, jak mógł najlepiej, salutując swoim zwyczajem, ozwał się:

— Mam honor zameldować panu pułkownikowi życzenie dobrej nocy. A jeżeliby czego

było potrzeba, proszę zawołać, ja tu stanę na pikieciec pod drzwiami...

— Lepiej spocząłbyś, stary.

— Będzie i na to czas.

Pułkownik był jakiś senny i jakoż, nim wachmistrz wyszedł na swoją placówkę, już zdawał się drzemać, co widząc stary wiarus, mruknął zadowolony:

— Biedaczysko, mój panicz drogi, niech sobie przespi ten smutek!... byłoż to poco zbierać nogi aż z pod Możajska, żeby na takie gody pospieszyć?...

Okrywszy śpiącego zlekka, ażeby nie obudzić, cichutko wachmistrz wyniósł się na swoją placówkę.

Dumał tam i myślał, jak pana swojego nakłoni, ażeby rychło na zamek poszedł, a jakoś godzina minęła mu w oném czuwaniu, gdy w tém, nagle dało mu się słyszeć z podziemia dziwne, niezwykle chrapanie — nastawił ucha, mrużąc z niepokojem:

— Ej, czy mi się majaczy, czy co u licha, tak charczą w ostatniej chwili ranieni w piersi, a któż-by tam kogo mógł ranić, jużci umarli ze sobą się nie biją?...

Pomimo jednak tój perswazyi, charczenie owo nie tylko nie ustawało, lecz wzmagalo się coraz bardziej i przeraźliwiej; stary, chociaż odpędził tę myśl, ale zdawało mu się, że ów odgłos wydobywał się z piersi pułkownika. Przechylił nie-

spokojnie głowę przez drzwi ku podziemiowi i spytał półgłosem, aby na wypadek snu pułkownikowi nie przerwać:

— Czy pan pułkownik spi?

Lecz miasto odpowiedzi, jeszcze wyraźniej dało mu się słyszeć owo przeraźliwe charczenie.

Stary, chcąc przedtém pułkownika co rychlej na zamek wyciągnąć, popełnił niewinne kłamstwo, iż się światło dopala, atoli na wszelki wypadek pozostawił je jeszcze w zapasie, a teraz co rychlej rozpalając, spuścił się w podziemie, gdzie go straszliwy przeraził widok: pułkownik broczył w kałuży krwi bezprzytomny, wydając ono przeraźliwe chrapanie, w ręku konwulsyjnie zaciskał nóż, wydobyty z torby wachmistrza, którego ten używał do swoich procederów kucharskich w podróży. Przyświeciwszy sobie lepiej, stary z przerażeniem dojrzał szerokięj rany w pierści, wprost serca.

Stary żołnierz, w bojach oswojony z tą odwrotną stroną życia ludzkiego, nie badając przyczyn i nie śledząc winowajcy, narazie, jak umiał, dawał pomoc ranionemu, najprzód starał się mu krew zatamować, otrzeźwił go, jak tylko mógł, na prędce, lecz napróżno starał się zatrzymać życie, które spiesznie uchodziło. Raniony, przy staraniach wachmistrza, odzyskawszy resztkę przytomności, słabnącą ręką obejmując przyjaciela za szyję, belkotał, zaledwie zrozumiałe:

— Wybacz, Pawle, ten brak odwagi, ale mi ciężko było żyć, znasz zresztą odwieczną naszą tradycją rodową, iż dwóch Leliwitów siedzieć nie może czasu wojny, a wojna nieskończona... Napoleonek niech żyje, opiekuj się nim... mnie opuść, życia nie wstrzymasz... idź rychło po O. Dyonizego, niech wysłucha ten sługa Boży mego szczerego żalu za ten ciężki grzech... idź!.. idź!..

Wachmistrz oparł ranionego o ścianę, nadając mu, o ile można, prostopadłą pozycyą, a sam wybiegł co rychlęj z podziemia.

Domek O. Dyonizego, od pół wieku prawie zamkowego kapelana, był o parę minut drogi odległy od kościoła — jakoż niebawem, wachmistrz, zdyszany, powracając ze starym kapucynem, zastał ranionego z odzyskaną przytomnością, którą daje zbliżająca się chwila konania; ujrzawszy kapłana, chory wyjęczał słabym głosem:

— Ojczy, przebacz czyn mój słabości, niegodny Leliwity, gdyby mi Bóg dał najdłuższe życie, pokutowałbym najsurowiej... szczerze żałuję!..

— Odpuszczam ci, synu, i Boga prosić będę aby ci onęj słabości nie poczytał.

Odparł kapłan smutnym, drżącym głosem, kładąc krzyż na czole konającego, który, jakby przez wyteżenie nadludzkie, życie w sobie do tej pożądanej chwili zatrzymał, a wyszeptawszy niewyraźnie:

— Przed dziećmi tajemnica!..

Osunął się na ziemię bezwładny.

Kapłan, ukląkłszy, zmówił krótką modlitwę za umarłych, której wachmistrz łzawym głosem wtórował.

— Biedni, tego doczekali za całe wieki poświęceń i służenia dobrej sprawie!.. Boże, bądź miłościw duszy, w cierpieniu zbłąkanój!—wymówił stary zakonnik ze smutkiem.

— Pawle — rzekł, zwracając się do starego wiarusa — co wyroki bozkie łączą, człek tego rozłączać nie ma. Zmarł on, rozgrzeszony i w skrusze, godzien jest pogrzebu w miejscu poświęconém, a godny jest obcowania z dzielnymi przodkami. Usuńmy tę trumnę i złożmy tego męczennika obok tój, którą ukochał za życia.

Stało się wedle woli kapłana. Stary wachmistrz, ze czcią i nabożeństwem ucałowawszy martwe ciało pułkownika, owinąwszy je w płaszcz, razem z księdzem zasunęli za świeżą trumnę. Potém zmówili modlitwę; a w końcu zajęli się czynnie zatarciem wszelkich śladów spełnionego grzechu niedotrwania. A kiedy nadedniem ukończyli tę pobożną pracę, rzekł ksiądz:

— Zda się, mój Pawle, nie potrzebuję ci polecać tajemnicy przed dziećmi, a z góry rozgrzeszam grzech kłamstwa, abyś im powiedział, że ten nieszczęsny zginął na placu boju. „Przebaczone im grzechy wielkie, albowiem wielce ukochali”—zakończył kapłan temi słowy drugą ceremonią tego niespodzianego pogrzebu.

### III.

## Historya murów.

Gdyby ludzie swojego czasu pisali historyą murów, niezawodnie pisaliby zarazem historyą, nie tylko rodzin, ale i całego kraju — mury bowiem jednocześnie z narodem wzmacniały się i rosły, albo rozsypywały w gruzy i pochyły ku upadkowi. Gdyż po wsze czasy, mury dawały nicomylne świadectwo o sile, nie tylko materialnej, ale i duchowej narodu: póki zamki stały mocne, najeżone obroną, obsadzone potężnymi prawicami, które duch męztwa zagrzewał do czynu, były one świadectwem epoki kwitnącej. Lecz skoro też zamki padły w ruinę, wały osunęły się, a baszty, niegdyś proste, niebios prawie sięgające, zgarbaciały i pochyliwszy się ku ziemi, poczęły służyć za przytułek gniazdom jaskółczym, a w murach, pustką tracących, zamiast okrzyków wojennych, odbijało się złowiesz-



cze hukanie puszczyka, to już były dowody niemocy i upadku, już się poczyniała ruina i co wieki potęgi wznosiły, to chwilka słabości obalała.

Niedbalstwo przeszłych, co do spisywania, tych dziejów, sprawiło, iż dziś z wielkim mozołem, musimy sięgać do wnętrza ziemi po odgrzebanie tych pamiątek.

Co rzekłszy, a nie nowego zaprawdę, coby ludziom ze smutnego doświadczenia wiadomém nie było—przyjrzyjmy się bliżej miejscu, z kąd wyszedł on kondukt żałobny, a przyjrzyjmy się pilniój, albowiem na poparcie rzeczonego, w starych murach doczytamy się historyi rodu, a szczebel po szczeblu, znajdziemy z wyżyn wielkości tój drabiny rodowój, do smutnego poziomu upadku.

Śliczna to rzeka wołyńska Horyń, a wije się tak sobie przez żyzne pola i niwy, łąki wybudujące trawami, sosny i dęby, niebotyczne wzgórki i doliny, jak ten młody wesóły wężyk rozigrany. Żałować prawdziwie przychodzi, czemu to one kręte, a piękne rzeki nie miały piewców, jak owa Wilija, co to ma „dno złociste, a niebieskie lica, i Niemen, co ją chwyta w gwałtowne ramiona?...” Prawda, że i Wilija jedna i wieszcz taki wielki był jeden... więc chyba o piękności Horynia, powierzycie na słowo, bo któż zuchwał „weźmie po Bekwarku lutnię?”

Owóz miejscowość opisywana, rozsiadła się w kilku wąwozach, co je siwy Horyń, wijąc się w fantastyczne sploty siędy i tędy, tworzył, to

wgłębiając się bystrzej, tworzył brzeg płaski, to płytszym przebiegając strumieniem, dozwalał skalistej glebie piętrzyć się ku niebu. Tu gładki łączkę zieloną, szeroką i lśniącą, jak gładki kobierzec, tam omywał stopę drzew odwiecznych a jakby całując ich nogi, hołd starości oddawał, owdzie muskał ożywczą wodą i odświeżał obfity plon rolnika, a wszędzie bujał i szumiał ze swobodą i rozkoszą, jakiej ludzie nie doznawali. O! bodaj-to być rzeką!

Dotąd to jakoś Bóg dał, jako błogosławieństwo pokoju. Przypatrzmy się z kolei, około czego ludzie się zakrzętnęli, a co było ich dziełem? Nagromadzili kamieni, wzniesli mury, aby się ochronić od chciwości i zawiści bliźnich, a za napad i chęć wydzierstwa, siać śmierć i pożogę, nieść wzajemne dzieło zniszczenia. A mury silne stały długim szeregiem; przebiegnijmy ich historią o tyle, ile z tych groźnych, a zamikłych kart, odgadnąć można.

Górowało nad innemi, niby olbrzym nad karłami, stare groźne zamczysko, całe wieki na silnych barkach dźwigające. Poczerniało od pocisków lat kilku setek, najeżyło baszty kolezaste, jakby zęby żarłocznój bestyi, krwi niesytéj; w dal spoglądało strzelnicami, jakby czujny Argus stuoki; dokoła otoczyło się wałami, to jakby groby, zawczasu dla tysiącznych pokopane ofiar; jeden róg kąpało sobie poważnie w Horyniu, który, chociaż od lat setek warczał i gniewał

się, iż mu bieg tamowano, a gwałtem w inną obróconę stronę, lecz uledez musiał olbrzymowi, gdyż jego siła była dlań zaledwie dziecinném muskaniem.

Czas tylko jeden, zębem niemiłosiernym szczybił potroszę niespożytego giganta, ale rad nie rad, swą pracę syzyfową na długie wieki rozłożyć musiał—a olbrzym, świecący jeszcze potężną resztką, dożywając tych długich, a mocnych ostatków silnego żywota, zdawał się urągać małości i bezsile nowych, skarłowaciałych pokoleń.

A brona, (tak dawniej bramę zwano) wykuta w jednej ogromnej bryle granitu, spojona sztabami żelaza, których wielkość świadczy, iż chyba je olimpijskie kowały cyklopy, a nie dzisiejsi wzięli śmiertelnicy, panując nad całą okolicą, wspaniałością swą urągać się zdawała gmachom, co się dokoła niej snuć ośmielały.

Nad bramą jaśniał starodawny klejnot „Leliwa,” co kraj tyłu sławnymi mężami udarował. Prawdziwie dziwić się trzeba było dłutu, które to areydzieło wydało, bowiem, pomimo ogromu rozmiarów, tyle tam było delikatności i finezyi w wycięciach, zagłębieniach, wypukłościach, iż na małych rozmiarach rzeźba ta wykonana, jużby kunsztmistrzowi sławę zjednała: sześcioroga gwiazda klejnotu z pół księżycem tak się świecić zdawały, jak wśród najpogodniejszej nocy, a na hełmie pióra pawie, jak żywe, zdawało

się, iż ptak gdzieś ukryty swój ogon roztoczył. Obok Leliwy, drugi herb, niestety, był strzaskany, widocznie od działowego pocisku, lecz pozostały z niego wierzeh, przedstawiający pannę między jeleniami rogami, z przepaską na głowie, świadczyl, iż całość niegdyś herb *Natecz* przedstawiała (\*). Dokoła był napis łaciński: „*Melius est nomen bonum, quam ungenuta pretiosa.*” (Lepsze jest imię dobre, niżli maście drogie)—a właśnie, jeżeli czytelnik przypomni, ta sama maksyma, którą przy obchodzie żałobnym ksiądz w mowie swojej przytoczył.

Dozwalając sobie pewnego odstępstwa od rzeczy, powiemy, iż dawniej wszystkie zdania i maksymy przy klejnotach, stawiane przez heraldyków, na mocy bliższej znajomości charakteru herbownych, lub przez tych samych obierane, jako zasady życia i postępowania, miały pewne ważne znaczenie, a stanowiły niejako prawo, którym się rody z pokolenia w pokolenie rządziły. Dziś i to jak wiele rzeczy spopolitowanych i zmałych, i one maksymy, poniewierające się na karetach pańskich i herbownych guzikach fagasów, stały się śmieszna i dziką pretensją (\*\*).

---

(\*) Autentyczne. Piękną tę rzeźbę piszący oglądał w całości, jeszcze przed dwudziestu kilkoma laty.

(\*\*) Co do tego, pozwolę sobie w odsęlczu, opowiedzieć anegdotkę prawdziwą: zdarzyło mi się we Lwowie

Zamek ten był odwieczny, a iż wiały z niego jakaś dziwna siła i potęga, to już nie ma co powiadać, bo sam widok jego imponujący trwożą przejmował, stał zaś jako puklerz mocny, jako ludzie stali jego czasu, niespożyci i niepokonani.

Od zamku onego, jako niby protoplasty tój obronnej twierdzy, ciągnęło się młodsze pokolenie baszt, zameczków, wież i wieżyczek, wijących się około tego praojca, jak drobna dziatwa, dokoła opiekuńczej piastunki, pochylając pokornie głowę przed mocą praszczura i jego potęgą.— Drobne-ż to isticie były dzieciny, jakby poronione odłamki tego ojca olbrzyma, a liczne szczęty i blizny na ich wątłym ciałku, świadczyły iż brak im tego uroku nietykalności rodzica; a nie mogąc mu sprostać w mocy i sile, aby czemśkolwiek błyszczyć, jak ona zalotnica w świecidła, tak się ustroiły w ozdoby sztuczne,

---

na ulicy, widziéć obok arystokratycznej karety, z kilkoma herbami, jaskrawo odmalowanemi i złożonemi, kupkę rozprawiającój liberyi, która życzyła sobie dowiedziéć się znaczenia napisu dokoła herbów: „*Recte et Impavide*” — owóz dumny ze swéj errudycyi lokaj uherbowanego powozu, tak to objaśnił:

— Co wy tam wiecie, to pisane po węgiersku, a trochę z rusińska — *Im paw ide*, to znaczy, co u mojego państwa jest aż dwa pawie, co chodzą po ogrodzie.

Byłem świadkiem, jak uczoność ta zyskała ogólne uznanie i ot, do czego dziś herby prowadzą!

które już nie o postępie ducha, ale o kunszcie sztukatorskim dawały świadectwa — a lubo wdzięczne i miluchne, atoli jakże wątłe były one dziateczki i kiedy rodzie olbrzym drzemał sobie spokojnie, borykając się mężnie z czasem niszczycielem, one się już w gruz rozsypywały.

I niech-że kto spojrzawszy na te metamorfozy budowy, zaprzeczy, iż w nich nie leży historia rodu i narodu? A jakby wóz pchnięty ze stromiej pochyłości toczył się coraz szybciej ku dołowi tak tu widziałeś zmalenie i niknięcie dawniej potęgi; widziałeś, jak upadający rozpaczliwie się czepiali błyskotliwych pozorów, byle raz jeszcze zaświecić zapożyczonem światłem... Niestety!

Nad wszystkimi bronami, jaśniała stara *Leliwa*, pod cieniem której cały szereg mężów sławnych dojrzewał, która wykołysała Jana Tarnowskiego, szczyt chwały narodu w męztwie i mądrości, do prastariej przyłgnęły inne klejnoty po kądzieli, atoli *Leliwa* zawsze prym trzymała po mieczu.

Ale i ta potężna *Leliwa* na malejących zamczkach widocznie malała, w jakieś się zniewieściałe przystrajając ozdóbki, a gdybyś na klejnot spojrzął okiem bystrém badacza przeszłości, dostrzegł byś niezawodnie, że ów miesiącek bladł i posepniał, a sześcioroga gwiazdka już jakby z zachmurki rzucała połysk trwożliwy i niepewny.

Zanadto dalekoby nas zaprowadziło; gdybyśmy chcieli kamień po kamieniu oglądać, cały szereg zamków, baszt, wież i wieżyczek, które stopniowo przez wieki warowną tę miejscowość składały; zresztą już wiele z nich rozsypało się w gruzy, tak iż zaledwie pierwotne znaczenie z resztek możnaby było odgadnąć.

Przejdźmy więc do ostatniej budowy, będącej siedzibą ostatniego dziedzica — a czem to ona była?—mimowoli zadałbyś sobie to pytanie na pierwszy rzut oka — na pozór niby to zamek z wieżami, basztami nastrzępionemi w kolce ze sztukateryi złożonej; otoczonej niby to wałami ozdobnemi w kwiaty, upstrzonej w strzelnice, różnobarwnemi szybami ozdobne. Miasto dawniej brony, wznosiła się marmurowa kolumnada, a taka piękna połyskująca, że weale nie znać na niej było, aby wraże pociski miała odpierać. Przy każdej kolumnie stały działka niewielkie, ale nie ze spiżu, a jakieś mosiężne, polerowane, którymiby zeszlowieczna diatwa za cacka nawet pogardziła, przy każdym działku stał straszny rycerz, w zbroi połyskującej od słońca, z dzidą ogromną, w szyszaku, w jednym ręku trzymał miecz, drugą na dziale opierał, jakby tuż tuż miał ją podpalić... aż straszno było patrzeć! Tylko niestety, rycerz był gipsowy, tak jak działko z mosiędzu.

Nad portykiem jaśniała też sama *Leliwa...* ale Leliwa już nie ta poważna i straszna, któ-

rój miesięczek wzrok wroga oślepiął, a gwiazda wprost mu piersi kłula sześcioma rogami; ale Leliwa jakaś wycacana, jak panienska do tańca czuć ją czegoś było próżnością nowego pokolenia, ale nie krwią i prochem, a nad tarczą miasto hełmu, symbolu rycerstwa, a piór, w których dawni lotności męztwa dopatrywali, jakaś koronka dziewięciogalkowa niby... czapeczka z dzwonkami!...

O! stary zamku, jakeś ty we wnętrzu swęj staręj potężnej, acz w gruz rozsypującej się piersi, urągać musiał těj czapeczce, któraś swego czasu pogardzał, a myślał sobie o mieszkańcach nowego pałacyku:— „O! jakeście zmaleli i skarłowacielei synackowie moi, iż dla przyozdobienia głów waszych, trzeba těj marněj pokrywki przez nas wzgardzoněj!”

Dziwneż zaprawdę są fazy upadku narodu, iż co traci na prawdziwěj wartości, chwyta to na zewnątrz, w jakieś czcze ozdóbki i ornamenciki, jak chłopię przebrane za rycerza, co siła błyskotek i brzękadełek, na się wiesz, aby snadniej rówieśników przestraszać... Snać zamczek ten postawiony już na ziemi zdobytej, ani przed kim nigdy miał się obraniać—bowiem już połyskał sobie niewinnie i bawił, ale nie przestraszał, jak jego poprzednicy.



#### IV.

### L e l i w a.

Nim w dalsze labirynty onego bajania miłego wprowadzę czytelnika, winienem go z góry uprzedzić, iż wszystkiego co tu opowiem, z palca nie wyssałem. A tak, jak mury stoją oddawna, czyli dziś już resztki zakupionego gruzu i kamieni, żydzi z nich wywożą na wzniesienie — (rozumie się już nie twierdzy) — fabryki cukrowej, tak i dziedzice tych murów żyli niegdyś życiem, na jakie ich stać było w wielu pokoleniach, z których kilka już za czasów kronikarskich znalazło karty dla siebie zaszczytne. Ale wszyscy oni przeboleli swoje i złożyli swoje całopalenie na oltarzu ofiarnym dobra publicznego. Nazwałbym ich chętnie po imieniu, bowiem żyją jeszcze odłamki tych niegdy silnych gmachów, gdyby nie to, iż bywają okoliczności, kiedy z musu — *nomina sunt odiosa* — więc niech będą

dla nas od klejnotu swojego „Leliwitami” — zresztą jest jeszcze inne przysłowie: „le nom ne fait rien à la chose”—więc pozwól, czytelniku niech to sobie tak zostawa, a gdybyś się wypadkiem domyślił, o kim tu mowa, tём lepiej dla ciebie.

Ponieważ to pisanie nie jest historią rodu, więc o ludziach tu tyle, ile do wzniesienia murów się przyczynili—o nich tylko wzmianki pobieżne. Zaczynam od tego protoplasty, który on pierwszy mocny zamek pobudował, chociaż jego kartę sławy zaznaczyły kroniki; my poprzestaniemy na wzmiance o kilku nowych dziedzicach tój pięknej siedziby, jako bohaterach naszej opowieści.

Ongi siadywali oni Leliwici i w krzesłach dzierżyli pastorały i miecze, a jak to się zwało, ród był senatorski, alias karmazynowy, ciągiem zaś długim zamożny, skoro tyle zamków własnym sumptem nadźwigali, iż część znaczną województwa swoim ramieniem od napadów osłoniłi—a więc ród to był karmazynowy z prozapii, a rycerski z powołania.

Szli w ten sposób długim szeregiem, bili, co było do bicia, garnęli liczne beneficya i królewszczyzny, jakie tylko były do zgarnięcia — jak zazwyczaj karmazyny czynili...

Aż jakiś już tam dwudziesty potomek sławnego rodu, od którego opowieść naszą poczniemy, trafił na czasy, kiedy się bardzo rozje-

dniać poczynały dążenia tronu i narodu, poszedł więc innym torem, nie tym wytkniętym przez przodków, i przystał do barskiej konfederacyi, a cudów tam dokazywał; a chociaż, jako karmazyn, należał do wysokiej korporacyi generalności, przeto jednak więcej machał kordem, niż piórem, nie siedział tam gdzieś na obczyźnie, nie szukał interwencyi obcych dworów, której co prawda zrebelizowana część narodu, nie tak snadno spodziać się mogła, jak to dyplomatyzyjący przodownicy supponowali. Nabił za to, ile się wlaźło, ale że jak mówią: „kij ma dwa końce,” ergo i bitym bywał... ot i koniec.

A wiadomo, iż koniec był smutny tej junackiej i bohaterskiej, acz nie głęboko obmyślanej epopei, nie weselszy też i dla naszego Leliwity kasztelana . . . . . lskiego, bo co przewojował pieniędzy, to przewojował, ale nadto na dobra jego wołyńskie adherenci dawnego porządku i faworyci królewscy, z łatwością uzyskali kaduki, kasztelan zaś z młodą żoną, którą pojął zaniechę przed oną wojaczką, rad nie rad, tułał się razem z generalnością konfederacyi, nie gwoli już dyplomatycznym knowaniom, ale po prostu, iż nie miał się gdzie podziąć.

Owóz godzi się w tém miejscu napomknąć, jako to sarkać lubimy na tak zwaną u nas „arystokracją,” psy na niej wieszamy, że tam któryś karmazyn podczas zadarł wysoko nosa przed szaraczkim, a nie policzymy jej na dobry karb

*Lepsze dobre imię, niżli maść drogą.*

ofiarności i poświęcenia pro bono publico, których podczas rzesne dawała dowody. Nietylko to w życiu, ale i my pisarkowie w bajaniach naszych lubimy poniżać to, co kiedyś świeciło — ha! za to może, iż świeciło — poczytujemy i na palcach przeliczamy najdrobniejsze ich grzechy i przewinienia, a owęj *bonam notam* prawdziwego poświęcenia, coby im tam wiele zmazać mogła drobnych usterków, dać im nie chcemy i odmawiamy.

Ale wróćmy do kasztelana, a ten pan licznych włości, społem z młodą małżonką, także ze Śreniawitów, dla sprawy, którą ukochał, tułał się na Szlązku, zarabiając na życie talentem muzycznym, który na szczęście posiadał, a żona igłą pracowała.

A co mili koledzy po bajaniu? — *huża! huża!* na tę dawną arystokrację, bo to nie jeden podobny przykład mógłbym wam zacytować.

A jak powiada przysłowie: „cudza bieda, ludziom śmiech” — tak pierwszy rozbiór kraju za sejmu Ponińskiego, wpłynął na polepszenie losu kasztelana i jego rodziny, a to z racyi, iż posiadał jedną wioskę, która się dostała pod rozbiór austryacki, zatem kasztelan do téj jednéj wioski się dobrał i to dla nędzarzy wyrobników, szczęściem nadspodzianém się zdawało.

Jakimby tam był królem Poniatowski, ale jedną cnotę, a zdobiącą koronowaną głowę, przypisać mu trzeba, iż nietylko nie był mściwym,

ale największych nawet uraz niepamiętnym: ztąd to wszystkie przeciwko niemu zatargi łatwo się zacierają i szły w niepamięć, a z nimi razem i konfederacya barska, chociaż w rzeczy będąca aktem ciężkiej lezyi przeciw królewskiemu majestatowi — czego nie rychłoby może zapomniał inny panujący.

Ta to właśnie cnota królewska, wiele sprzyjała konfederatom, którzy w lat kilka wszysey bez wyjątku prawie, wrócili i do łaski królewskiej i do utraconych prerogatyw, a w ich liczbie i kasztelan po latach ciężkiej tułaczki, dobrał się do dóbr wołyńskich i jak się wziął w kupe, a był gorączka i przedsiębiorczy, tak częścią na drodze prawnej, a częścią imając za łby i siłę, kaduki z ojcowizny powygniał; — co mu tam one nadszarpały mienia, to już przepadało, ale zawsze do swego wrócił i byłoż jeszcze do czego, bo niedarmo dawni mówili — „lepsze pańskie ostatki, niż szlacheckie dostatki.” A nawet z czasem i godność mu senatorską wrócono.

Prawda i to, że dawnego pana polskiego nie tak snadno było zjeść w kaszy. Znow kasztelan nadszarpane mienie połatał, pochylone zamki podpięrał i znow sobie dawniej buty zażywając, na króla z podełba spoglądał, jak na parwenjusa, co to już było we zwyczaj u panów za Poniatowskiego — a motał sobie tylko na wąż, czém to mu podczas sadła za skórę

zaleje. Lecz jakoś rychło okazyi się nie przydarzyło, więc tak tam lat kilka spokojnie spędził w cichości u zamków ojcowych. Życie tedy szło beczynnym, szczęściem, iż Bóg je rozweselił, dając kasztelaństwu dotąd bezpłodnym, po kilku latach pożycia, pięknego synaczka, a może to dlatego tak późno, iż u nas panowie, na wzór słońców pładzili się tylko na własnych śmieciach.

I dobrze im tam było, synaczek rósł ku chwale Bożej i pożytkowi bliźnich, a rodzic tymczasem jeździł na sejmy, ile ich tam było, ażeby przy okazyi, królowi łatki przypinać.

Na ostatnim sejmie grodzieńskim, jakoś mu się najmniej udało: trzymał ze znaczną mniejszością, ale za ostro, jak się innym wydało, więc schwycili go, wywieźli daleko, szczęściem nie na długo. Dobra znów mieli sekwestrować, ale do tego nie doszło, bo powodzenie partyę przeciwną w dobry humor wprowadziło.

Znów wtedy wrócił kasztelan na stare śmiecie—ale złamany ostatecznie, zgrzybiały, chory, tetryk zdesperowany, bo już miłych okazyi nie miał w spodziewaniu. Odnowiły się mu rany ciała w różnych potrzebach zadane; a może stokroć więcej dolegały rany serca od boleśnych zawodów i utraconych nadziei—sposępniał, włosów nie strzygł, brody nie golił, paznogi nie obcinał, żył, jak smutny żałobnik—tylko na synaczka poglądał, jak na rozjaśniony horyzon-

eik na pochmurnym niebie, a wtedy jakoś lżej wzdychał.

Atoli do klęsk publicznych, nowe kasztelanowi przyrosły nieszczęścia domowe, wierna jego towarzyszka doli i niedoli — żona, dzieląc jego smutki, padła nieboga pod ich ciężarem i stroskanego osamotniła. Przywalony tą troską, spruchniał do reszty ten silny dąb, nadtoczony nieszczęściami, a choć duchem sprostał, ale upadł ciałem i siłą — utracił władzę w nogach, co tyle przeszły świata i już niemocnego w wózku, tylko wożono. Padł biedak ciałem, ale nie duchem i sercem, które biło zawsze gorącą miłością dla kraju i rwało się do nowych rojeń, a spodziewań.

Owóz z dawniej chwały Leliwitów, pozostał ino pień nadtoczony poświęceniem, a na nim jeszcze jako zadatek lepszej przyszłości, zieleńiła się latorośl, ów synaczek kasztelanie, którym niebo łaskawe troski i poświęcenia rodziców nagrodziło.

---

## V.

### D ę b n o.

Po wsze to czasy bywało u nas, iż jak okręt małą łódkę za sobą pociąga, tak przy rodach możniejszych, świetniejących zasługą i mieniem, garnęła się mniejsza szlachta: nie było to wszakże nagannem służalstwem, jak mieć chcą niektórzy przeszłość naszą pomraczający, ale węzeł to był duchowy i rycerski niejako — wierzono, iż zawsze Opatrzność wybierała ludzi do przodowania w rodach i narodach, a cześć im i prym bez zawiści oddawano.

Dziś zapewne, przy ogólnój dążności do rychłego wyniesienia i zdobycia fortuny, stosunek taki, zdawałby się anormalnym, bo faworyzowanych przez los, zwykli inni obrzucać zazdrością i jeżeli ktoś tam w téj żegludze życia wypływa na powierzchnią, to bliźni rad go popchnąć na dno, byle współzawodnictwa nie znosić. — Dawniej



świecił sobie każdy, jak go stać było, jeden jako silnie rozpalona pochodnia, drugi skromnym światełkiem świętojańskiego robaczka — a każdy tam błyszczał po swojemu dla dobra ogółu i szedł swoim torem, nie zajrzając możniejszemu.

Ztąd to wynikało pewne pobratymstwo w rodach, a dwa takie spojone od wieków nierozwalnym węzłem przyjaźni, dzieląc ze sobą zawsze dołę i niedolę, lejąc wino do jednej czaszy i krew na jednym polu, zrastały się ze sobą, jakby dwie latorośle jednego szczepu, a tworzył się między nimi węzeł, silniejszy nad wszelkie pokrewieństwa.

W obszerne posiadłości Leliwitów nad Horyniem, wkłęsała niezręcznym klinem wioszcyna mizerna, a tak jakoś niedogodnie dla większych dziedziców, że im łany przepołowiała i znacznie dłuższe czyniąc przestrzenie, była zawadą w ekonomicznym gospodarstwie.

Coby to z taką wioską zrobił dzisiejszy magnat? na podstawie egoistycznej francuskiej maksymy: „*ote-toi de là que je m'y mette*” „(ustąp się, chcę tam stanąć).”

Najprzód starałby się szlachcica pozbyć szykaną, a potem, chociażby jak największym kosztem, a w razie oporu w chęci ustępstwa, dokuczyłby mu setnie, sprocesował i wysadził, jak prochem.

A tu tymczasem od wieków, przez kilka pokoleń, działo się inaczej; miasto wykurzyć szlachetkę, jak pszczoły z ula, magnackim obyczajem oba mienia, pańskie ze szlacheckim, zrosły się razem, jakoby dwaj bracia jednej matki; mocniejszy wspierał, czém mógł, słabszego, był mu poradą, tarczą i opieką, pociechą w smutku, pomocą w klęskach i złej doli, a ten maluczki, pod skrzydłami silniejszego, siedział sobie, jak u Boga za piecem, o nic się nie troszczył, o nic, jak powiadają, głowa go nie bolała.

Wioszczyzna zwała się Dębno, od klejnotu posiadaczy, jako i Leliwitów od swoich. A że powyżej przyjęliśmy zasadę — „nomina sunt odiosa” — zatem szlachezca onój wioski, nazwijmy „Dębniakiem.”

Odwieczne spojenie tych dwu rodów Dębniaków z Leliwitami, stwierdzało ową dawną pogadankę: „szlacheccie na zagrodzie, równy wojewodzie” — równał mu się też we wszystkim: jak Leliwici wznosili zamki granitowe na swojej ziemi, tak Dębniacy, nie ustępując im, budowali na wioszczyźnie własnej lamusy, choć drewniane, ale dobrze warowne i niejednen napastnik po łbie przy nich dostał.

Żyjąc sobie podług staniku, podejmowali w domu swoim i butnych Leliwitów, nie biorąc tego na ambit, że skromniej i ubożej, bo... szlacheccie na zagrodzie, równy wojewodzie!

Bratały się oba rody we wszystkiem, czy to u kolebki nowonarodzonych, czy przy ślubnych wieńcach, albo i trumnach: nikt Dębniaka, prócz Leliwity, do chrztu nie podał i vice versa, wspólnie się też na kobierce weselne wodzili, a swoim zmarłym oczy ziemią zasypywali. Słowem bez wspólności Leliwitów i Dębniaków, woda, jak to mówią, nie oświeciła się, ani we dworku, ani na zamku.

Atoli, co ich najbardziej spajało, to ni chleb, nie sól, lecz krew, wspólnie przelewana; od wieków szlachta nawykła widywać we wszelkich potrzebach Leliwitów z Dębniakami, jakby w jedno spojonych ciało, tak, iż zawsze mawiano:

— Oto Leliwita bije, gdzieś tam Dębniak być musi niedaleko.

Albo:

-- Dębniaka powalono, Leliwita w pomoc mu przyjdzie.

A zapisywało się gęsto w domowych raptularzach, jak tam w potrzebach jakiś Leliwita Dębniaka własną pierśią osłonił, lub Dębniak Leliwitę rannego podjął i od śmierci ocalił i t. p.

Zaprawdę, ażali się mogły węzły silniej spajać?

Obecne pokolenie dwóch rodów, Jan Leliwita i Jakób Dębniak, przez zrządzenie losu i jednakość pozycyi, jeszcze silniejszemi spoili się węzły: zrodzeni, prawie jednocześnie, kilka dni tylko ich przyjście na świat przedzielało, obaj jedynakami. Leliwita podał do chrztu św.

Dębniaka, a Dębniak Leliwitę. Następnie razem się chowali, z jednego Alwara czerpiąc mądrość, na jednym i tym samym stołku brali w skórę.

Co ważniejsza, iż na pierwszą potrzebę razem wyruszyli, a z nięj wspólnie guzy wynieśli i odtąd już wszędzie, gdzie bito, widziano razem Dębniaka i Leliwitę, jakby ze sobą zrosniętych.

Tułaczka Leliwity również ich nie rozdzieliła; bo chociaż Dębniak, jako drobna rybka, przesunął się niepostrzeżenie w tym odmiecie i nikt tam o kaduk na jego mizeryę nie zabiegał, lecz skoro się ujrzał osamotnionym, bez brata, a już był sierotą, sam jeden na wiosce, począł tęsknić i mówił sobie:

— Pal dyable całą chudobę! co mi po nięj bez pana brata Jana, któremu może się na co przydam.

I jak rzekł, tak bez namysłu sprawił, zdał wioskę na pieczę Bożą, a sam nogi zapas i poszedł szukać brata Jana, a choć dokładnie nie wiedział, gdzieby się ten znajdował, ale od czegoż język u szlachecca, a jak począł pytać, tak i dopytał.

Uścisnęli się bracia gorąco na wygnaniu, bo i Jan setnie zatęsknił za Jakóbem. Ale, gdy pierwszy sentyment ochłonął, spytał Leliwita:

— A tyż zkąd się tu wzięłeś, bo gdy nas obydwóch raniono pod Isakowcami, straciwszy przytomność, jużem cię nie widział?

— Owóż jest, że i ze mną tak samo było i nie wiedziałem, co się z bratem stało, a kiedy się wylizał, to z tój racyi było mi srodze markotno, nie mając pewności, co się z panembratem dzieje.

— A cóż się z tobą stało?

— A cóż miało być, przyschło, jak na psie— i oto jestem.

— A gdzieżeś się potém podział?

— Ano gdzież, wróciłem do siebie do Dębna, bo to widzisz, ci wielcy, na małą zwierzynę nie polują, więc zostawili mnie w spokoju...

— Czegóż ty tutaj, kiedy tak ci się skrupiło?

— Cóżbym tam u siebie robił bez pana brata?—czekałem, czekałem, mosanie, rychło-li wrócisz, aż tu kaci przynoszą kaduków na twój majątek. Ja tedy, mosanie, zebrałem okoliczną bracią szlachtę i nuż dalój na tych kaduków, nabiliśmy im parę potężnych guzów, ba, ale siła w końcu przemogła... Myślę tedy sobie, co ja tu mam tak samopas siedzieć na pustkowiu, pójdę, odpytam pana brata, może ci się zdamna co?

— Bóg ci zapłać za dobrą chęć, panie bracie, ale wioska twoja?..

— Zostawiłem na łasce Bożej, a cóż tam z miejsca nie ucieknie, a da Bóg razem powrócić, to znów sobie zasiądę na starych śmieciach.

Nie był wygnańcom ciężarem Dębniak, a zdał się wprawdzie do czarnej posługi, to im drzewo rąbał, wodę nosił i wszystko około domu prawował, a gdy pani Leliwitowa chciała

przeciw tój jego robocie protestować, tak oponował:

— Każdy tu po swojemu pracuje, bo tu niema ani Leliwitowa, ani Dębna, pan brat zarabia skrzypeczką, jejmość kobiecym kunsztem, a ja tём, do czego się zdałem, byle chleba darmo nie jeść.

W końcu, jak się wyżej rzekło, bracia oni serdeczni powrócili razem, Leliwa swoje kaduki odzyskał, Dębniak zasiadł na nowo na skromnej roli i pracą rychło powetował.

A gdy synaczek Jana na świat przychodził, jakaś samotność zaciężyła Jakóbowi i także sobie towarzyszkę dozgonną odszukał, a w parę lat po Leliwie, sam się ojcowstwa doczekał, zasumował się tylko, iż to nie był syn, a tak tę swoją zgryzotę opowiadał:

— Za wszystko trzeba Bogu dziękować, ale zawsze wolałbym chłopaka; co to komu po podwice? pójdzie na cudze ręce, a któż się będzie razem bijał z Leliwitą, kto za chłopaka twojego łba nadstawi?... A tём mi to jakoś frasobliwiej jest, iż ja, ostatni Dębniak na rodzinnej wiosce.

— Nie szczekaj tam waść na moję córkę— protestował Leliwita, bo rozumić się, że nowonarodzona była już z dawnego zwyczaju jego chrześniaczką—takiego ona sobie chłopca zdobędzie, co jeszcze i teścia w kąć zapędzi odwagą i animuszem.

Żyli tak sobie i starzeli się obaj sąsiedzi, oglądając się i nasłuchując, ażali się jakaś nowa

okazywa nie przytrafi, ażeby szabliska ze rdzy obetrzeć, ale jakoś na ich nieszczęście długo się nie przytrafiało; więc radzi, nie radzi, w pokoju cieszyli się dzieteczkami, Stanisławem i Anną, którzy znów razem wzrastając, sobie nawzajem się radowali.

I znów się doczekali bracia, iż usłyszeli trąbkę wojenną, nie omieszkali wyruszyć. Rwał się wprawdzie i Stach, już podrastający, ale na ten raz jeszcze, jako zamłody, pozostał pod opieką dwóch matek, swojej i Hanulki, bo się obie te rodziny, jakby jedna, miłowały.

I znów wrócili bracia z pod Dubienki i Zieleniec ze zdobytymi guzami, a utraconą nadzieją i tak siedzieli, biadając, aż nastął sejm grodzieński, na który Leliwa pospieszył, jako senator, a nieodstępny Dębniak, jako amator.

Że się Leliwa trzymał zaszczytniej mniejszości, nie podobał się plądrującym na sejmie, a w skutek tego, wywieziono go, gdy zaś miał już oplakiwać przymusowe rozłączenie z bratem, kiedy pod strażą wsadzono go na wóz, omal nie krzyknął z podziwu, ujrawszy Dębniaka w huni, jak siedział na koźle, w charakterze woźnicy.

I znów wrócili bracia pod rodzinną strzechę, kasztelan, choć zawsze wielki duchem, ale upadły ciałem. Dębniak, jeszcze krzepki, nadzieję żywił w sercu, chociaż bolał nad brata niemocą.

## VI.

### Doczekali się!

Smutna zaiste dola spodziewających się; każdy z nich wie jedno, iż czeka, a Bóg jeden, co mu zeszle i czego się doczeka. Czekali biedni bracia świetnych nadziei a tu im smutno słońce się pomroczyło czarnemi chmurami na te ich rojenia i spodziewania.

Wszystko poszło na opak i ex publicis i w sprawach domowych: w pierwszych cisza żałobna, jak nad grobem otwartym, a w domu ruina, praca bezowocna, utracone świetne nadzieje, wyczerpały do reszty siły dwóch mężnych niewiast, a w jednym roku obaj bracia powdowieli.

Leliwa upadł do reszty na siłach, nogi mu odjęło, już w wózku wożony, bolał nad stratami kraju i domu — smutna starość!

Dębniak, jakby od miana klejnotu, czerpiąc sił niespożytych ostatki, był silny, jak dąb, on



całemu domowi dodawał otuchy i animuszu — chociaż, czy je sam miał? — to wielkie pytanie.

A i bieda nawiedziła zamek, bo czas to był taki, iż czego sami ludzie nie przewojowali, to nieprzyjaciel splądrował. Zatem, Dębniak, własną wioskę zdawszy na wolę Bożą, pilnował już zamku, w pocie czoła pracował nad wyżywieniem téj pysznej nędzy.

Dwoje tylko młodych — czy dlatego, że młodzi? — patrzyli na świat różowo, nie widząc, iż tak smutny jest i odarty z nadziei. Bodaj-to młodość, której się wszystko uśmiecha! A tak bez troski i zadumy, szli ręka w rękę, przez to życie i to samo niebo, co nad innymi się chmużyło, jasnym się im zdawało.

„Nigdy nie trzeba tracić nadziei,  
Bo bez nadziei, — jakżeby żyć?” —

Głosiła stara piosnka owego czasu, a więc nasłuchiwali sobie wszyscy trąbki wojennej, aż o radości głos jój zabrzmiał na dużym obszarze. O, jakże-ż im tam było radośno i błogo na sercach rycerskich, jakże w mężnych duszach dźwięki te odbiły się echem rozkosznej melodyi!... trudno to opisać.

Bolał srodze jeden tylko stary Leliwa — gdyż mocny jeszcze na duchu, upadł ciałem, skowany niemocą w nogach, utyskiwał, iż mu Bóg już ducha nie odebrał, a pozostawił go nieużytecznym ciężarem.

Na hasło trąbki, pełnej nadziei, co było, ru-

szało się, co kto miał na ciele, niósł na ten ołtarz wielkiej ofiary ostatniego wysiłku, co miał w piersi, ile serca, ile odwagi, rad był wyjąć i dać ochotnie na to całopalenie! Oczy wszystkich, z szerokiej kraju polaci, zwróciły się na zamek Leliwitów, z którego od wieków z pokolenia w pokolenie mieli przewodztwo w potrzebach i zaledwie teraz ta trąbka głośniej zabrzmiała, siła szlachty zwała się na zamek i do Leliwity...

— Prowadź nas!

O, któż wypowie boleść niemocnego starca!... Miotał się, jak ów lew spętany, rzucał się z wózka na ziemię, kaleczył ciało, wołając, a raczej rycząc rozpaczliwym głosem:

— O, Panie! za jakież to winy tak mię skarałeś, iżes mi dał *mens sana in caro infirma* (\*), pozwalając wzlatać duchowi w krainy szczytnych spodziewań, więzisz to cielsko niemocne i trzymasz ciężar, niepotrzebny na zawadę ludziom.

Boleli i plakali ludzie nad nieszczęśliwym rycerzem. Obraz bo to był serce rozdierający.

Czas wszakże naglił, zwłoka byłaby grzeszną. Nadarzył się kapłan pobożny, siłą słowa wiary ukoił rozpaczliwą boleść starca i więzami chrześcijańskiego poddania się ją spętał, a Leliwita, znów wielki, jak przodkowie, karę tą niebios

---

(\*) Duch zdrowy w niemocnym ciele.

mężnie przenosząc, z wózka swego błogosławił spieszącym na pole poświęcenia i ofiary.

— Bóg wie, co czyni — prawil, uspokojony, a pocieszony, iż chociaż niemocny, doczekał wielkiej nadziei.—Wyroki opatrności są niezbadane, a ona, moja niemoc, na dobre wam wyjdzie, bo za mnie będzie Dębniak wami przewodził, a on wytrwalszy i silniejszy.

I znów na zamku, jak za dni dobrych, rojno było i gwarno, tłumy się snuły zbrojne. Wytocono stare beczki, ze starych piwnic, całkowite woły i barany pieczono na dużych rusztach, pod gołym niebem.

Kiedy się to działo, a na hasło do wymarszu oczekiwali, z czém się nieco wódz ociągał, aby większe siły, przybywających z dalszych okolic, nagromadzić—Leliwita wezwał Dębniaka na konferencyą, i owóz, co radzili:

— Posłuchaj mię, panie bracie—zagaił Leliwita—już tedy i synkowi mojemu czas, bo smaracz się rwał i do ostatniej potrzeby, no, ale był jeszcze za młody, teraz rok mu 19-sty, was się zasiewa, weź go tedy pod swą mężną opiekę, tylko-ż na afekt nasz braterski zaklinam, nie oszczędzaj go, hartuj, on zda się mężny, kłamu nie zada dobrej krwi Leliwitów. Luboć to jedynek, a do tego ostatni z rodu, pragnąłbym z niego pociechy, póki się to mizerne życie wleca, aliści przedewszystkiem wolę go odważnego na marach, nad małodusznego przy życiu; a co

*Lepsze dobre imię, niżli maście drogic.*

5

do tego, nie mogę go lepiej powierzyć na pierwsze pole, jak w twoje wierne, a mężne ręce... A co tam Bóg da, niech się dzieje Jego święta wola.

— Ono to prawda—odpowiadał Dębniak—iż chłopak się rwie, pilno mu jest do tego chrztu cyncerskiego, atoli, jakże wy tu sobie zaradzicie przy waszój niedużości, panie bracie, z jedną dziewczyną...

— I z twoich-że to ust, mój Jakóbie—ofuknął kasztelan — usłyszałem takie bluźnierstwo, a gdzieżeś to słyszał kiedy, aby 18-to letni Leliwita siedział za piecem, kiedy się wszyscy ruszają... kiedy zabłysły takie świetne nadzieje, jakich dotąd oczy moje nie oglądały!... Gdyby i nie to — wiesz o odwiecznej tradycyi w naszym rodzie, że dwóch Leliwitów czasu wojny, na zamku siedzieć nie może i jeden zemrzeć musi, a jeżeli śmierć kapryśna wybierze Stanisława?...

I staremu zwisła głowa na piers, od gwałtownego bicia serca (falującą, a gdy się uspokoił, prawił:

— Bluźnisz, Jakóbie, a Bóg nad nami!.. Co do mojej chrześniaczki, to mi jej nie postponuj, ona wszystkiemu zaradzi, to nieodrodne plemię, Dębniaków... Ale, ale, kiedy się o tém zmówiło powiem, iż zamysłam się, jakby dzieci nasze postanowić...

— A cóż to wam się stało, panie bracie?... Azaliż czasu takiego, kiedy krew się ma polać.

strumieniem, przystoi więc ślubne wieńce. Zresztą o Hannę nikt nie konkuruje, wy tam sobie z synem czyńcie, jak się podoba, wasza w tém rodzicielska wola, ja tego dziś na myśli mieć nie mogę!—z oburzeniem wypowiedział Dębniak.

Ale kasztelan, nie tracąc spokoju, ciągnął dalej:

— Gorącoś waść kapany, bracie Jakóbie, racz-że mnie tedy dosłuchać do końca.

Co powiedziawszy, o ile mógł, na siedzeniu zgiął się do pokłonu, a mówił z powagą i rewerencyą.

— Mam zaszczyt, czcigodny panie bracie, submitować się wam o rękę waszój córy rodzonej, a mojej chrzestnej, w imieniu kasztelanica . . . . lskiego, Stanisława Leliwy, nam wielce miłego syna.

— A czyś waść oszalał, czy ze mnie sobie niewczesną krotochwilę wyprawiasz?... tego dłużej słuchać nie będę!—zawołał Dębniak, tracąc cierpliwość, i w passyi, pędem puścił się ku drzwiom, z widoczném zamiarem silnie je za sobą zatrzaskać.

— Zaklinam cię na Boga i na miłość naszą braterską, pozostań i dosłuchaj mnie, boć nie mam żadnej krotofili na myśli, która w rzeczy nie jest w tym momencie na dobie, atoli ważne mam do przłożenia ci argumenta, naszych wspólnych dotyczące losów.

A jakoś z taką błagalną perswazyą zma-

wiał to Leliwa, iż Dębniak ochłonawszy z pasyi, stanął przed bratem w poważnej postawie słuchacza.

— Azaliż ty, brat mój, naściślejszém braterstwem, bo po krwi, w świętej sprawie zmieszanej, odmawiałbyś ręki twój dziewczki dla mojego syna?—z rzewném uczuciem, a ze łzami w oczach, wyrzekł Leliwa.

Czas jakiś namyślał się Dębniak, jakby chcąc się upewnić, czyli słuch go nie myli, a w końcu ozwał się z powagą:

— Lubo zawsze dziwić mi się wolno, iż brat, ten moment trwogi wojennej i chwilę wielkich poświęceń, do jakich wezwani jesteśmy, obierasz na traktowanie spraw Hymenu, atoli powiem, iż gdyby to były czasy pokojowe, a zawsze wielce bym cenił wysoki zaszczyt koligacyi z waszym domem, ale wybac mi, że w każdym razie odszedłbyś z rekuzą.

— Czyliżbyś bracie miły, mienił syna mojego, niegodnym być ręki tak zacnej panny... mów, mów mi szczerze, po bratersku, bowiem patrząc niezaślepieném rodzicielskiem okiem na Stanisława, możeś w nim dostrzegł wad jakich, lub zdrożności?... mów bracie, chociaż miałbyś mi serce ojcowskie zakrwawić — pytał kasztelan trwożliwie.

— Uspokój się miły bracie — podchwycił spiesznie Dębniak — powiem ci na parol szlachecki, iż gdyby Bóg łaskaw był mię obdarzył

synem, nie pragnąłbym mieć go innym, jak twój Staeh; zacna to rycerska dusza, godna sławy swych przodków i setnie bym dziękował Opatrzności, gdybym mógł moją jedynaczkę, z tak zacnym kawalerem postanowić...

— O Bogu chwała i bądź błogosławiony miły bracie, żeś ulżył memu ojcowskiemu sercu! — zawołał kasztelan w uniesieniu, a zakończył z wesołą rubasnością:

— Mój Jakóbie, chyba żartujesz sobie i po tém, coś wyrzekł tak zaszczytnie o moim chłopcu, iż nie chcesz mię mieć swatem, ty coś mi tyle razy życie wybawił, a piersią z własnym szwankiem osłaniał w gorących potrzebach! Ty brat mój jedyny, którego bym nad rodzonego, gdybym go miał, przełożył, ty odtrącasz braterską szczerą prawicę, którą z gorącym sercem ku tobie wyciągam!

— Cześć to i zaszczyt wielki, panie bracie, których ani dla siebie, ani dla méj dziewczki, pożądać nie mam prawa, wszakże przyjąć tego nie mogę, bobym uzurpował nieprzynależne nam honory. Gniazdo Dębów, aczkolwiek ci pocziwą sobie chodzą ścieżyną, lecz nie może pretendować, aby piskłeta dla Leliwitów hodowało; wam trzeba, panie bracie, dla waszego kawalera koligacyi, paranteli, a panny z karmazynów, a do tego z wianem przystojném, abyście to, co razem z antenatami, pro bono publico rozsieli, powetowali. Bóg więc zapłać za cześć, którą wedle

wysokiej wartości cenić umiem, ale do upadku domu [waszego, nie przyczynię się moją nie-wczesną ambycją i wyexkuzuj mnie (panie bracie, że już mowy o tém, między nami nie będzie.

-- Czyś oszalał panie Jakóbie! odkąd-że to szlachectwo mierzy się na łokcie, lub waży na wagę? A w czém-że to Dębno Leliwie ustępuje? Przecież Długosz o przodkach domu tego pisze, iż bywali *audaces, vehementes, gulosi, ad iram proni*, i nie myli się, bo to jakby patrzył na pana brata. A cóż się lepszego stać może Leliwitom, skoro odżyją we wnukach, którzy przymioty tego klejnotu posiadają, jeżeli będą „śmieli w boju, gwałtowni przeciw złości ludzkiej, żarłoczni na nieprzyjacioły, skorzy do gniewu na wszelaką niesprawiedliwość;” — słowem posiadają cnoty, którem na tobie od dzieciennych lat, ergo już od półwieka wypróbował? Moi antenaci mimo aliansów świetnych, jak ich zowiesz, i setnej części nie pozostawili mi z tego, co przez wiana posiadli. Azaliż to mienie człeka w mieszku jest, ale nie w sercu?... Tak panie bracie, nie spodziewam się ja od twój półwiekowej przyjaźni i koleżeństwa rekuzy, a témbardziej, iż Hanne, twoją córkę, a moją chrześniaczkę, miłuję, jakby i dla mnie była rodzoną.

— Nie zaślepiaj się panie bracie, momentalną fantazyą, którą-ć może sentyment twój nad moje



zasługi, dyktuje; wdzięczem zań jestem, ale na mojej dziewczki nogi, za wysokie wasze senatorskie progi, może się o nie snadno potknąć, gdyż ona nie do karmazynu stworzona. Doczeka ona swego, może Bóg jej nadarzy, jakiego pocziwego szaraka, a szczęśliw będę, jeżeli kiedy moje wnuki, służyć będą twoim, jako ja wam panie bracie wiernym przez żywot mój mizerny być się starałem, ale...

— Taką to wierna przyjaźń twoja—wybuchnął, zaperzony, kasztelan—że z twój przyjaciel-skiej ręki, mnie despekt, a mojego syna rekuza spotyka, to, co jeszcze w rodzie naszym od dziada pra-dziada nie przydarzało się?... Ha! snadź Bóg sądził, ażeby Leliwitów na tej ziemi nie-stało! Niech się dzieje Jego święta wola!

Po tych słowach, rzuconych z gniewem, uspokoił się na pozór, ale widocznie grały w nim rozmaite passye, bo to bladł, to czerwieniał, to mu pot kroplisty występował na czoło.

Dębniak, zalterrowany tą nagłą zmianą, stał ze zwieszoną głową, nie wiedząc, co ma począć.

— A niech i tak będzie — rozpoczął kasztelan, spokojnym, ale silnie wzruszonym, głosem—kiedy taka wola Boga, niech skruszą tarczę na moim grobie, dość już tych Leliwitów, którzy przez kilka wieków tłukąc się na tej ziemi, doszli tylko do gruzów i zwalisk... Dość!... dość!...

— Panie bracie, na miły Bóg, cóż sobie projektujesz?... a nie chcesz usłuchać przyjaznego

głosu perswazyi... Sam zważ, coby ludzie powiedzieli, gdybym przyjął twe swaty, obmówiliby mi dziewczynę, że z waszym chłopcem wdała się w amory, aby go osidlić...

— A ktoby to powiedział na moje chrześniaczkę, zamalowałbym mu pysk na wieki! — wrzasnął Leliwita z takim impetem, a tak gwałtownie poruszył się na wózku, iż gdyby go Dębniak nie podtrzymał, padłby z nim razem niezawodnie.

— Bracie, na miły Bóg, uspokój się! — błagał przerażony Dębniak.

Leliwita zaś, przechodząc z jednej aprensji w drugą, to się miotał, to uspokajał, aż nakoniec rzekł z przerażającym chłodem:

— Mimo onego despektu, który znoszę od ciebie, panie bracie, bez zmiany w naszym afekcie, za grzechy moje i przodków, jeszcze cię proszę o ostatni dowód przyjaźni; jak to się już rzekło dziś po północy, ażeby suspicyi nie obudzać, wyruszyście ze szlachtą do obozu, a razem zarządzisz z łaski swój, ażeby Stanisław wyruszył w inną dalszą drogę, niech mu tam przygotowują podwodę.

— Przecie zamyślałeś, panie bracie, wyprawić go razem z nami, chłopak się rwie, jak zagorzały? — wtrącił nieśmiało Dębniak, pomieszany.

— Co tam po Leliwitach w szeregach, już ich niema na świecie — odparł kasztelan, z pozorną obojętnością.

— Panie bracie! na przyjaźń naszą cię zaklinam, wyjaw, co zamýślasz?—pytał niespokojny Dębniak.

— Nie miałem dotąd przed tobą tajemnic, panie bracie, i nadal ich mieć nie będę: Stanisława przeznaczam do stanu duchownego w zakonie i dziś jeszcze pojedzie do Uściługa, do ojca Maryana...

— A, na rany boskie! jakiem-że prawem dla uporu i fantazyi, przecinasz ród, który długim szeregim przodków zasłużył się krajowi.. Przecież bywały przykłady, iż papieże, dla podtrzymania rodów, ostatnich potomków dyspensowali od ślubów zakonnych, już uczynionych. Opamiętaj się, bracie! azaliż to czyn, podyktowany przez passyą, godnym jest nie tylko Leliwity, ale każdego szlachcica? — wołał zapamiętałe Dębniak.

— Znasz mię, panie bracie, nie od dziś — rozpoczynał spokojnie, ale z mocą, Leliwita — znasz i ród mój, w imprezach stały, a nie chwiejny, zatem daremne byłyby twoje perswazye... a jeżeli łaska, zajmij się raczej przygotowaniem do wyprawy, jako jej wódz, bo czas nagli.

— Czegóż tedy chcesz, szalony i nieugięty ezłecze?... trzeba jakiej ofiary twemu uporowi, ja stary pójdę do najsroźszego zakonu, na najcięższe pokuty, ale nie gub syna, który nie ma wokacyi...

— Mieć ją będzie, skoro ja każę—przerwał z dumą kasztelan.

— Ależ do zagłady rodu, jakież masz prawo? Mów, czego chcesz...

— Nie przenosić rekuzy od przyjaciela...

— O, stary dzieciaku! na fantazyach magnackich wykarmiony, bierz tedy dziewczkę dla syna, ale pamiętaj, że ani ona, ani ja jej ojciec, o ten zaszczyt nie zabiegaliśmy...

— Chodź-że tu, mój stary, dobry przyjacielu, niech-że cię uściskam, jako mojego kolligata!— wołał uradowany kasztelan, wyciągając z wózka ramiona do Dębniaka, ale ten, z miejsca się nie ruszając, powiedział:

— Nie dziękuj za wymuszone, boś mi ten konsensus wydarł siłą, dałem go, aby cię od nieszczęścia i niemal występku, ochronić; ale pod tą jedynie kondycją, iż to będzie z wolą twojego syna...

— A odkąd-że to dzieci, do tego niepełnoletnie, mają inną wolę nad rodzicielską?— wtrącił gniewnie Leliwa.

— Co to, już wybac, panie bracie, tu zachodzi okoliczność excepcyonalna; nie chcę, aby ludzie nas z córką pomówili, iż korzystając z twój niemocy i młodości twojego syna, wdarliśmy się do waszego gniazda... od tego już nie odstąpię, a ten upór niech na moję dolę przypadnie— odrzekł Dębniak stanowczo.

Leliwa zaś podchwycił wesoło:

— Niech i tak będzie, chybaby miał rybią krew i wzrok kreta, żeby do takiej dziewczki, jak moja chrzestna, nie poczuł sentymentu.

Po tych słowach, kasztelan, odzyskawszy animusz, zatarł ręce radośnie i zawoławszy na służbę, kazał wezwać młodą parę, która zapewne dotąd nie marzyła, iż przyszłe jej losy rozegrywały się w téj chwili.

\*

\*

\*

Wnet tedy młodzi stanęli przed najwyższym rodzicielskim areopagiem.

On, był chłopak wysmukły, giętki, acz nie wybujał wzrostem, jak wszyscy Leliwici, ale gdyby tak można wyrazić, zwinnie zbudowany. Żywe oko strzelało bystrością, tając przytém jakiś filuterny wyraz wesołości, pewną rzewność i determinacją. Włos kruczy zwijał mu się gęsto w kędziory, lecz bujnego czoła nie osłaniał, wąsik czarny wysypywał się, jak jedwabiu sznurerek, na różowój wardze, która téj męzkiej postawie o niedawném dzieciństwie napominała.

Strój jego stosował się już do przedsiębranéj wyprawy, do którój serce mu się rwało rycerskie; miał na sobie mundur, jaki ogół zbrojny sobie przyswoił, choć co prawda nie każdy go wdziewał, bo nie miał za co sprawić, a były tam i proste lunie i chłopskie siermięgi, a nawet pono i żydowskie kapoty — boć to, co żyło tylko, cisnęło się do téj wyprawy.

Odziany był tedy chłopak w granatową sukmanę, z wywijanym amarantowym kołnierzem,

z guzikami złotemi, którą na giętkich biodrach, jakby przeciął na dwoje, paskiem białym skórzanym, a na nim huśtała się swobodnie szabelka lekka kawaleryjska, w pochwie żelaznej — do tego pantaloney łośiowe, pokryte zgrabnym węgierskim bucikiem, z kutasami; w ręku zaś trzymał magierkę czerwoną z barankową obwódka. Cała ta postawa, nie przestraszająca olbrzymością, zdawała się powiadać: „Daj mi tu konia, to mu skoczę na grzbiet — daj adwersarza, to mu skoczę do oczu.”

Mimowoli nasuwa się tu uwaga na wytłumaczenie miernego wzrostu chłopaka, że ilu w ten czas było prawdziwych rycerzy, wszysej nie odznaczali się ogromem wzrostu minionych pokoleń — ale zaprawdę, co stracili na sile, w duch im to przeszło.

A *ona?* — aż mi się powiadać nie chce, jak wyglądała, ażeby nie straciła w obec naszych dzisiejszych wysznurowanych i ubielonych heroin: wyobraźcie sobie dziewczuchę, pulchną w miarę, miernego wzrostu, o twarzy, jak krew z mlekiem, z wejrzeniem, pełnym słodyczy, acz nieco figlarnym; usta, może zanadto wydęte — bo nie umiała ich sznurować po naszymu, a w buzi tak białe i różowe, że nie wiesz, do czego porównać, czy do krwi, czy do mleka? A dwie kosy płowe, daleko za pas sięgające, tak się wily miękkością i połyskiwały, jak złoto.

Chłopiec, jak wszystkie chłopięta onego czasu,

mores znające, wszedłszy, wyprężył się przy drzwiach, jak struna — boć to i służba, a posłuch był synowski, niegorszy od wojskowego. Stał, a oddychać nie śmiał.

Z dziewczyną rzecz inna, boć to była pieszczoszka ojca chrzestnego; wbiegła, jak kotka rozigrana, a zarzuciwszy kasztelanowi białe ręce na szyję, dzwoniła srebrnym głosikiem:

— A może panu ojcu czego potrzeba, możebym w czem posłużyła, tak dawno pan ojciec mię nie wołał?

— Czekał-no, ja cię tu zamęcę, skoro zostaniemy sami — ozwał się stary, klepiąc dziewczkę po rumianych policzkach.

Dziewczyna, w pieszczotach twarz ukryła na piersi starca, widocznie, aby smutku nie zdradzić.

— A ty, chłopaku, co tam się wyprężasz, jak szeregowiec, pójdź sam tu — rozkazywał wesoło pan ojciec.

Chłopak miarowym krokiem żołnierskim, zbliżył się do wózka i znów stanął, jak wryty.

— Ano gadaj, chcesz iść na wojnę?

— Jeżeli wola pana ojca — odparł młodzieniec z szacunkiem, a głos drżał mu widocznie ochotą.

W téj chwili dziewczyna zarumieniła się silnie, a coś jej w oczku błysnęło jaśnie — czyliż-by to była lezka?

— Więc powiadasz, że chcesz wojować?

— Jeżeli wola pana ojca.

— Ale pamiętaj, nie stchórzyc, bo cię...—rozpoczął stary, drżącym od gniewu głosem.

— Nie stchórzę, panie ojcze... o, nie!—odparł młodzieniec tak bystro i rażno, jakby stał przed nieprzyjacielem, aż stary drgnął z radości, ręce mu się jakoś ciągnęły do uściskania syna, ale się w porę pohamował, bo to naonczas jeszcze moda pieszczot ojcowskich nie nastąpiła.

— Ano, to dobrze... Ale, nim pójdziesz na wojnę, możebyś się ożenił?...

— Jeżeli wo... — rozpoczął machylnie młodzieniec, ale reszta wyrazu zamarła mu na ustach.

— Jak powiadasz?

— Jeżeli wola pana ojca—wymówił chłopak drżącym, ledwie dosłyszalnym głosem.

Dziewczyna stanęła, jak skamieniała, a rumieniec ze świeżej twarzyczki niewiadomo, gdzie się podział i bladość go nagle zastąpiła.

— Ano, kiedy powiadasz, jak wola moja, to możebyś się zdeklarował mojej chrzestnej córce?

Młodzieniec, zabaczywszy szeregowę postawy, jak długi, plackiem padł do nóg rodzicowi.

Dziewczyna zaś, twarzyczkę, bardziej rumianą, niż była przed nią bladością, zakryła pulchnemi rączkami.

— A więc, mości stolniku Krzemieniecki, deklaruje się, według wszelakich form, o rękę waszej córki dla mojego syna—wypowiedział Leliwa, z nieco jowialną powagą, do Dębniaka.



— A jeżeli z wolą Boga, a przy affekcie naszej najmilszej córy, nie mam przeciw temu— odparł Dębniak, nie bez przymusu.—A zwracając się do córki, dodał w podobnym tonie: — Masz aśka skłonność do tego kawalera?

Dziewczyna, mieniając kolory na twarzy, jakby tęcza, za całą odpowiedź, padła ojcu do nóg i łzami radości zaszłochała.

— Niech was Bóg błogosławi, moje dziatki! wszakże, pomimo tego, od swego nie odstąpię, że się przychyłam do fantazyi pana brata, a taki swoje powiem, że co Leliwita, to nie Dębniakówna—mrucał stolnik, już napoły tylko gniewny, gdyż i sierzystość starców, rozbraja się miłością młodych.

— Gadaj tam zdrów, panie bracie, a ja wiem swoje, że Hanulka będzie mi podwójnie córką—prawił wesoło kasztelan, klepiąc zarumionione policzki dziewczyny.

— Ale nie powiedziałaś waćpanna, czyli chcesz być moją synową, a to pomiędzy nami ojcami *conditio sine qua non*—mów-że tedy wyraźnie: „chcę!”—bo może nie chcesz?

— Chcę, chcę — wyszeptała dziewczyna, ale cichutko, niby drobna muszka brzęczała.

— Ano, kiedy tak, to co innego, więc, dzieci, gotójdzie się do ślubu, który nastąpi przed wy-marszem, a tak rozpocznieś aśka matrymonialną karierę, jako słomiana wdowa — czy zgoda, mów?

— A już-ci, pierwszy kraj, niż żona!—zawołała rażno dziewczucha, zabaczając dotychczasowej konfuzji.

Złapał ją tedy starzec oburącz, a cisnąc do piersi, mówił rozrzewniony do Dębniaka:

— A co, panie Jakóbie, jakie to wasze Dębniakówny, toż to trzeba dobrze Bogu służyć, aby taką dziewczkę pozyskać; zaprawdę, warta ona nie Leliwity, ale chociażby i króla!... Ano, panie bracie, poczyńcie stosowne przygotowania, żeby dzieci dziś jeszcze połączyć...

— A cóż to się bratu stało, napađła jakaś gorączka, a nie wiecie, że jest przypowieśćka: „co nagle, to po dyable.”

— Jest też i inna, że „tylko ser odkładany dobry.” Nareszcie, bracie łaskawy: *bis dat, qui cito dat*, nie odmawiajcie mi tej pociechy, przy mojej niedużości, kto tam wie, jak mi długo, bo i pocóż ja się zdam na tej ziemi, kiedy, jak baba, mam siedzieć za piecem... No, no, panie Jakóbie, rusz-no się z kopyta i wszystko przygotuj!...

— Ale, gdzie zaś, ani zapowiedzi, ani innych formalności nie dopełniono...

— To już moja rzecz, jako w razie nagłym, proboszcz mi nie odmówi, a nawet go przed biskupem zasłonię...

— Ale jakże tak dziewczynie stawać na kobiercu, ani wieńca, ani sukni przystojnej?...

— Słuchaj-no, córuchno, czy wianek upleciesz, sukienkę wymoderujesz, masz tam na to dzień cały... mów asińdzka?—ozwał się wesóło Leliwa, klepiąc Hanulkę po rumianych policzkach.

— Skoro pan ojciec każe, to będę musiała być posłuszną — odparła rażno zapłoniona dziewczyna.

— A co, widzisz, panie bracie, jaką masz posłuszną córkę—rzekł uśmiechnięty kasztelan do Dębniaka, a rozwarłszy szerokie ramiona, z sentymentem dodał:

— No, ty stary koźle uparty, jeżeli już nie dla mnie, to uczyni coś *pro decorum*, bo już też bez opieki mię, kalekę, nie porzucicie, a nijako jest, abyśmy tu pozostali samopas dwoje młody wdowczyk z dziewczyną; przystojniój, gdy to będzie ojciec z córką...

Nie wytrzymał już dłużej stolnik, a rzucając się w objęcia Leliwy, wołał rozbrojony:

— A toż i ojciec nieboszczyk mój, mawiał, że wy, Leliwici, robiliście zawsze z Dębnami, co się wam tylko żywnie podobało, niech-że i ja tedy nie stanowią excepcyi od moich.

Długo się starcy trzymali w objęciu, aż pierwszy Leliwa ozwie się wesóło do młodych:

— A cóż-to, dzieci, stoicie, jak malowane, kiedy ojcowie się ściskają, bierzcie przykład ze starych.

Młodzi jednak stali na miejscu, zarumienieni, poglądając na siebie.

— A cóż-to, nie słyszycie?—z udaną srogoscią, ponowił rozkaz kasztelan.

— Jeżeli wola pana ojca!...—odparła razem młoda para, padając sobie w ramiona.

— Posłuszne dziatki!—śmiał się do rozpuku kasztelan, aż się wózek trząśł pod nim.

Zaprawdę, ktoby widział ten uścisk tych świeżych oblubieńców, przyszedłby do wniosku, jako silnie była w sobie rozmiłowana ta młoda para.

A jam, to nieudolny bazarz, taką dobrą gratkę wypuścił z ręki, nie wyzyskawszy jęj należycie. Ileżby tu można było przy tęg sposobności zadrukować bibuły, nastawić wykrzykników, sprawić oskomeę pięknym czytelniczkom, opowiadając krok po kroku, jak rozmiłowani poczynali w dzieciństwie od łątek; podrastając, przysłuchywali się gruchaniu gołębi, biegali po łąkach i gajach, zbierając kwiatki, wijąc wianki i t. p. Nie wyzyskaliśmy zręcznie sytuacji i tak, prosto z mostu, jak niby rąbnął siekierą, powiadamy, iż młodzi: *kochali się!* A prawda, jak to brzmi słodko? Atoli, żeby ono złe mimowolne, jako tak naprawić, za to ów ostatni rozdział powieści, chwalać dzieło hymenem, do środka przenieśliśmy.

\*

\*

\*

Ten widok gorącego uścisku młodych, rozweleli serca obydwóch starców, a przemógł nawet upór Dębniaka.

— A co, panie bracie—prawił doń Leliwa—  
czym to licho obmyślał, bo ponieważ tobie  
Bóg odmówił męzkiego potomka, trzeba było  
uciec się do jakichś szczególnych kombinacyi,  
aby Leliwa z Dębnem nie rozłączyła się, jako  
od wieków są ze sobą spojone. Bo kto tam wie,  
ile nam, a szczególniej mnie, trapienemu nie-  
mocą i tём kalectwem, pozostało?... Niech przy-  
najmniej z tamtego świata pogłędamy na wspólne  
nasze wnuki, może im Bóg miłosierny da za nas,  
że ich poświęcenie nie pójdzie na marne, jak  
nasze.

— Czyń tam sobie, panie bracie, jak wiesz,  
już ciebie nikt nie przeprze, ale ja od swego nie  
odstąpię, że co Leliwa, to nie Dębno — wtrącił  
stolnik bez gniewu, trzymając się dla fantazyi  
roli zadasanego, ale w duchu rad był, bo ko-  
góż-by miłość młodych nie rozbroiła?

Gdy już się społem nacieszyli szczęściem mło-  
dój pary, Leliwa przemówił:

. — Ale, panie bracie, a także już i swacie,  
czas na czasie nie stoi, a tyle nam jeszcze spra-  
wić dziś pozostało, bo to i weselisko odbyć i na  
wyprawę wyruszyć—„komu droga, temu czas”—  
zawołaj z łaski swój służbę, niech mię zawiozą  
do wielkiej sali, sproś braci, abyśmy z nimi po-  
dzielili radość familijną, bo niegodzi się ukrywać  
z nią, jakby z występkiem... Powiedz piwni-  
czemu, żeby odmurowali rychło framugę *paniczo-  
wską*, a co tam się włożyło w dzień jego chrztu,

niech tu przyniosą— „co kto komu winien, oddać powinien”—to przeznaczono na jego wesele, którego Bóg łaskaw, choć przy niemocy ciężkiej, dał mi doczekać... Napiję się i ja z wami, może po raz ostatni, nim tam ojciec Abraham piwkem mię poczęstuje.

Wnet się stało zadość żądaniu kasztelana, otworzono salę zamkową, która tam stała, jak świątynia rodzinna, jeno na wielkie okazye rozwierając szeroko swe podwoje — wspaniały był to iście przybytek. Sala wznosiła się przez dwa piętra, ściany miała od dołu do góry, powleczone karmazynowym adamaszkiem, suto złotem prerabianym. A na ścianach, w wizerunkach przodków, była historia całego domu: każdy tam sobie mieszkał w konterfekcie, a w ramach złotych, na których były napisy jego czynów. Dokoła zaś portretu, w armaturę złożono broń, chorągwie, buńczuki i rozmaite rynsztunki wojenne, które kiedyś na nieprzyjaciolach zdobył.

Stali tak sobie szeregiem strasznym, jakby bojowym, ci silni, zeszi mężowie, a tak im groźnie jakoś patrzyło z oczu, że na sam widok tych mężnych, a surowych twarzy, niezawodnie pierchnąłby bisurman, czy tatarzyn, jako nieraz pierchali za ich dzielnego żywota.

Świątynia ta rodowa, dla każdego z członków rodziny otwierała się najwyżej trzy razy w życiu: w dzień chrztu, w dzień ślubu, jeżeli go doczekał, a pro tertio, już go wnoszono tam w trumnie.

Dlatego stary, stuletni już prawie, murgrabia zamku, który jeden wyłącznie miał klucze i wstęp do tego przybytku, aż się przeraził, gdy mu rozkaz pana oddano; przypominał sobie nieborak, że ci z Leliwitów, którzy nie byli dość szczęśliwi, za przykładem antenatów, kończyć na polu chwały, kazali się wnosić do sali, dla odprawienia Sakramentu ostatniego pomazania, albo czując się blizy śmierci, tam konali.

Sali już przez lat dziesiątki nie otwierano, bo od śmierci wojewody, ojca kasztelana, który w tej domowej świątyni Bogu ducha oddał, syn bowiem jego, a obecnie dziedzic i głowa rodziny, żenił się w czasach prześladowania i tułał się potem, jak nam wiadomo; młody zaś kasztelanie rodził się na wygnaniu i tam chrzest odbierał.

Aż mrowie przeszło starego murgrabiego, gdy odebrał ów rozkaz pański; jak mógł, starowina pospieszył, wlokąc się na kiju, a przypadłszy panu do kolan, wyjęknął z płaczem:

— Czy jegomość kazali salę portretową otworzyć?... O, Boże wielki, czegoż-że to na koniec dni doczekał!— wołał stary, załamując ręce z rozpaczą, a iż wzrok mu zgrzybiały już niedopisywał, nie widząc rzeźwój i uśmiechniętej twarzy swojego pana, wierny sługa, jęczał i wiał się u nóg jego z boleścią.

— Uspokój się, Szymonie—rzekł pan, łaskawy i uśmiechnięty — jeszcze ten raz otworzysz

sałę, nie na śmierć, ale na życie. Żenimy Stanisława...

— Mojego panicza?! — zawołał stary, rażno podnosząc się na nogi, jakby odmłodzony radośną wieścią.— O! Boże wielki i miłosierny, a jam się tak obawiał, drżał na myśl otworzenia sali!... A gdzież moja młoda pani, niech-że jój do nóg upadnę?

— Masz ją tu, stary, tę twoją panię!— rzekł uweselony Leliwa, wskazując zaplonioną wstydem i rozpromienioną szczęściem Hanulkę.

A starzec, jakby już pozbył starości, chwycił dziewczę w silne ramiona, tulił do serca, łzami radości skrapiał, a wołał:

— To ta moja jedyna córuchna, moja chrześniaczka, (gdyż i stary w drugiej parze do chrztu ją trzymał). O, niech-że Bóg błogosławi... O, Panie, zawiele łaski i miłosierdzia, aby zlać tyle pociechy w strapioną duszę moję, wielkiego grzesznika!

Niedarmo starowina zwał się Szymonem, bo oglądając to szczęście, tak niespodziane w dniach frasunku, stawał się, jak ów Symeon ewangeliczny, wołający: „*Nunc Domine dimittis spiritum servi Tui!*”

O, jakże się cieszyli ci staruszkowie, tak, iż na onę chwilę radośną, lekki im był ciężar starości.

Staremu murgrabiemu z nóg, setkiem lat obarczonych, połowa spadła ciężaru, z młodzień-



czym zapalem zawinał się razem ze służbą, aby ona rodziną świątynię godnie na ten wielki fest przysposobić. Wnet tedy pozdejmowano pokrowce ze siedzeń bogatych, złotogłowiem obitych, poodkrywano mnogoramienne, srebrne i złote świeczniki, także roztruhany i puhary; kulbaki, karabelle, broń rozmałą kameryzowaną, zdobycze wojenne meźnych przodków, to znów pamiątki rodowe, cenne sławą — ależ, bo to była istna świątynia pamiątek.

Stary się krzątał, jak u siebie, rozkazował, sam robił, zwijał się po młodzieńczemu. Ach! może po raz ostatni? Służba, dziwując się tej niezwyklej ruchliwości swego zwierzchnika, myślała sobie, że starowina oszalał, lub zdziecinniał. Nie wiedzieli, niebaczni, iż stare serce silnieć do starych uderza pamiątek!

Nakoniec rozwarły się podwoje tej wspaniałej świątyni. Wtoczono kasztelana z wózkiem, ale i on równie był świąteczny, jak ów jego przybytek: wydobył szatny z pamiątkowej skrzyni strój pra-pra-dziadowy, który im służył od dawnych wieków, w dniach uroczystych, jako szata kapłańska, był to kontusz, z ciężkiej materji niebieskiej, złotem cały szamerowany w półksiężyce i gwiazdki, jak na klejnocie *Leliwa* się wyraża, barwy zaś, złota i niebieska, także do herbu były zastosowane. Na głowie miał kolpak soboli, z cenném czaplém piórem, a pod niem miesiącek i gwiazda, gorzały dyamentami. U le-

wego boku, na wózku, leżała karabella, bogato kameryzowana, a kasztelan smutnie na nią już tylko poglądał, bolejąc nad niemocą, która ani przypasać, ani ująć jej w silne dłonie, nie dozwalała.

Strój ten, jakośmy go opisali, powtórzony był wiernie na kilku późniejszych konterfektach i dawniejsi tylko nie mieli go na sobie, będący we zbroi. Kasztelanie, rozradowany szczęściem, za wózkiem ojca postępował.

Skoro wezwani goście zeszli się do tej świątyni, i ci, co ją z dawnych tradycyi znali, i nowo ją oglądający, nie mogli się oprzeć podziwieniu i zachwytowi; była spora kupka tych gości, a dziwnie pstro wyglądali, część w mundurach takich, jaki miał na sobie Stanisław, inni w prostych kuczbajowych, to drelichowych kapotach; wmieszało się tam i kilku żydków—(czego wprawdzie przedtęm nie widywano). Dziwny był amalgamat w powierzchownym wyglądzie tej zbrojnej kupki, jedna ich zaiste wspólność łączyła, to odwaga i duch poświęcenia, przezierające jednak z każdego oblicza.

Nie mieli wszakże czasu rozejrzeć się dokładnie w nagromadzonych cudach tego rodzinnego przybytku, gdyż kasztelan, wezwawszy dwóch przedniejszych z grona, prosił, aby się zdeklarowali o rękę Dębniakówny dla jego syna.

— A cóż to tak jegomości pilno, czyliż nie będzie na to czasu po wojnie, da Bóg szczęśliwie...—zaobserwował proszony na swata.

— Ano chciałbym weselisko odprawić, nim waszmościowie wyruszyacie, a pragnąłbym, żebyście mi raczyli łaskawie przy tym akcie solennym attentować.

— Azaliż wasz synaczek nie idzie z nami, czyli chcesz go jegomość schronić pod małżeńską pierzynę? — wtrącił inny, zgorszony, z szyderstwem.

— A cóż to waść sobie myślisz, któryż to Leliwa siedział pod pierzyną, kiedy inni wojowali?!—zawołał starzec z impetem, kładąc rękę na karabelli, co obok niego leżała; ale wnet smutnie opuściwszy głowę, dodał, jakby zawstydzony: — To ja tylko taki niedoleżny, Bóg mię ciężko karze za grzechy... Ot, żenię syna, bo mi się dziewczka dobrej krwi nadarza i abym już do reszty nie był sierotą, a w braku Leliwitów, niech choć Leliwitowa zamknie mi grzeszne powieki, podczas, kiedy wy będziecie się okrywać sławą...

— Nie bluźńcie, kasztelanie—ozwał się ktoś— albo wy tam swego nie odwojowali, za przykładem mężnych przodków. Jak jeden, tu staniemy przy wieńcu waszego chłopca, a setką piersi zasłonim go w potrzebie, żeby ostatni Leliwita nie zeszedł bezpotomnie z tego świata!

— Bóg wam zapłaci! To mi jest najwyższą nagrodą za chęci, zawsze gorące dla dobrej sprawy, bogdajby choć potomkom lepiej się wiodło,

niż nam starym!—rzekł starzec, łzę rozrzewnienia ocierając; inni, to widząc, także się popłakali.

— A cóż tam, ichmościowie, kiedy was proszono w swaty, to nie na płaczki pogrzebowe, zresztą rozczułać się przed wyprawą, to dyabła wartel—zawołał któryś z kupki.

— Dobrze mówi mówiący; kiedyście swatowie, to swatajcie, a nie beczie, jak bobry.

— Dobrze to mówi, a weselisko przed wyprawą, to—mosanie, dobry omen—dorzucił inny.

— Vivat, młoda para!

Dwaj oni przedniejsi, wystąpili tedy przed stolnika, jako swatowie.

Aż się dziwno widzom zrobiło, z kąd to u ludzi, przygotowanych do wojaczki, wzięła się tak piękna swada? Ależ, co prawda, po wsze to wieki bywało w naszój szlachcie że bić gładko, a mówić pięknie, każdy był gotów wszelkiego czasu.

Skoro się preliminarya, dawnym obyczajem uświęcone, odbyły, zagaili swatowie z jednej strony, responsowali przyjaciele ze strony panny, aż wynikło z kolei, wedle zwyczaju przywołanie samėj oblubienicy; że czas naglił, stawić się musiała w ślubnej szacie i wianuszk z myrtu i rozmarynu, który sama sobie, na prędcie, uplotła. A tak w tém pięknie było Hanulce, że wszyscy starzy setnie ją ucałowali, a młodzi, z zawzięcią na posiadacza tyłu wdzięków, poglądać zaczęli.

Dopieroż sypnęły się zapytania formułowe — „azali czuje affekt ku swemu przyszłemu, a ma chęć zostać jego dozgonną towarzyszką,” a taką śliczną purpurą to nadobne oblicze pokryły, iż się dość nadziwować jój krasie nie mogli.

Kiedy wszystko omówiono *more antiquo*, jak należało, uradowany Leliwa zawołał na murgrabiego, aby podał „roztruhan hetmański,” który starowina oburącz zaledwie drżącymi dłońmi udźwignął.

— Oho! ho! mości panowie, co na to, jako zaszczycony mianem przyszłego waszego komendanta, na roztruhan kładę moje *вето*. Wiadomo wam, iż są rzeczy święte, które zamroczonym łbem się nie poczyna! — zawołał donośnym głosem Dębniak.

— *Et hoc facienda et illa non omittenda*, co to ma jedno do drugiego, i temu, i owemu się poradzi—protestował jakiś, chętny do kielicha.

— Wino nie wyschnie, a skoro wrócimy, da Bóg szczęśliwie, to do reszty dosuszymy tych gąsiorów i ja pierwszy z wami—wtrącił Dębniak.

— A kto wie, co komu sędzono, a jeżeli będę ziemię gryzł?—obserwował jakiś amator.

— Ano to jedno jadło, nieobudzające pragnienia i wino będzie zbytecznym — zażartował stolnik, poparty ogólnym śmiechem.

— Ma słuszność komendant — zawyrokowali umiarkowani—nie godzi się zalać pałę przed wymarszem na taką sprawę.

— Ależ, panie bracie—zaobserwował kasztelan—puhar ten odbył najmniej sto chrzeim i ty leż wesel Leliwitów, za cóż teraz krzywdzić staruszka?

— Krzywdzić, nie krzywdzić, ale go i zatopić nie trzeba, razem z rozumem przytomnych, a niech sobie puchar obejdzie kolejkę, bylebym ja nalewał. Dość nam tych tradycyi pijackich; Sasowych czasów, które owo, do czego nas doprowadziły! — odparł surowo niewzruszony komendant, a ujawszy gąsior, puścił kielich w kolejkę, ale sam każdemu nalewał: może tam się skrzywił na oną wstrzemięźliwość komendanta który opijus, ale uniarkowani bardzo to sobie chwalili.

Z porządku, uświęconego obyczajem, następowało, tak zwane, „oddawanie panny,” przy którym znów wystąpili ze swada nowi oratorowie, a odpowiadali im inni, ze strony kawalera, „przyjmujący pannę.” A byłoż co posłuchać. I któżby to powiedział, iż z tych mówców zawołanych, za chwilę miała być garstka prostych żołnierzy?

Następował akt ostatni, najmilszy dla nowożeńców. Rozłożono ołtarzyk obozowy, najdawniejszy może zabytek rodzinny Leliwitów, przy którym oni ważniejsze akta w życiu odbywali. Przed ołtarzem stanął kapelan zamkowy, który także miał za chwilę być szeregowym kapelanem, zaintonował wzniosły hymn *Veni creator*,

który pewnie wzleciał ku niebu, bo mu sto przeszło mężkich, a mężnych piersi zawtórowało i rozpoczął się akt ślubny szczęśliwej pary.

Następowały powinszowania, wiwaty, dla surowości komendanta i na nieszczęście biboszków, prawie na sucho, dalej okolicznościowi poeci, na których także nie brakło, sypali, jak z rękawa, madrygałami, odami, przygodnymi wierszykami, od których młoda para, a szczególnie oblubienica rumieniła się po same uszka.

Szczęśliwy kasztelan, z postanowienia dzieci, bo syna rodzonego i córki chrzestnej, niemal zapomniął o swój niemocy, a nad innych się weselił, a skoro zaobserwował, iż gwarnie weselono się, nie zwracając na niego uwagi, skinął na starego murgrabiego i szepnął mu do ucha:

— Słuchaj-no, stary, kiedy Bóg nie dozwala mi stanąć osobiście w tak świętej sprawie, niech-że mnie tam reprezentuje dobra intencya—zdejmiesz tedy te dyamenty z kołpaka, a jeszcze i to, (tu mu wskazywał ręką na rozmaite kosztowniejsze przedmioty), zamkniesz to wszystko w żółty, kuty sepecik i włożysz do furgonu stolnika; ludzie tam przecie składają ofiary, azaliż mamy być gorsi i pośledniejsi?

Na te słowa, zatoczył się stary, jakby był pijany.

— Jakto, jegomość, pamiątki rodowe wywozić z gniazda, do którego od wieków przyrosły?—wyjęknął z przerażeniem stary sługa.

— Czyliż nie pojmujesz, stary, iż to się czyni *pro publico bono*, rozumiesz?... to jest, niby to samo, co na zamku napisano: „Lepsze imię dobre, niżli”...

— Aha! jak to się już u nas zdarzało w razach nagłych... to tak!... a czemuż jegomość od razu tego nie powiedział, a to co innego... spieszę wypełnić rozkaz!—odparł rażno i wesoło starowina, spiesząc ochotnie do nakazanej roboty.

\*

\*

\*

Pomimo interdyktu, nałożonego na puhary przez komendanta, rozbawiła się sobie ochotna drużyna—prawda, że i asumpt mieli po temu zachęcający, bo weselisko nadobnej pary, która affekt ogólny pociągała; rozochoceni, ani pomyśleli, co ich za chwilę czeka.

Ale czujny stary Dębniak myślał za wszystkich i w czas wymknął się niepostrzeżony z komnaty, a około północy dała się słyszeć trąbka wojskowa, za nią zaś podążył poważny dzwon kościelny. Na ten odgłos dwóch wezwań wszystkie się oblicza zmieniły, jakby od razu zdjął z nich kto maski zapustne, a przybrały wyraz obowiązku i powagi, niejeden rozpoczęty uśmiech marsem się wojowniczym nasrożył i każdy z pośpiechem rzucał to miejsce wesela, jakby na niém nigdy nie powstał, jakby mu tam dobrze i rażno przed chwilą nie było.



Jak się zmieniały od razu oblicza, tak i cała scena, jak w kalejdoskopie: każdy musnął wąsa, minę nasrożył, po szabli brzęknął i wynosił się spieszenie, jakby do tego przybytku nigdy nie przychodził, a nikt tam się z żalem nań nie obejrzał, tak snadź spieszno im było do tego, na co dzwon i trąbka wzywały.

Dębniak, umieściwszy się u drzwi sali, wychodzących formował w szeregi, aby porządnie do kościoła wprowadzić.

Na dziedzińcu zamkowym już ciurowie i czeładź przy światłach pochodni trzymali konie posiadlane i objuczone, wozy były pozaprzęgane, słowem cały tabor w gotowości.

Oblubieniec razem z innymi stanął w szeregu, a panna młoda pozostała smutna przy wózku nowego ojca, którego także do kościoła wtoczono.

Wspaniały to był widok, gdy w rześnie oświetlonym kościele zebrał się ten orszak rycerzy, ani byś poznał w nich tych przed chwilą uczestników wesółych godów, takie to były oblicza surowe, mężne, technące wytrwaniem i poświęceniem, iż myślałbyś, że żadne siły ziemskie, ani piekielne, im się nie ostoją.

Z umysłu wymarsz naznaczono z północy, aby poczynać od ofiary mszy świętej, do której Dębniak z przedniejszymi posługiwał. Trudno wyobrazić i opisać, z jaką skruchą i namaszczeniem wszyscy pobożni spełniali tę ofiarę niekrawą; wielu w dzień wypowiedanych, przystępo-

wało do stołu Pańskiego. A gdy starym zwyczajem podczas czytania Ewangelii, do połowy dobyli szabel, to te zabrzękły taką nadzieją, iż z tym dźwiękiem otucha w serca mężne wstąpiła. Po mszy św., gdy kapłan błogosławił chorągwie i rycerzy, setki głów mężnych pochyliły się pod znakiem krzyża, jakby pełne kłosy, wiatrem zgniecione.

Z kościoła wyszli ordynkiem w milczeniu; Dębniak szereg prowadził, a znać w nim było stałą wolę i szorstką rękę wodza. Pomimo obowiązku, serce ojca zniekło na chwilę, bo skinieniem dał znak Stasiowi, aby uściskał jeszcze raz młodą małżonkę. Nie trzeba już było zachęcać młodych do uścisku, a padli sobie w ramiona, jak... dwoje zakochanych w dzień zameźcia! Nie długi wszakże był uścisk, a przerwał go niestety głos tubalny komendanta, który zawołał:

— Na koń, spraw szeregi!

I wszyscy stu, jak jeden, na koniach się ocucili. A oblubieniec nie był ostatni.

Wózek kasztelana, otoczony pochodniami, stał przed kościołem; złożony niemocą starzec trzymał krzyżyk mały w ręku, którym żegnał mężny hufiec.

Obok wózka, z obrazkiem Matki Najświętszej, klęczała Hanna, także kreśląc nim krzyż w powietrzu, lecz jakby mimowoli, obrazek pochylał się w tę stronę, gdzie w szeregu stał Stanisław.

Jeszcze tam ostatecznie sprawił szyki komendant, a potem zawołał ostro:

— Marsz!

I jak jeden, poszli powolni z mężstwem w pierś, a nadzieją w sercu.

Stary Leliwita na komendę ruszył się gwałtownie na wózku, omal nie padł z nim razem, a potem... z mężnego oblicza łzę otarł.

Co widząc, Hanna przytuliła się do stariej piersi, jakby małe dziecko, pragnąc z młodego serca przelać w tę pierś starą kroplę pociechy.

Leliwa chęć tę zrozumiał, ucałował czyste czoło niewiasty i rzekł ze smutkiem:

— Biada Leliwitom, kiedy im na to przyszło. że w nagłej potrzebie, miasto krwi, łzy przelewają!

Daliej w ciszy nocnej starali się złowić ostatni tentent koni, ostatni szczęk oręża pożegnane orszaku — ale i to ucichło

A na zamku, niegdyś wojowniczym, pozostał starzec nad grobem i młoda małżonka w dziewczęcym wianku.

Podumał, podumał stary, a westchnawszy głęboko, przemówił:

— Biedniż my oboje, Leliwici!.. czy to tak niegdyś odbywały się na tym zamku gody weselne? Biedna ty doniu panna młoda, której łożo małżeńskie przy wózku niedołężnego starca, a twego małżonka na kulbace! Biedne dzieci!.. czekajmy, Bóg łaskaw, jeszcze wytrwanie i mężstwo w sercach nam pozostawił!

*Lepsze dobre imię, niżli maćcie drogic.*

7

\*

\*

\*

Pomimo szczerzej ochoty, nie pójdziemy śladem za bitnym szeregiem, bo to droga historyi, a jak widzicie, opowieść nasza kręci się około murów starego zamku, więc tu pozostać musimy razem z tą parą Leliwitów, której jedna połowa chyliła się ku końcowi, a druga zaledwie od kolebki odbiegła. Smutnoż im dni płynęły w tęsknocie i oczekiwaniu, wzrok miłośny utkwili za odeszłymi, a krom tego nie zdawali się widzieć, co się koło nich działo.

Nie było wtedy tyle gazet, a z tych nie wiele istniejących, nie dobiegały do głuchych zakątków; wyglądali tedy przybyszów z wieścią—czasem się nadarzył żydek, zakonnik, kwestarz, lub ktoś ze świata szerokiego zabłądził na to odludzie, wtenczas starzec i dziewczyna chciwie dopytywali o wieści z pola bitwy, a gdy one były pomyslnie, Leliwita mówił, wzdychając:

— O, panie bądź pochwalony, nie dałeś mi ujrzyć ich chwały!... karz mię jeszcze ciężej, jeno pobłogosław ich mężtwu!

Skoro wieść niepomyślna o wojujących ich doszła, starzec, prawil załamując dłonie:

— O, Boże! i czemużes mi nie dozwolił dzielić ich smutnej doli, możeby jaka kula mnie mizernego sprzątnęła, szcędząc przez to pożyteczniejszego dla dobrej sprawy.

A młoda niewiasta pokryjomu płakała, nie chcąc przysparzać boleści rozdartemu sercu niemocnego starca.

Tak dni płynęły onym Leliwitom na zamku w westchnieniach i zadumie o swoich i sprawie, za którą się poświęcili. Byli, jak dwa upiory, nie żyjące na ziemi, nie czujące i nie myślące o sobie samych.

Lecz co raz to głuszej i smutniej było na zamku, zjawiały się jakieś złowieszcze omiena i prognostyki, których każde zranione niepokojem serce ima się. cbeiwie: to puszczyk hukął głośniej ze starego zamezyska, to gęsto przelatywały stada kruków i wron, kracząc uparcie, to znów co raz rzadsi przybysze ciekawość gospodarzy zbywali milczeniem, lub półsłówkami, albo nakoniec trwożliwém kiwaniem głową.

Czekali tak biedni z promykiem nadziei, którą co raz bardziej rozpaczliwy mrok trwogi pochłaniał...

I doczekali się!

\*

\*

\*

Hej! hej! gdzie to się podziała ta dawna drużyna sług i panów, co to zrastali się razem jakby kora ze drzewem? Gdzież to ona spójność, jedność i miłość służących i obsługiwanych otaczających się wzajemną opieką, dbających wspólnie każdy w swoim zakresie o dobro i pomysłność jeden drugiego? Gdzie one granitowe

pomniki wierności z jedną, a hojności z drugiej strony? Gdzie ci, co to mawiali:

— Mój pradziad służył u twojego pradziada. Twój dziad obdarował mojego, moje wnuki da Bóg, będą twoim służyły.

Gdzie czas, kiedy służbę wszelaką płaciło się miłością, a nie pieniądzem, który z kolei sam w czas dopłynął, kiedy nie na ręce, a w serce patrzano?

Poznaliśmy staruszką murgrabiego Szymona, niejako kapłana tej świątyni rodowych pamiątek Leliwitów; ród jego od kilku już wieków szczycił się, jakby arystokratyczną genealogią służenia tej rodzinie, a służenie owo szło sobie, że tak powiem, serdecznym szeregiem, a nawet na kartach dziejowych płatali się Wadwicze z Leliwitami, Leliwa hetmanił, Wadwicz giermkował—i dobrze im było.

Ostatnia karta wzajemnej spójni serdecznej, głosiła, iż wojewoda, ojciec kasztelana, zbawił żywot starego sługi Szymona, kosztem ciężkich ran, osłoniwszy go w boju swoją pierś; ergo dług zaciągnął na przeciągły termin, ale wierzyciel był cierpliwy, dłużnik prosił Boga o zesłanie terminu wypłaty—jakoż wyprosił.

Syn Szymona, giermkując przy obecnym dziedzu kasztelanie, zginął w potrzebie, jako wierna tarcza swojego pana, a gdy ten zwłoki swego wybawcy, dla uczczenia pogrzebem na ziemi rodzinnej, z pola walki uniósł, a postawił przed

oczy ojca, ten w smutku wprawdzie, ale bez oznak rozpaezy, tuląc trupa synowskiego do piersi, wyrzekł uroczyście:

— Rzetelnyś dłużnik, synku, dług swego ojca spłaciłeś, oby ci to Bóg za grzechy poczytał.

I pozostał starzec dumny z rzetelności swęj rodowęj, opiekunem kilkoletniego wnuka Pawełka, a biedził się tylko o niego, komu tęż służyć będzie, bo ostatni pan ślubów małżeńskich nie zawierał; lecz, gdy i to nastąpiło, a Bóg mężkim potomkiem Leliwitę obdarzył, już Wadwicz był spokojny o wnuka, jakby uznojony skwarem podróżny, znajdujący cień pożądaný, miał go gdzie przytulić i już przeznaczył na giermka kasztelanica.

Pawełek o lat kilkanaście poprzedził przyjście na świat swojego panicza, tēm lepiej, bo mógł zawczasu stać mu się opieką i usługą skuteczną. Nie rozłączali się młodzi, przeczuwając już instynktem ów węzeł spójni wzajemnej, jaki ich czekał w życiu. Pawełek, jako starszy a silniejszy, a wyćwiczony wcześniej przez dziadka w sztuce wojennęj, wtajemniczał w nią swojego panicza i już tak od wczesnej młodości zawiązało się pomiędzy młodymi ono rodowe pobratymstwo.

Skoro Stanisław wybierał się na pierwszą wyprawę, już nikt o to nie pytał, iż Pawełek giermkować mu będzie i poszli razem sługa z panem, zagrzani jednym duchem męztwa i poświęcenia.

Stary Szymon żegnając odchodzącego wnuka krzyżem Św. na drogę, rzekł mu uroczyście:

— Daję ci moje błogosławieństwo, ale pod kondycją, abyś mi bez panieca nie wracał, gdyby ci przyszło i głową nałożyć; a mówię ci z doświadczenia własnego, iż stokroć lepiej i lżej być wierzycielem, niż dłużnikiem.

Czekali tedy w zamku, nie powiem, aby cierpliwie, nasłuchując, czyli im kto nie przyniesie pomyslniej wieści, chwyтали nawet świst wiatru, szmer powietrza, szum drzew, szczebiot ptaków, ale niestety wszystko jakoś było złowieszcze i posmutnieli bardzo.

Siadywali zwykle we troje: kasztelan, Hanna i murgrabia od świtu do nocy przy bramie pod mostem zwodzonym i wyglądali; a już rok prawie mijał od wyruszenia orszaku—a wyglądali napróżno.

Pewnego wszakże wieczora, jakiś podróżny zdawał się prosto zdążać ku zamkowi; rzadkie to zjawisko, bo jakiś czas był jakby pomorku, że i ludzie mało się snuli po okolicy; zdązał ktoś ociężałym krokiem, bo choć się czekający niecierpliwiłi, on o tém nie wiedząc weale, chodu nie przynaglał.

— No przecie kogoś Bóg przynosi ze świata, może wieść od nich nakoniec, lub świadom jest przynajmniej losów wojny... ależ idzie żółwim krokiem!— niecierpliwił się kasztelan, a do Hanny się zwrócił:



— Moje dziecko, pożycz nam swoich młodych oczu, bo nasze już nie dopisują, a powiedz, co tam widzisz, ktoby to mógł być?...

Dziewczyna drżąca jakimś smutnym przezcuciem, ukrywając o ile było w jej mocy, swe trwogi przed starymi towarzyszami samotności i oczekiwania, odparła na pozór spokojnie:

— O ile zdala rozpoznać mogę, jest to jakiś żebrak w lachmanach, biedaczysko chroma silnie na nogę, wszakże kto by był, nie wiem, ale...

Nagle urwała mowę i chwyciła się za serce, które silniej kołatać zaczęło. Podróżny tymczasem chromym krokiem zdążał coraz bliżej ku bramie, aż gdy stanął przed oczekującymi go, pochylił się naprzód do nóg Leliwy i silnie lkać począł...

Teraz dopiero mogli się bliżej przypatrzeć przybyszowi: był to człek nędznie odziany w jakieś lachmany i strzępki, a z pod ciężkiego uznojenia trudno było na jego twarzy wieku wyczytać, odzież znamionowała żebraka, biały tylko krzyżyk, dość wówczas rozpowszechniony, był godłem jego szczytnego powołania.

Kasztelan, starając się go od nóg swych podnieść, przemówił łaskawie:

— Uspokój się dobry człecze, przyszedłeś do swoich, najprzód posil się i spocznij... Szymonie zaprowadźcie podróżnego do wygodnej izby, niech się posili i wypocznie, a potem zaspoko-

naszę ciekawość, gdyż widocznie, on z placu boju powraca.

Rzekł zwróciwszy się do murgrabiego, ukazując „krzyż wojskowy” który zdobił pierś przybysza okrytą lachmanami.

— Chodźcie miły bracie za mną — ozwał się murgrabia, zbliżając się do podróżnego, który w téjże chwili padając staremu do nóg, z płaczem zawołał:

— I wy dziadku, nie poznaliście mnie!

— Paweł! — zawołali wszystko troje.

— I ty śmiesz się tu stawić bez swojego panicza! — surowo przemówił murgrabia.

— Mój syn? — stary Dębniak?

— Mój ojciec?... Mój mąż?

Zawołali jednocześnie starzec i młoda kobieta.

— Porucznik Leliwa, mój panicz, w ostatniej bitwie wzięty do niewoli, a...

— A czemuż z nim razem nie poszedł do niewoli, kiedym ci pod błogosławieństwem nakazał, nie opuszczać go w żadnym wypadku? — surowym tonem sędziego spytał murgrabia.

— Kiedy go ujęto, sam ranny leżałem bez przytomności pomiędzy trupami... — rozpoczął Paweł, ale mu Hanna trwożliwym głosem przerwała:

— A mój ojciec?

— Komendant...

Chciał odpowiadać przybyły, lecz nagle zamilkł, jakby mu głos w piersi zamarł.

Młoda kobieta, pojawiwszy całą okropność tego

złowieszczego milczenia, zaniosła się silnym płaczem.

— Nie płacz córko!... — przemówił poważnie Leliwa — cześć tym ofiarom dobrej sprawy!... Szczęśliwi doczekali się końca... A syn gdzie?

— Panicz w trzeciej bitwie otrzymał pierwszą rangę officerską...—rozpoczął przybyły...

— Więc bił się mężnie, Bogu chwała!—przerwał kasztelan.

— Po dwu innych potrzebach—ciągnął dalej Paweł, nie bacząc na przerwę—panicz został porucznikiem, a bił się, jak lew, jako się inni bili. W ostatniej nieszczęsnej bitwie, z innymi dostał się do niewoli i popędzono ich...

— Czemuś za nim nie poszedł?—znów surowo pytał murgrabia.

— Jakom powiadał, leżałem bez duszy, ranny ciężko w pierś i w nogę, pomiędzy trupami, nie wiedząc, co się działo; dopiero nazajutrz po tej nieszczęsnej potrzebie, kiedy zmarłych grzebano, poczciwi ludzie odszukali mię, wzięli do siebie... Skoro mogłem stanąć na skaleczoną nogę, polazłem na odszukanie mojego pana... ale nigdzie śladu, kędy ich popędzono... nasi nie wiedzieli, nieprzyjaciół pytać nie można było .. jeńców zaś siła nabrano, tak iż jednego w tym tłumie niepodobnaby odszukać, więc przywlokłem się o żebrany chlebie...

Wszyscy opuścili smutno głowy, słuchając tego opowiadania i Hanna smutna, już w głębi rozżalanej piersi lzy zanurzyła.

— No, ale wódz i wojsko?—spytał kasztelan.

— Wódz z innymi w niewoli, a wojsko rozproszone!—z boleścią wyrzekł Paweł.

Nastąpiło grobowe milczenie, które przerwało stado wron kraczących, przelatujące nad rozżalonemi głowami. Wysłuchali tego hymnu żałoby w ponurém milczeniu—a potem Leliwa przyciskając głowę Pawła do piersi, przemawiał:

— Niech ci Bóg nagrodzi i błogosławi, iześ syna mego nie opuścił do końca... serce mi powiada, że Bóg go wam jeszcze powróci, nie tracę tej nadziei, bądźże mu jeszcze przyjacielem, jak już kilka pokoleń waszego zacnego rodu braćmi nam było... A teraz synku, idź użyj wezasu i spocznij, boś bardzo uznojonny.

Paweł rękę starca jeszcze raz do ust przycisnąwszy, kulejąc poszedł ku zamkowi, gdzie go zaraz ciekawa czeladź otoczyła, a gdy Paweł odszedł, stary przyciskając główkę Hanny do piersi, rzewnie powiadał:

— Dobra doniu, tyś mi była aniołem opiekuńczym, Bóg ci odplaci i pocieszy cię... wierzaj, że starym oczom Bóg nieraz udziela mocy w przyszłość zaglądnąć, twój Stanisław wróci i jeszcze będziecie szczęśliwi, o ile to nam biednym na tym padole łez i boleści dozwolono... Nie płacz po ojcu, tym prawdziwym bohaterze dobrej sprawy, on szczęśliwy, bo Bóg mu dał dotrzeć do końca i zamknął wzrok jego przed okropnym widokiem upadku wielkich chęci...

Idź moje dziecko ulżyj modlitwą twemu frasunkowi... niech cię Bóg pociesza i błogosławi.

A przy tych słowach znak krzyża św. i gorący pocałunek złożył na czole młodej niewiasty.

Skoro sam na sam pozostali dwaj starcy Leliwita z murgrabią, nieruchomi, jak dwa posągi wpatrzyli się w siebie, a długiemi milezieniem zdawali się wiele smutków sobie wypowiadać... aż nakoniec kasztelan boleśnie pokiwawszy głową, wyrzekł uroczyście:

— Hej! Hej! *doczekaliśmy* się stary!

## VII

### Łoże ostatnie.

Długo tak jeszcze, długo wpatrywali się w siebie starzy w milczeniu, jakby dwa nieme posągi, a zawsze zdawali się dużo sobie wypowiedzieć, bo podczas i łza nieśmiało się zabłąkała pod starą powieką i znów kasztelan pierwszy przerwał tę grobową ciszę:

— Czas mi pożegnać się z przodkami, przygotuj mi stary *łoże ostatnie*.

— Czy już? — odpowiedział lakonicznem zapytaniem murgrabia, a jeszcze raz rzuciwszy długie, miłośne spojrzenie na pana, powolnym krokiem powlókł się ku zamkowi.

Pozwól czytelniku, wprowadzić się raz jeszcze do tego przybytku pamiątek zameczyska Leliwistów, gdzie przed niedawnym czasem odbyliśmy weselne gody. Nie się tu wprawdzie nie zmie-

niło, a przynajmniej bardzo mało, taż sama wspaniałość i powaga dziejowa dawnych wieków, taż sama potęga zdawała się trzymać murów onęj świątyni.

Jedno tylko оголоczenie z ozdób i bogactw, które od czasu do czasu za rozkazem pańskim— *pro publico bono* — powynosił stary murgrabia drzącemi rękoma, nie tylko nie oszpeciło tego przybytku, ale owszem nadało mu piętno surowej powagi i bardziej uroczysty charakter.

Wizerunki przodków odarte z ozdób i marnych błyskotek, jeszcze srożej a mężniej zdawały się spoglądać z ram ubogich. Miecze, karabelle, kulbaki, оголоcone ze złota i drogich kamieni, groźniejszymi się jeszcze wydawały.

Jakaż więc nowa uroczystość roztworzyła podwoje tego rodzinnego przybytku?

Oto, domownicy z młodą panią na czele, zbrali się u *łoża ostatniego* starego kasztelana.

Po środku na niewysokiem wzniesieniu stało łożo bez poręczy, czarnem suknem przykryte, otaczały je cztery świece kościelne, u wezgłowia był duży krucyfix hebanowy, na nim wizerunek Ukrzyżowanego z kości słoniowej, na wezgłowiu wyżej podniesionem, leżał, a prędjéj powiem, siedział stary Leliwita, odziany, jak, niegdyś w ów kontusz niebieski, szatę klejnotową, przy nim leżał ten sam kołpak rysi, ino bez onych nieocenionych dyamentów, a miasto drogiéj karabelli spoczywał przy nim miecz prosty, długi.

Kasztelan miał twarz świeżą, wypogodzoną, z wyrazem spokoju, niemal wesołości—ktoś nieświadom rzeczy, mógł pomyśleć, widząc tę nie stosowną do wyrazu oblicza żalobę, iż to jakiś staruszek zabawia się z fantazji, tyle życia wiało jeszcze z całej pogodnej postawy.

Jedną ręką trzymał gromnicę, a drugą złożył na głowie Hanny, która tuż przy łożu klęczała.

Na przeciw łoża u onego ołtarzyka, przy którym już akt ślubny oglądaliśmy, klęczał tenże sam kapłan, który go niegdyś odprawował, a teraz odmawiał „modlitwy przy konających”... które wszyscy domowi klęcząc, smutnym głosem powtarzali.

Im dalej się modlono, kasztelan zdawał się usypiać coraz mocniej... Nakoniec gromnica wypadła mu z jednej ręki, a druga bezwładna osunęła się z głowy ostatniej Leliwitowej.

Murgrabia powstał, zamknął na pół rozwarte jeszcze oczy pańskie stygnące i złożył pocałunek na zimnych jego nogach i powłókł się, ażeby na wieży zamkowej zatknąć drżącą ręką chorągiew żalobną.

Wśród ścian rodowego przybytku Leliwitów, rozległ się płacz głośny.

\*

\*

\*

Nadeszła noc, murgrabia służbę znużoną i smutną odprawił, sam zamierzając czuwać przy



zwłokach swojego pana. Lecz nazajutrz iż swoim zwyczajem sług nie pobudził do pracy a nikogo nie wezwał, sami domownicy przybywszy, znaleźli starca, że się zdrzemnął na kłęczniku. . Był to sen wieczny.

I złożono starego sługę na skromném łożu u nóg pańskich, przy których trwał przez cały wierny żywot.

A na starym zamku z potomków Leliwitów i Wadwiczów, pozostało dwoje ostatnich: Hanna młoda mężatka w panińskim wieńcu i Paweł raniony.

Koniec części pierwszej.

---

## CZĘŚĆ DRUGA.

---

### I

## W y d z i e d z i c z e n i .

Losy zerwały on węzeł wiekami spojony pomiędzy trzema rodami Leliwitów, Dębniaków i Wadwiczów. Węzeł zaiste silny, ale czego to moc śmierci nie rozerwie.

Stary jednak kasztelan przeczuwał, iż na tój troistój spójni rodowej spoczywała ich wspólna siła i że zamek chociaż pochyłony ku ruinie, trzymał się jeszcze dopóty, póki stać było ich rodów; dla tego już na „ostatniem łożu” przemówił:

— Jam tu presyntymtemi wiedziony, iż mój poczciwy Jakób zakończy prozapją zacnego Dębniaków rodu, od siedmiu związaną z nami pokoleń, dla tegoż tom pragnął moja dziewczko połączyć cię z wnukiem, aby przez cię, jeżeli już nie imię, to przynajmniej prawy i silny duch

Dębniaków przy nas pozostał. Rad też byłem, iż w tém połączeniu sercom waszym gwałtu nie zadałem, bo wiadomo mi, jakoście ku sobie gorącym palali affektem..

Dojrzawszy zaś łez pod źrenicą Hanny, starzec piękną jój główkę do zastygającej tuląc piersi, przemawiał rzewnie:

— Nie płacz moje dziecko, chowaj lzy na cięższą życia dolę, którą przepelniona będzie czara żywota przyszłych pokoleń. Nie płacz nad mężem, który jako rzetelny płatnik, od młodu spłacać poczyna dług dobrej sprawie. Jeżeli prawdą jest, iż oczom dogasającym Bóg dawa przejrzenie przyszłości, małżonek twój powróci, a ród Leliwitów na was nie wygaśnie jeszcze, a co potém?... Boże bądź nam miłościw!

Zakończył umierający starzec z głębokim westchnieniem. Po czasie zaś zwróciwszy się do Pawła, który lkał u nóg pańskich, przemówił

— Nie męzką mój synu rzeczą są lzy, wstrzymaj je, bo dla waszego pokolenia zapas łez i krwi potrzebny, a zaprawdę będziecie to oboje obficie przelewali, bo na waszą dolę przypadnie owo proroctwo: „iż przyjdzie czas, kiedy żywi umarłym zazdrościć będą,” — a więc mnie nie żałujcie.

— A ty mój stary, z rodu wiernego nam z pokolenia w pokolenie, nie żegnam cię, ale: „do zobaczenia” w tych lepszych krainach bez ucisku i cierni, dokąd rychło za mną podążysz, jak mi szepcze nieomylny presentyment.

Rzekł stary kasztelan, ujawszy w zastygającą prawicę skostniałą dłoń zgrzybiałego sługi.

— Żegnajcie mi wszyscy, a proście Boga, aby mi ziemia była lekką, a wam własną i wdzięczną.

Te były ostatnie przytomnie wymówione słowa umierającego, poczem już zaczął majaczyć, głos mu stygł, a siły zdawały się coraz to rychlej odchodzić; coś tak mówił piąte przez dziesiąte:

— „Lepsze imię dobre, niżli maście drogie...”  
Pilnujcie imienia, bo skoro je zmażą z bramy zamkowej... biada wam!... już po was będzie!..  
Boże bądź miłość....

I słowo zastygło na skowanych śmiercią ustach.

Jak to wiecie, duch proroczy nie zawiódł umierającego starca, gdy wiernemu słudze Szymonowi powiedział: „do widzenia.”

Wzniesiono w sali rodowej dwa katafalki, a wierny sługa spoczął u nóg pańskich, przy których pozostawał za życia.

A potężne niegdyś antenaty zdawały się boleśnie poglądać ze swych konterfektów, na usychające konary tego pnia, który niegdyś świetnie zieleniał.

Ciężki-ż bo smutek nawiedził dom i utęsknione, a zbolale serce jego dziś jedynéj pani, téj młodéj meżatki zawsze w panińskim wianku.

Nie będę powiadał o obrzędzie pogrzebowym pana i sługi. Solenności te żałobne ongi na zamek sprowadzały liczne zastępy braci szlachty, kolligatów, siłę zbrojną, chcących uczcić zgasłego brata rycerza. Sypało się duchowieństwo z modłami i chwałbą pogrzebną, ściągalo się ubóstwo po hojną jałmużnę.

A teraz zamek był pusty; szlachta, jakby znikła z ziemi, lub rozproszyła się po jej powierzchni, na obczyźnie, rycerstwo wyginęło, albo jęczało w niewoli, siłę zbrojną tak zamku, jako i kraju całego, wojna pochłoneła, nie było więc komu na salwę przy grobie wystrzelić, bo i proch się zużył w ostatnich potrzebach. A duchowni dań swoją wypłacając ogólnej sprawie, także się rozproszyli, to na kapelanje wojskowe, to na posługaczy ambulansowych — a niektórzy tam krzyż na oręż zamienił. Ubóstwo jedno stawić się nie omieszkało, atoli już nie po hojny datek, ale grosik marny, który owdowiał razem z całym krajem.

A cóż tam sobie Leliwici myśleli, obaczając ze swoich konterfektów, obchód pogrzebowy potomka, żebraczym sposobem dokonany. Jeden tylko ksiądz starowina, obie trumny pokropił i we właściwych katakumbach zachował.

Znany wam już jest sklep grzebalny zamkowy, w którym wachmistrz złożył pokryjomu ciało nieszczęsnego swojego pułkownika. Zawierał ten sklep trzy kompartymenta katakumb, naj-

przód panów zamku Leliwitów, dalej Dębniaków spojonych z nimi przez wicki i takich-że sług ich, wiernych Wadwiczów.

Skoro nowy członek jednej z tych trzech rodzin na świat przybywał, już mu murowano nową framugę, a zapisawszy na kamieniu dzień urodzenia, czekano, aż Bóg każe dzień śmierci zapisać na wierzchu zamurowanego otworu. Wszakże pomimo wieków, odkąd trwały one katakumby, wiele z nich było niezapełnionych, a były to trupy nieodszukane na polu bitew, którym krucy pogrzeb wyprawiły, lub zaginione w bisurmańskich niewolach. O, ileż to takich metryk śmierci szlacheckich, bez pogrzebu, zapisaćby się dało. Wszak i stary Dębniak, ojciec Hanny, szczerbę w katakumbach po sobie zostawiał.

Na zamku dużym, a niegdyś warownym, co to się roił ongi silnemi zastępami rycerstwa, zasiała ona młoda dziewczica-mężatka, dziecko jeszcze prawie, jako przedstawicielka jedyna dwóch spojonych rodów Leliwitów i Dębniaków. Oplakując dwa zgony, drogich sercu, wzrok ławy posłała w nieznane strony, gdzie miły jej oblubieniec jęczał w niewoli. Radaby była lecieć na skrzydłach miłości i poświęcenia, na wyswobodzenie małżonka, który od ołtarza ślubnego na pole zatraconej walki pospieszył... Ale gdzie, dokąd i o jakich siłach? — O to pytanie, jak o szkopuł, rozbijały się najgorętsze serca porywy

Hanna więc, oplakawszy umarłych, spłaciła im dług modlitwy i pomimo młodego wieku, nie przepomniała, iż panią zamku była, a ochronicielką spuścizny mężowój. Nie daremnie kasztelan stary, deklarując się o Dębniakównę, przypomniiał cnoty, ich klejnotowi przypisywane, jako byli *audaces et vehementes*. Nie zadawały kłamu tym przymiotom gniazdowym i białołowy Dębniaków, a młoda Hanna była nieodrodną latoroślą tego silnego szczepu, ujęła w maulczką, ale nieugiętą dłoń, całą władzę nad zamkiem i resztkami fortuny, a nikt nie spostrzegł nawet, iż ręki męzkiej nad nim zabrakło.

Paweł był także nieodrodny potomek starych Wadwiczów, o których kronikarze dawni powiadali, iż bywali *viri recti et moderati* (prawi i umiarkowani). Acz ciężko przez ostatnią wojnę stargany, zebrał jeszcze sił resztki na podźwignienie skolatanego przez ciężkie zawody ducha i zniemożonego ciała wojennemi trudami, aby stanąć wiernie i silnie przy boku Leliwitowój, jako szczep ostatni slug, przy ostatnim szczepie panów.

Krom żalu po zmarłych, ani się spostrzegli ludziska, iż męzkiej prawicy nad nimi zabrakło; owszem, poczuli, że ręka młoda, a wprawna, tą skolataną nawą kieruje. Zamek się dźwigał z ruin, gospodarstwo szło sprężyscie i każdy patrząc na młodą kierowniczkę, chciałby odszukać silną dźwignię męzkiej prawicy, która cudem prawie dobywała wszystko z ruiny.

Paweł, wierny pomocnik swój młodej pani, był wszystkiem, a wszędzie okiem i ręką, wróconą do dawniej siły, dołożył.

O ile czas, wielki zagładea złych i dobrych wspomnień, dozwolił—zapomnieli o zmarłych, budząc wszystko do nowego życia. A podniecając nadzieję w sercu, spoglądali w dal niewoli swojego młodego pana, aby przy oczekiwanym powrocie, tak zastał wszystko, jako pozostawił.

Nowa kasztelanka zamku, cieszyła tedy pracą i poświęceniem swoje młodociane wdowieństwo, a wierząc przepowiedniom umierającego ojca, iż mąż jej skruszy one ciężkie pęta niewoli i wróci, czekała go co chwila, wiernie stróżując jego dobra.

Ale ono odwieczne: „vae victis!” zawisło nad zamkiem Leliwitów i chociaż nie nad Horyniem sroga toczyła się walka, lecz jej smutne następstwa rozlały się z bystrością potoku na kraj cały i nie opamiętali się mieszkańcy zamku, kiedy go wojsko na rzecz zwycięzcy zajęło.

Sądna-ż to była na zamku godzina, płacz i lament ogólny wszystkich—krom młodej pani. Wadwicz nawet, mężnej i silnej natury, we łzach padł do nóg Hanny, a wołał z rozpaczą:

— Na okropną-ż nam przyszło doleć, iż swego dziedzictwa obronić nie jesteśmy dość silni. O, pani moja, jam człek prosty, mnie wszystko jedno, ja nie znam od dzieciństwa, co bogactwa i rozkosze, ale wy, pani...



— Wstydź się, Pawle — przerwała, z mocą kobieta — toś dla tego na tę ofiarę niósł życie własne, abys marny kęs ziemi oplakiwał, jak dziecko, stracone cacko?... czy to mężowi przystoi?...

— Ale nie nad sobą ja lamentuję, ino nad wami, pani, kasztelanówną Leliwitową tułaczka!.. a czemużem z dziadem i starym panem do grobu nie zstąpił, aby oczy moje tego nie oglądały!

— Nie bluźń, Pawle—ażaliż Bóg inaczej jednego od drugiego stworzył? A niech tylko łaskawa Opatrzność wróci mi cało mojego drogiego Stanisława, pracować będę na niego i zapomnę, żem kiedykolwiek siedziała na zamku... przecież mam kęs ziemi na Dębniakach, tam się zrodziłam, a gdyby mię nieboszczyk kasztelan nie raczył wynieść do godności swojej synowej, tambym zapewne zmarła, nie marząc o lepszej doli... Tyluż to ludzi więcej poświęciło, a zaprawdę nie godzi się oplakiwać tak świętą i wzniosłą ofiarę.. Siła nie przy nas, a łzami nie odbierzemy téj zdobyczy. Złożmy i my swoją ofiarę, ale z godnością i dumą, jak na nas przystało.

— O, pani!—wołał Wadwicz z zapalem u nóg kasztelanki—tyś istna Leliwitowa!... Tacy to Leliwici siadywali od wieków na tym zamku, dla tego on, choć się pochylił, ale nie upadł!...

I kasztelanka ze sługą wiernym, dzwigającym małe zawiniątko na plecach, wyszli z zam-

ku w pokorze — z zamku, który dotąd tanim kosztem się nie dawał.. *sunt lacrimae!*

Pani, podążając rażno i wesoło, dodawała towarzyszowi otuchy.

Mała godzinka pieszej drogi, przedzielała Dębniaki od Leliwitowa. Rażno przebyli tę przestrzeń, dzięki weselu i rezygnacyi Hanny. Dębniaki oddawna już były niezamieszkałe, bowiem, jak nam wiadomo, stary Jakób z przyjaźni dla kasztelana, do Leliwitowa się przeniósł, stanowiły cząsteczkę maleńką dóbr ogólnych, których Hanna przez zamejście stała się dziewczką. Pustkowie więc to było, ale zawsze schronienie w braku lepszego.

Z pospiesznój drogi weszli podróżni zmęczeni do dawnego opustoszałego wprawdzie dworku, który już miał być jedynym ich schronieniem. Lecz napróżno szukali znajomych, przyjaznych twarzy, już i we dworku rozpostarło się to samo, co i na zamku, panowanie i dworek stawał się łupem zwycięzcy.

Widząc to, Wadwicz nasrożył się, jak lew, i sam niebaczny na niebezpieczeństwo, chciał się rzucić na zastęp silniejszy, oczy mu krwią zaszły, zapomniał, że istnieją prawa mocniejszego pod słońcem. On nie widział, tylko swoją panię, wydziedziczoną z ostatniego kęsa ziemi, i byłby biedak ten ferwor życiem może przypłacił, gdy Hanna, kładąc mu drobnią, lecz silną

rękę na ramieniu, uśmiechnięta, przemówiła z perswazyą:

— Pawle, opamiętaj się, co chcesz czynić?—  
przecie nie przy tobie siła.

— Tak!—ryczał Wadwicz z gniewem—ja nie  
nie wiem i wiedzieć nie chcę, jeno mi serce krwią  
zapływa, że ja pierwszy widzę Leliwitową tu-  
laczka!...

— Tyłuż tam takich, lepszych od nas, włó-  
czy się po świecie—odpowiadała słodko, z aniel-  
ską rezygnacją niewiasta—powtarzam ci, Pawle,  
siła nie przy nas... Ot, lepiej uspokój się, a po-  
myślmy, gdzieby tam nasze głowy przytulić i na  
życie zarobić.

Wadwicz wznosił oczy ku niebu, a ręce do  
góry i patrzył w kontemplacyi na Hannę, jakby  
się modlił przed świętym obrazem.

Aż go młoda niewiasta wyrwała z tego za-  
chwytu, a uderzając zlekka po ramieniu, rze-  
kła żartobliwie:

— W mojem zawinieniu jest druga spódnica,  
przebierz się za białogłową, ten strój bar-  
dziej przystanie twój sentymentalności.. Ale po-  
tém sobie polamentujemy, a teraz obmyśl, gdzie  
skłonimy głowę, bo pod gołym niebem nie chcia-  
łabym wśród tój tłuszczy nocować.

Wadwicz, w obec tój odwagi niewiasty, jak-  
by skamieniał przed nią w adoracyi, stał jakiś  
czas w milczeniu, aż nakoniec przemówił:

— Nie znam ja nic godnego na rezydencyą kasztelanicy Leliwitowej, wprowadzie...

I przerwał mowę, jakby miał się z czémś niewłaściwém wyrwać.

— Ano to powiedz, mój Pawle, jak to jest ono „wprowadzie,” i co znasz niegodnego kasztelanicy, byle ta pod gołém niebem nie nocowała bo już ma się ku wieczorowi — podchwyciła młoda kobieta.

— Ale gdzie tam—prawił Wadwicz zakłopotany — to niewłaściwe, chciałem się z prawdziwém głupstwem wyrwać... oto miałem powiedzieć, że moja ciotka...

— A moja przyjaciółka, staruszka Stachowa, pod pięcioma krzyżami, którą także ciotką zwę, a udało mi się niebogę zeszlęj zimy wydźwignąć z ciężkiej niemocy, ano cóż Stachowa? powiadajcie—przerwała kasztelanka.

— Otóż moja ciotka, która was wielbi, jak jaką świętą, a błogosławi, chciałem powiadać... ale nie.

— Mów-że nakoniec, nudziarzu, bo dziś nie skończysz—niecierpliwiała się młoda kobieta.

— Kiedy jejmość każą, to już powiem, ale zawszeć to jest niedorzeczy... chciałem to ja nadmienić, że ciocia ma po swoim nieboszczyku mężu Stachu, rybaku, chatkę nad Horyniem i spory kawał gruntu, który mnie chce oddać, jako najbliższemu krewnemu..

— Powiadasz, że to „niedorzeczy” — przerwała wesoło kasztelanka — przeciwnie, wcale do rzeczy, bo weźmiesz chatkę twojój ciotki, a w nią dasz mi gościnę, której pewna jestem, iż poczciwa staruszka mi nie odmówi, będziemy dla niej wspólnie pracowali, bo ona biedna, samotna i opuszczona, niema jój komu doglądać, cieszyć wspólnie będziemy jój smutek... A więc widzisz, „niema złego, coby na dobre nie wyszło,” a z tego, iż nas z zamku wygnali, wyniknie to, że poczciwa starowina znajdzie opiekę... Dalej tedy manatki na plecy i do cioci Stachowój! — zawołała wesoło kobieta, podejmując zawiniątko, które tymczasowo na ziemi złożyła.

Wadwicz stał na miejscu, jak wkopany.

— Pawle, czyś skamieniał? — zaśmiała się srebrnym głosikiem kasztelanka.

Poczciwy Wadwicz miał łzy w oczach.

— Ej, daj pokój, Pawle, łzy, to białogłowskie rzemiosło, wojakowi z pod Dubienki nie przystoją... Ależ to kozioł z ciebie uparty.. chyba zakomende:uję, jak wami komenderował mój biedny nieboszczyk ojciec.

Po tych słowach, młoda kobieta, przybierając minkę wojskową, ozwała się głośniej, tonem komendy:

— Lewe ramię naprzód, marsz!

Wysunęła się przodem Hanna, Wadwicz zaś postępował za nią niewolniczo, jak szeregowiec, posłuszny komendzie wodza.

## II.

### Pod pięcioma krzyżami.

U podnóża najbardziej stromej góry zamkowej, od wieków obrośniętej niebotycznym lasem, prąd Horynia, połączonego z rzeką Sluczem wartko wyrrywając się ze zwykłego koryta, formował rozdzaj zatoki; rybna ta część rzeki znęciła do siebie rybaków, którzy tu założyli swe osady, od dawnych czasów. Dotąd jeszcze, może już dziesiąte pokolenie rybaków nie opuściły przemysłu przodków, ta nie wyglądając poza on swój światek, spokojne dni pędzą w tem zaciszu, oddając się wrodzonemu rzemiosłu.

W tem miejscu rzeka szersza i bystrzej płynąca, przedstawia jakąś maluczką podobiznę morza, a osady rybackie, różniąc się od sąsiednich mieszkańców strojem, obyczajami, a nieledwie

i mową, wytwarzają, jakby osobny szczepek od reszty ludu.

Rzeka sama, gdzieindziej pusta, tu pokrywa się setkami łodzi, a nad brzegiem suszą się siatki, wędzierze i t. p. przyrządy rybackie. Ruchliwie i wesolo nad brzegiem. Nie wiem bowiem, czém się to dzieje, że sąsiedztwo wody dodaje ludziom animuszu i wesela. Chłopcy i dziewczęta to igrają sobie nad brzegiem, to puściwszy się w małych łodziach na fale, idą na wyprzódki. Starzy sobie gwarzą, lub nucąc monotonie odwieczne piosnki, naprawiając wędzierze i sieci, to coś dłubią koło ogrodów. Każdy tu rad, wesół, niezatroszczony, nie myśli, czy jest tam świat inny, pożądamy sławy, łupów wojennych, bogactw i krzywdy bliźniego.

Brzeg sam, piękny i malowniczy, a bliskością wody użyzniony, rozkoszny przedstawia widok. Cały w gęstych sadach i warzywnych ogrodach, pod rozmaite cienie jaśniejże różnobarwną zielenią, to rumieni się owocem. Domów prawie nie widać, są tam bowiem same lepianki, lub szalaszki, mało co wynoszące się nad ziemię. Bo i do czegoż rybakowi strzecha?—chyba na czas krótki zimowej srogości. On, jak ryba, wodę ma swoim żywiołem. Zdala nawet i dojrzyć tam nie można ludzkich schronień, tak w ziemię wklesły, lub mało co nad nią wyniosły, dopiero z blizka dają się widzieć ślady ludzkiego tam pobytu.

Wszakże na wznioślejszym przyczółku tej osady, na zieloném wzgórzu, piętrzył się niegdyś schludniejszy dômek o pięterku z galeryjkami, facyatką, chorągiewką o koguciku, z dachem, malowanym w różne kolory, z zielonemi okiennicami, na których ręka mistrza wyobrazila okręta, łodzie, przeróżne statki morskie i rzeczne, a dalej narzędzia rybackie i nakoniec same ryby, począwszy od ojca wieloryba, aż do małej płotki.

Ongi dziwiono się temu przybytkowi na całą okolice.. Ale „ongi” zaznaczamy, gdyż czas świetności był dla domku dawno miniony. Nim obaczymy jakie fatum ruiny nad nim zawisło, opowiedzmy w krótkości tak dzieje domku, jak i jego niegdy właścicieli.

Przed laty, nad brzegiem rzeki w oniej osadzie rybackiej, przodował wszystkim młody flisak, imieniem Stach. Był to chłop, co się zowie, dorodny, a chociaż nie stary, bo trzydziestki nie przekroczył, a już tyle razy może, ile miał lat, flisakował do Gdańska, a nawet już i szyprował. Chłop, co się zowie, i do wody i do ziemi, czy to poigrać z rozburzonymi falami na wodzie, czy z pięknemi dziewczuchami na lądzie — wszędzie pierwszy, wszędzie rej wodził; a czy do pracy, czy do wypitki i wybitki, z jednakim stawał animuszem. Toż go tam wszysey miłowali, nie mówię już o swoich, krom sentymentu, znających posłuch, jako proste flisaki względem szypra, ale kto go znał tylko, czy to



u siebie, czy w dalszych krajach, kędy szyprował, wszędzie mu oddawano sprawiedliwość, wszędy mir pozyskał.

Rybacy obrali Stacha swoim starostą, chociaż jeszcze młodego chłopca. Urząd starosty, lubo dobrowolnie obieralny, był ważnym, bo dawał władzę nieograniczoną nad całym stowarzyszeniem rybackim. Starosta był niejako królem i najwyższym sędzią, on, według swojego uznania, karał przewinienia, jego wyrok rostrzygał ostatecznie najzawikłańsze spory, a taki szacunek bywał dla tego zwierzchnika, iż nikt mu się oprzeć nie śmiał, a samo towarzystwo wyrzuciliby krnąbrnego z pośród siebie.

Stach, lubo za młodu wyniesiony na najwyższą godność, jaką zazwyczaj starzy i poważni piastowali, nie wbił się w dumę, nie dodawał sobie fanaberyi, jakby to inny młodzik uczynił w podobnym razie, owszem, wesół był, do tańca ochoczy, na dziewczuchy lepki, tak, iż go sobie wyrywały, w oczekiwaniu, którą uszczęśliwi swoim wyborem.

Ani wyobrażacie sobie, jak to się dawniej spletały i koligaciły różnorakim sposobem rody szlacheckie: jak Wadwiczowie służywali Leliwitom, tak Wadwiczówne ich niewiastom, i kiedy Szymon, jakośmy widzieli, cały żywot w tych usługach strawił, aż złożył skołataną głowę u nóg pańskich, tak z drugiey strony jego młod-

sza siostra, Justysia, była niegdyś pierwszą panną we fraucymerze nieboszczki kasztelanowej.

Walna ż to i wabna była dziewucha owa Justysia. Na pokojach pańskich, czy to do dyskursu, lub i tańca produkcyjnego, czy przyśpiewać przy gitarze, cytrze, albo i klawiecymbale, we wszystkiem przodowała, a już, jako faworytka jejmości, zakrawała bardziej na pannę respektową, niż garderobianę. Los, jak to powiadano, spotkalby ją w osobie jakiegoś urzędnika ziemskiego, a troszeczkę pasessyonata, lub w innym razie, officera subalterna, kawaleryi narodowej, bo już to tacy państwo, jak kasztelanowie, bez przystojnego wiana i gierady nie puściliby pierwszój panny respektowej, a do tego faworytki. Krom zaś sperandy majątkowej i to nie wadziło, że panienka miała gładkość i polor światowy z łaski państwa, a wdzięku i powabu łaskawy stwórca jój nie poskąpił.

Posunął się tam już nie jeden ze statecznych kawalerów o rączkę i wiano spodziewane; a chociaż wielu z nich ludzie raili i doradzali, jednak każdy odchodził z koszem, bo snadź, ktoś tam w serduszkum panięńskim zagościł. A lubo remonstrowali starsi, jako to we zwyczajum, aby pannę uchronić od grochowego wianka, lecz perswazye nie skutkowały, a kasztelanowej może i nie pilno było pozbyć ozdoby swojego fraucymeru. Zresztą Justysia nie przekroczyła jeszcze swych wiosen, spieszyć zatem czego nie było.

W trakcie tego, Stach, rybak, dostał się na zamek, a nawet łaskę pańską pozyskał, już to z początku z racyi, iż najpiękniejsze sztuki ryb w postne dni na stół pański dostarczał. A tymczasem nasunęła się okazya lepsza, przez śmierć starego szypra, prowadzającego pańską pszenicę do Gdańska, a że pod nim Stach bywał pierwszym flisakiem, a z natury sprawny, śmiały i rozgarnięty, nadto już, jako tako na świecie się otarł między Niemcami, a po cudzoziemsku szwargotał—pan mu téż powierzył swoje zboże, które rychlój odstawił i korzystniej spieniężał, a w zamian zamorskie towary, taniój i w lepszym gatunku zwoził.

Ztąd tedy i łaska pańska, a dopust do jakiej takiej podufałości i konfidencyi, których on, jako znający mores, nie nadużył, a zawsze sobie skromnie trzymając się u dworu, nie odstąpił rybackiego rzemiosła i godności starosty pomiędzy swoimi. Pan go téż często na pokoje wzywał, już dla tego rarytesu, że Stach w Gdańsku nauczył się tańców niemieckich, a między innemi i walca, którego w innych częściach Polski jeszcze nie używano—i produkował się z tém przed panami. Przejęła ten taniec od niego zręczna Justysia i oboje razem produkowali się w nim na assamblach zamkowych, ku wielkiej uciesze kompanii pańskich. Pomimo to, skromny młodzian nigdy nie przekroczył demarkacyjnej

linii winnego panom respektu, a ztąd ogólną wszystkich cieszył się sympatją i protekcyą.

Kręcili się tak przed panami w walcu Stach z Justysią, aż im się zakręciło w młodych głowkach, a szczególnie w serduszkach. Zły to mógł być omen, bo gdzież to prostemu rybakowi zachwałność taka, aby posunąć się o respektową pannę senatorskiego domu--a tu tymczasem pokochali się siarczyście oboje z Justysią i nie wiadomo, coby było—na one czasy, przy surowości obyczajów, dawnych domów pańskich — (*nota bene*, za wyjątkiem rozpustnej stolicy) nie wiadomo, dokądby ich miłość ona serdeczna doprowadziła, może do grobu, bowiem nie były w tych czasach znane porwania, wykradzenia i t. p. rapy—gdyby się rzecz w ten sposób nie wyklarowała.

Justysia posmutniała, zaczęła widocznie nikać, przestawała być ozdobą i życiem pańskich asamblów, już i nie śpiewała, jak słowik, nie podskoczyła w taneczku, jak chyża sarenka, aż nie tylko państwo sami, ale dom cały i goście, których była pociechą i ozdobą—zasumowali się serdecznie.

— Co tu, jegomość, począc z dziewczyną, zapruszyła sobie głowę tym rybakim, twoim faworytem, który jest prostego stanu, a widocznie niknie; biedne dziecko, straciło na humorze i fantazyi, doznaje jakichś serdecznych aprensji i jeszcze, Boże odwróć zle, dziewczka pójdzie na ma-

ry—rzekła kasztelanowa do małżonka, a z rzetelnym smutkiem, albowiem swoją pierwszą pannę bardzo nawiedziła.

— Bóg z tobą, moja panno — perswadował małżonek — alboż to słyszane, aby szlachecka dziewczka ozamorowała się w prostaku. Jam to w tych rzeczach expertus i powiem ci, co się święci, że dziewce w oczko wpadł podsędek X., ale on, jako niezgorszy posesionatus, a mimo młodego wieku, już na urzędzie ziemskim, dmie trochę nosem, mosanie, i nie chciałby brać żony z fraucymeru, choć to wprawdzie senatorskiego, bez pewnego wiana i oprawy, owóz, widzisz, przemyślałem zrobić dziewce zapis na dziedzictwo tego folwarku za Horyniem... prawda, iż to niezgorsza kondycyjka, a do tego z dziesięć tysięcy złotych na wyprawę, a wszystko to, niby od niechcenia, tak dla lepszego waloru, zaoblatuję w aktach ziemskich i rozumiesz, moja panno, że podsędek się o tém dowiść i sprawimy weselisko dziewce, aż w niebie będzie słychać, i obaczysz, jak się dziewczka poprawi i wydobrzeje, bo to i aśce tajném nie jest, iż sakrament małżeński, to skuteczny specyfik na wszelakie biogłowskie niedyspozycye — zakończył krotofilny kasztelan.

— Ej, nie, mój jegomość, ja już oddawna obserwuję Justysię i starałam się ją dokładnie spenetrować, ona się w Stachu silnie rozmiłowała i nie tam żaden podsędek nie poradzi —

ot, jeżeli jegomość pozwoli wynurzyć moją opinią, niechby tam dziewczka poszła za Stacha...

— A moja panno, czy z maligny prawisz?— przerwał z oburzeniem kasztelan.

— Ja to rozumiem, jegomość, jako sama szlacheckiego rodu...

— Ba i z karmazynów Gryfitów— wtrącił mimochodem kasztelan, a jego żona, nie zważając na tę przerwę, dalej prawiała:

— ...Że szlachciance wychodzić za „nieurodzonego,” jest nijako i Bóg świadkiem, żebym do tego w innym razie ręki nie przyłożyła, ale znam temperament Justysi i jej silną wolę... a pozwól już jegomość wynurzyć mój cały sentyment dla dziewczki, którą miłuję, jakby własną córkę, której Bóg nam odmówił, iż wolę ją widzieć szczęśliwą w prostaczym stanie, aniżeli z klejnotem szlacheckim na marach.

Ostatnich słów ledwo domówiła kasztelanowa dla silnego płaczu.

— Ja tam się, moja panno w podobne sentymentalności nie bawię; dla mnie *pereat mundus fiat nobilitas*, a pamiętaj, co na zanku napisano— „Lepszą imię dobre...” i z dwojga złego wybierając, wolę szlachciankę na marach, w wianku panińskim, niżli na ślubnym kobiercu z *nieurodzonym* — ofuknął kasztelan, a tak sierdziście, iż już repliki na to być nie mogło i biedna małżonka odeszła splakana, z utraconą nadzieją na wszelki ratunek swój faworytki.

Nazajutrz kasztelan był w grodzie i rozeszło się po całej okolicy, jako hojnie, po pańsku, obdarował swoją respektową panienkę, która przez tę jego szczodrobliwść, stawała się jedną z pierwszych partyi w powiecie. Dodać zaś do tego urodę i gładkość, nabytą na pokojach pańskich, kąsek był smaczny i łakomy z Justysi.

Kiedy to się działo na zamku, gdzie biedna Justysia usychała z miłości, Stach, tymczasem także rozmiłowany w dziewczę, machinalnie pełnił swoje rzemiosło, puszczał się, jak za zwyczaj, na wodę, za połowem ryb, lub dla przewozu podróżnych, rąk nie odejmował od pracy; atoli już jego głosu nikt nie usłyszał, ani śpiewki wesole nie obily się echem o fale rzeki. Rabiął może więcej, niż zwykle, rabiął za czterech, a gdy swoje skończył, innym dopomagał w pracy, tak, jakby w niej szukał upojenia, lub odurzającego napoju na swoje frasunki.

Wszystko posmutniało nad Horyniem, albowiem, gdy dusza smutna, to i ciało nie wesole, a Stach był duszą przybrzeżnej osady.

— Czy nam kto zaczarował naszego Stacha, czy się napił blekoty, iż się tak zasumował?— mawiali ponuro rybacy, także osowiali przy swoim staroście, a nie jeden z nich chodził do znachorów, aby zdjęto czary ze Stacha, bardziej zaś wierzący w Boga, niż w gusła, zakupowali msze i świece stawili przed obrazami na tę intencją.

Kasztelan, lubo napojony zasadami pychy

szlacheckiej, lecz w gruncie człek dobrego serca, ażeby sprawić, jakowąś dywersją we łrasobliwości swojego oblubieńca, wysłał go do Gdańska, ze znaczniejszym zapasem zboża, aby mógł tam dłużej zabawić i znikł z oczów swėj kochance, którą tymczasem umyślił kasztelan rychło postanowić w małżeństwie.

Po zaoblatowaniu w grodzie hojnego zapisu kasztelana dla Justysi, przybywała okolicy nowa, a więćej, niż stutysięczna panna, a do tego powabna i gładko na dworze magnackim chowana. Nie była i dotąd Justysia bez konkurentów, których zręcznie odsuwała, pod różnemi pretekstami, pomimo rad starszych, ale wiano ma swoje powaby i prawa i teraz poczęto o rączkę dziewuchy na wypródki nogi łamać.

Podsędek był na pierwszym planie, już to dla swėj stateczności, już i dla tego, że go fortytował sam kasztelan. Zdeklarowawszy się tedy państwu, jako opiekunom jedynym dziewczyny, będącej sierotą, już pewnym był swego.

Kasztelan, otrzymawszy pożądaną deklaracją, której tak sobie życzył, umyślił rzecz całą przeprowadzić, forsownie stároświeckim trybem, nie pozostawując w tēj alternacie żadnego rekursu do głosu serca — a wiedziēć należy, iż w owych czasach surowej subordynacyi i posłuchu dzieci względem rodziców, lub opiekunów, to biedne serce pozostawało na ostatnim planie.



Wszystko tedy kasztelan przygotował należycie w onój, znanój nam, rodzinnej sali: wezwał sąsiadów, podsędek, jako konkurent, stawił się w nowój kolasie, poczwórnym cugiem białych koni, co już dobrze świadczyło o stateczności i mieniu, z liczną assistencyą przyjaciół, którzy w tój imprezie sekundując, także dwornio wystąpili, co już niejako stwierdzało, iż posiadał dostojną koligacyą. Wszystko tedy przemawiało za konkurentem, nie mogącym wątpić o sukcesie, a tém bardziej, iż nie wysoko, wedle stanu swojego, attentował.

Otoczył się kasztelan taką misteryą, iż nikt się w domu nie spodziewał, co się gotowało — pytać zaś naówczas starszych nie było jeszcze w modzie. Jedna kasztelanowa bez trudności domyślała się, co się święci i drżała o swą ulubienicę, lecz z protestem przeciw władzy mężowskiej wystąpić nie ważyła się. A kiedy już, zatarłszy ręce, kasztelan uznał, że niczego do solennego aktu nie braknie, szepnął do żony:

— Moja panno, każ odziać Justysię, jak umiesz najlepiej, a nawet, jeżeli wola, daruj jój co ze swoich precyozów, żeby się dziewczyna pięknie zaprezentowała i rychło ją przyprowadź tutaj.

Kasztelanowa, bez repliki, wydalila się dla spełnienia rozkazu męża i pana.

Justysia tymczasem, od wyjazdu Stacha na większy termin, gdyż dla zatrzymania go dłużej w oddaleniu, pan co raz nowe szkuty ze zbożem

pod jego zawiadywanie do Gdańska wyprawiał—znacznie posmutniała i upadła na zdrowiu, już co raz rzadziej ukazywała się na pokojach, chyba na wyraźny rozkaz państwa. Śpiewała nawet i tańczyła, kiedy kazano, lecz śpiew ten jęj nie rozweselał, jak dawniej — słuchaczy, owszem, dźwięczał im w sercu echem żaloby, a tańczyła biedna bez animuszu i energii, poruszając się, jak automat na sprężynie. Kasztelanowa litościwsza, a jako niewiasta, wyrozumialsza na cierpienia serca, częściej starała się pozostawić Justysię w spokoju, bolejąc nad jęj troską i strapieniem serdeczném.

Teraz, skoro jęj oddała rozkaz pański, serce się kasztelanowęj ścisnęło, widząc, jak go dziewczyna spełniała z jakąś, iście klasztorną rezygnacją, jak ze smutném obliczem nakładała strój świetny i bogaty, do którego za zwyczaj tak wdzięcznie się uśmiechają niewiasty, szczególniej młode.

— Może ją choć tém rozruszam i ożywię?— Pomyślała kasztelanowa, a biorąc z gotowalni sepecik, zawierający kosztowny garnitur szmaragdowy, uryańskimi perłami okolony, a który składały halszbant, manele i zausznicę, krom kosztowności, nader misternęj roboty, a tuląc dziewczynę do serca, jakby własną córkę, z sentymentem wyrzekła:

— Naż ci to, moje dziecko, abyś pięknie wyglądała.

W każdym innym razie, każdą dziewczynę dar taki hojny do nóg by dawczyni rzucił, z serdecznym affektem wdzięczności, rozjaśniłby jej usta uśmiechem, a oczy weselem.

Leecz, jako żywo, Justysia, do niegdyś korallowych, a dziś wybladłych i zimnych ust, przyciskając rękę pani, rzekła, z obojętném uszanowaniem:

-- Dziękuję pani kasztelanowej.

Poczem ją upinać na siebie te dary, tak zimno i obojętnie, jakby zmarłe ciało obcego okrywała całunem. Na ten widok, kasztelanowej lzy zakręciły się w oczach.

Strój trwał nie długo, bo ani miłości własnej, ani wrodzonej białogłowie, ambicyi przypodobania, dziewczyna doń nie przyłożyła. A gdy kasztelanowa wprowadziła na salę dziewczynę, bogatą, strojną i bladą, jakby pięknego trupa, rozległ się ogólny szmer smutnego podziwu i kompassyi, a nie jeden może oglądał się za katafalkiem, aby tę piękną martwą, na nim umieścić.

Kasztelan lubiał wyprawiać rozmaite dyalogi z niespodziankami, które sam w tajemnicy przed domownikami organizował, a posiadał sporą dozę despotyzmu domowego, jak w ogóle nasi magnaci, przed którym wszystko ugiąć się musiało.

Skoro tody kasztelanowa wprowadziła Justysię, pięknie przybraną, Leliwita, nie bacząc na jej trupią bladość i rozlany na całym obliczu wyraz smutku, który do głębi serca wszystkich

przytomnych przejął jakąś niewypowiedzianą zgrozą—zatarł ręce z radości, gdyż wejście niewiast stanowiło pierwszy zawiązek, mającego się odegrać dyalogu, do którego niezwłocznie przystępując, kasztelan jął należycie ustawiać osoby, w swoim dyalogu działające, a już to niema o czém powiadać, iż każdy w milczeniu onój segregacyi poddawać się musiał.

Najprzód Szymona Wadwicza, któregośmy znali, postawił w środku, na widniejszém miejscu, a przy nim jego siostrę Justysię. Wiedzieć należy, iż on poczciwy Szymon, nie tyle może był jej bratem, ile ojcem, bo z pierwszego małżeństwa zrodzony, był od siostry o lat niemal trzydzieści starszy, i kiedy rodzice odumarli ją prawie w kolebce, brat ich zastąpił siostrze, a z ciepłym sercem w pierwszym ją dzieciństwie odchowal, a dopiero, skoro podrosła, resztę jej wyświadczyła litość, a potroszę i fantazyja pańska, zdobiąc dom swój tym żywym spręcikiem urody i-powabów.

Dla tego to i Justysia w swém rozumieniu, acz czując wdzięczność dla dobroczynnych państwa, zawsze jednak we frasobliwych alternatach, bardziej się garnęła do owego brata-ojca i od niego wyglądała pociechy. Stanawszy i teraz przy nim, osłabiona i chwiejna, mimowoli spała się na jego ramieniu.

Powszechnie oczekiwano rozwiązania dyalogu, którego nikt, oprócz kasztelanowej, nie domy-

ślał się, bo kasztelan, lubiący tajemniczość, absolutny sekret zalecił podsędkowi, którego teraz, kiedy ogólna cisza, wywołana ciekawością, zapanowała—wziąwszy pod rękę, prowadził przed Wadwicza i obaj trzykrotnie, aż do pasa, mu się pokłonili. Kasztelan miał na sobie on strój rodowy, odświętny, kapiący bogactwem, który raz już widzieliśmy, a podsądek, na ile go tylko stać było, wysadził się na ubiór paradny.

Ciekawość ogólna co raz bardziej się wytężyła.

Kasztelan, pochyłony przed sługą swoim, rozpoczął długą oracyą panegiryczną dla rodu Wadwiczów, a miał dar oratorski, właściwy już to w ogóle dawnym Polakom, szpikował mowę gęsto cytatami z łaciny, co było ówczesną modą. Przeszedł z kolei do prozapii rodowej podsędką, a po dobrej półgodzinie płynnej wymowy, przez którą we wszystkich przytomnych podziwienie i admiracyą dla gładkiej swady wywołał—przeszedł już do zrozumialszej konkluzyi, prosząc Szymona, jako naturalnego opiekuna swęj siostry, o jęj rękę dla podsędką.

Usłyszawszy tę konkluzyą, jakby sentencyą wyroku śmierci dla siebie, biedna dziewczyna, jeszcze bledsza, niż przed tém, bez zmysłów padła na rękę brata.

Nikt wszak-że nie pojął z razu właściwego znaczenia owęj niemocy, atoli większość, niewtajemniczona w serdeczne sprawy dziewczęcia, su-

ponowała, iż alteracya owa pochodziła z niespodzianej pomyslności, że o pannę z fraucymeru — chociaż magnackiego — ale zawsze fraucymeru — konkurował tak stateczny kawaler, a urzędnik ziemski, który od żadnej prawie panny szlacheckiej w powiecie rekuzyby nie dostał.

Sam nawet kasztelan, podczas, kiedy przytomne niewiasty rzuciły się do cucenia omdloniej, zacierał ręce, ukontentowany, iż jego swada tak dobrze poskutkowała i szepnął do podsędka:

— *Bonum signum...* widzisz waść, aż panna omdlała z aprehensyi syntementu dla waszeci, tak jój moją oracyą dosadziłem.

Tymczasem larendogrą i innemi specyfikami, białogłowy dotrzeźwiły zemdloną Justysię; a posadzona na wygodnem siedzeniu, milcząc, rzucała do koła błędnym wzrokiem, nie zdając sobie sprawy z tego, co się z nią działo. Dopieroż nieboga była podobną do martwěj.

A kasztelan nie przestawał szeptać z satysfakcyą do podsędka:

— A co, nie mówiłem waszeci, że w tobie rozmiłowana? one mdłości, to nieomylnie signum affektu.

Skoro zamięszanie, spowodowane omdleniem Justysi, nieco się uspokoiło, kasztelan, stając na nowo w solennej postawie przed Wadwiczem, uroczyście rozpoczął:

— Imć panie starosto! — (czyli był w rzeczy samej starostą Wadwicz, lub tak go tylko tytu-

łowano?—powiedzieć nie umiem), mam zaszczyt oczekiwać repliki waszmości pana na uczynioną przezemnie deklaracją w imieniu dostojnego kawalera, imię pana Podśędka.

— Do czegoż tu jaśniejszj repliki nad tę?— odparł sucho i obojętnie ponury Wadwicz, wskazując na siostrę, ciągle prawie bez życia.

Kasztelan zaś, tłumacząc te słowa w sens przychylny swoim zamysłom, wzięwszy w rękę zwitek pergaminu, z dużą pieczęcią na złotym kutasie — a był to dokument ów, zawierający hojny zapis i wręczając go Wadwiczowi, przemawiał:

— Bacząc na niedyspozycją przezacnėj oblubienicy imię pana podsędka, imię panny Justyny Wadwiczówny, skracam akt dziękczynnėj oracyi, którą zresztą czasu pogodnego, przy solennym, da Bóg szczęśliwie doczekać, feście zaślubin wypowiedzieć będę miał honor.

— To zaś tymczasem — zakończył, podając pergamin Wadwiczowi — raczcie przyjąć, jako skromny dar zrękowinowy od swata, a przyjacielu osobistego waszego i rodu Wadwiczów od antenatów.

Wadwicz nieco się usunął podczas tēj mowy, jakby nie chciał brać do rąk owego pergaminu. Kasztelan zaś, nie dając baczenia na ten gest, wypuścił z rąk zwitek i pieczęć jego w złotém pudełku zabręczała głośno o marmurową podłogę.

Podbiegł dworzanin do podjęcia pargaminu, który, według destynacyi, chciał wręczyć Wadwiczowi, lecz ten go ruchem ręki oddalił.

Na ten widok, niezwyczajny gardzenia łaską pańską, oblicze kasztelana oblało się pasem gniewu i oburzenia. Ogólny zaś podziw przytomnych uwydatnił się w grubowém milezeniu.

Po chwili kasztelan przemówił drżącym od gniewu głosem:

— Cóż to waść spernujesz skromnym darem braterskim, który zaiste z serdecznego pochodzi affektu?

— Jaśnie wielmożny panie, na łasce i chlebie hojnym Leliwitów, wykarmiło się i wyrosło kilkanaście pokoleń Wadwiczów rodu, dość mamy z waszłej łaski, abyśmy o więcej zabiegać mieli—odparł pokornie, przeto jednak ze stanowczością i powagą, Wadwicz.

Na tę mowę zmiękła sierdzystość pańska, a kładąc przyjaźnie rękę na ramieniu sługi, prawił z affektem.

— Mój Szymonie, zbytęczą jest ta twoja restrykcyja, przecie w dzień, tak solenny, jakim są zrękowiny, prezentów przyjacielskich nikt nie odrzuca.

— Jakież to zrękowiny? — wtrącił ponuro Wadwicz.

— Kiedy ja się deklaruję, jako swat, zda się, iż o zrękowinach wątpić nie można!—wymówił z dumą kasztelan.



— Patrzenie, jegomość! — rozpoczął smutnie, a hardo, nad podziw dla wszystkich, sługa, wskazując na dziewczkę, ledwie dyszącą.—Patrzenie, panie na tę niebogę, czyliż dla niej kobierzec ślubny? jęj, chowaj Boże, rychło katafalka będzie potrzeba!

Zadrżeli wszyscy, usłyszawszy tę mowę, niewiasty szlochać poczęły.

— Więc rekuzujesz mnie, mnie?... Leliwicie, kasztelanowi . . . . lskiemu, ręki dziewczki z frau-cymeru mojęj małżonki? Mnie!.. mnie!..—ryczał kasztelan, pieniać się gniewem, powtarzając cią-gle one „*mnie, mnie,*” a za każdém powtórze-niem tłukąc się niemilosiernie w piersi.

Strach i przerażenie ogarnęło przytomnych na samą myśl konkluzyi tego dyalogu, który się tak świetnie rozpoczął.

Wadwicz tylko stał nieulękniomy, milczący, a po chwili namysłu, wzięwszy siostrę za rękę, stanął przed panem, a pokłoniwszy mu się do kolan, ozwał się z powagą gromkim głosem:

— Jaśnie wielmożny panie, dziękujemy wam za służbę i za hojne łaski, tak wasze, jako i przezacnych przodków waszych na nasz ród; a że wasze dobrodziejstwa opłacamy dziś nie-wdzięcznością, raczcie to nam odpuścić dla mi-łości chrześcijańskięj.

To powiedziawszy, odpiął z Justysi halszband, manele, zausznice i wszelkie klejnoty, jakie miała na sobie, a złożywszy je na poduszce obok par-

gaminu, z siostrą razem wyszedł poważnym krokiem z sali.

Taka była część pierwsza onego fatalnego dialogu kasztelana; dla uzupełnienia zaś opisu, dodamy w krótkości, że kasztelan, draśnięty do żywego w swój dumie i despotycznym obyczaju, a to przez pokornego sługę, jako sangwinik, a apoplektycznej komplexyi, omal życiem nie przyplacił tój katastrofy i nim goście czas mieli wymknąć się chyłkiem z tego niewczesnego dialogu, już kasztelan, otoczony lekarzami, których zewsząd zwieziono, legł na łożu, prawie śmiertelnem.

„Łaska pańska na pstrym jeździ koniu” — mówi stara przypowieść, znana bez wątpienia i dworakom magnackim, bo każdy łaską pańską zaszczytany, starał się prozapas, skoro „łaska na pstrego konia wsiedzie,” mieć jakieś własne locum standi — gdzieby, na wypadek czego, głowę skłonił.

Toż i Wadwicz, chociaż sam już lat parę dziesiątków panu przesłużył, a jego przodkowie parę wieków, jednak mając się na baczności z fantazyą pańską, ciułając grosz do grosza, kawał ziemi sobie nabył, a że był rybakiem, choć nie z rzemiosła, ale z amatorstwa, wystawił sobie na rybackiej osadzie on domek, który dopiero widzieliśmy w ruinie.

Wychodzących z sali, brata i siostrę, nikt nie myślał zatrzymywać, tak bowiem ten nadspodziewany, a niezwyklej kierunku krotofili pański, zgorszył i zadziwił przytomnych—iż dali rum wychodzącym, którzy nie oglądając się po za siebie, przebiegli duże dziedzińce zamkowe i bramę, w dzień solenny stojącą otworem, a dopiero minawszy już ostatni wał zamku, Wadwicz, biorąc w dłonie piękną główkę Justysi, ucałował jej blade czoło, powiadając:

— Tak to, moja biedna doniu, „łaska pańska na pstrym koniu jeździ”—ale nie frasuj się, moje dziecko, ja cię nie opuszczę, jakom to zaprzysiął naszemu nieboszczykowi ojcu, na jego łożu śmiertelném, którego nie pamiętasz, będąc dzieciną przy jego śmierci. Również i przez pamięć zacnej twój matki, która istną matką, ale nie macochą była dla mnie, ja cię nie opuszczę, moja doniu!

Dziewczyna ukryła głowę na łonie brata, a dając spokojnym łzom wolę, ulżyła ciężkiej boleści, tłoczącej jej biedne serce. Poczém, gdy w dalszą puścili się drogę, Wadwicz, oglądając się na zamek, prawil:

— Niech im Bóg płaci za wszystko dobre, co dla nas przez kilka pokoleń uczynili, ale Bogiem, a prawdą—i my nie założyliśmy rąk, dobra im przysparzając, a ta chudoba licha, co nam pozostaje, krwawo zapracowana, więc nie długiem, ani lichwą, zkwitowaliśmy się z nimi...

Szli już daléj w milczeniu. Dziewczyna, choć zawsze blada, ale widocznie odzyskiwała spokój i swobodę, sparta na silném ramieniu brata, który w rzeczy ojcem był dla niéj.

— Chcieli cię, niebogo, gwałtem wydać za-  
mąż, gwałt zadać twemu biednemu sercu, opłacić  
to pargaminem i manelami, co się tylko senty-  
mentem nabywa—biedna doniu!..

— Ty, dobry bracie, zezwolisz mi być żoną  
Stacha?—zawołała dziewczyna, otaczając białemi  
ramionami szyję brata.

— Biedna doniu! — odparł Szymon z uczu-  
ciem—czyliżbyś chciała w stare gniazdo Wadwi-  
czów wprowadzić obcy nieszlachecki żywioł?...  
Czyliż nasz ojciec i twoja matka, błogosławiliby  
temu związkowi?—i ja błogosławiłbym nie po-  
ważył się. Z mojem błogosławieństwem żoną  
Stacha nie będziesz, moja doniu, ale w żadnym  
wypadku gwałtu sercu twojemu nie zadam.

— Dobry bracie, stanie się wola twoja, do-  
trwam w afekcie dla Stacha do śmierci, i kła-  
mac mi miłości dla innego nie każesz, niech cię  
Bóg za to błogosławi, żeś mi zmarłych rodziców  
godnie zastąpił, a jeżeli nie szczęście, to spokój  
odzyskam przy tobie.

Tak rozmawiając, ta serdeczna para dotarła  
nakoniec do domku, który zawsze był gotów na  
przyjęcie gości; Wadwicz bowiem, udając się tam  
często w chwilach, wolnych od posług pańskich,  
dla wytchnienia i dla swoich praktyk rybackich,

utrzymywał tam skromną służbę i jak dla dwojga ludzi nie wymagających, wszystko było aż nadto wystarczającym, aby cichy, skromny i zapomniany żywot rozpocząć.

Oddali się tedy oboje pracy, aby temu skromnemu bytowi wystarczyć, a w swobodnej mierności zapomnieli o przepychach zamku.

Wadwicz wszakże nie pomału się zafrasował, skoro przez ludzi, bo sam do zamku nie przybliżał się, doszła go wieść o ciężkiej chorobie kasztelana, wierny sługa chodził, jak struty, a oboje z siostrą modlili się i czynili vota o odwrócenie od dawnych panów tego nieszczęścia, którego niejako stali się mimowolnym powodem. Lecz jakoś choroba pańska wzięła obrót szczęśliwy, i spokój w chatce na nowo zapanował.

Czyli kasztelan tęsknił za dawnym sługą?— na to pytanie nie można inaczéj odpowiedzieć, jak twierdząco, bowiem przy bucie i fantazyi magnackiej, pan to był dobrego serca. Sama kasztelanowa, skoro już trwogi o zdrowie małżonka minęły, pokryjomu nawiedzała swoją faworytkę.

Justysia zaś odzyskała, jeżeli nie szczęście, to spokój, a zajęta doglądaniem gospodarstwa swojego brata, przerzucona ze zbytku zamkowego do prostego wieśniaczego życia, przez samo zbliżenie z naturą, ożywiła się nieco i otrzęsła z dawnych frasunków serca — słowem zdobyła spo-

kój — a i to niepoślednie dziedzictwo dla nie-szczęśliwych.

Podczas, kiedy to się działo na zamku, Stach szyprował na pańskich statkach do Gdańska; a nie wiadomo, z jakich powodów, czyli dla przeszkodzenia połączeniu dwojga kochanków, lub stając na straży mezaliansu szlachecianki ze swego domu z „nieurodzonym,” kasztelan ciągle dosyłał nowe ładunki zboża swojemu szyprowi, zakupował całe transporta u sąsiadów, wyprawiał je pod jesień z ostatnią wodą, byle pozyskać pretext zatrzymania go dłużej w Gdańsku, a tak się jakoś ze swojemi ładunkami pan uwijał, iż Stach już drugą zimę przepędzał w Gdańsku.

Trudno powiedzieć, co o téj manipulacyi Justysia myślała, nie oglądając długo ulubionego, lecz brat jój prawdopodobnie, wcale rad był owéj manipulacyi pańskiej, oddalającéj rozkochanych, przez co w końcu amory owe mogły wywietrzeć z główki dziewczęcéj.

Tymczasem zaszła jedna, na pozór błaża, ale ważna w naszéj opowieści okoliczność, iż kiedy Stach z woli kasztelana bawił się przydłużéj w Gdańsku, zmarł jego ojciec—kim zaś on był?—choć krótko, należy nam opowiedzieć:

Przed dwudziestoma kilku laty do osady rybackiéj, przywłókł się jakiś niepozorny człeczyna, opowiadając się, iż jest także rybakiem aż z nad Prypeci, że zniechęciwszy sobie rodzinne strony, przypominające mu śmierć drogiéj małżonki, umys-

lił je opuścić; miał przybysz coś grosza w kalecie, pomimo, iż mizernie, a licho wyglądał, a że na ów czas była do nabycia chata z gruntem po zmarłym rybaku ojeu licznój rodziny, on posiadał ją, dobrze opłaciwszy bez targu, przez co obywatelstwo w osadzie rybackiej pozyskał.

Przybysz ten, przyprowadził ze sobą, napoly przyniósł na ręku chłopczyka, zaledwie odrośniętego od ziemi. Chłopię to było bardzo wdzięczne i miluchne; ojciec, pomimo, iż szeroko prawił o miłości dla swój nieboszczki żony, która, dawszy mu tego chłopca, zmarła, wszakże o dziecko nie dbał wcale i byłby może chłopaka przez niedbalstwo zaprzepaścił, gdyby nie to, że gładka, a lepka dziecina, zdobyła sobie od razu mir i miłość całej osady; szczególnieź rybaczki wyprzedzały się, aby sierocie brak matki zastąpić — i rosło sobie chłopię szczęśliwie pod opieką bożką, a ludzką, bo ojciec rodzony najmniej ón się zatroszczył. Szeptali tam ludzie:

— Zkąd u takiej *pohanėj* (brzydkiej) poczwarzy, taki piękny chłopiec, chyba gdzie go ukradł?

Ale były to sobie gadania, które czas przygluszył.

Tymczasem rósł chłopczyzna, a z nim i miłość ludzka, a kiedy był już wyrostkiem, każdemu, łaską odsłużyć umiał, do rzemiosła się rychło usposobił, a zręczniejszym był nie tylko nad rówieśników, ale nawet i starych rybaków, choć

przytém potulny, usłużny, w nikim zawiści nie obudził.

Skoro się Makar (tak się zwał przybysz) rozgościł, rybacy z rzemiosła poznali, iż nie należał do ich cechu, bo téż się niczém nie zajął, i kiedy chłopak chował się na cudzém ręku, on, nie dbając wcale o niego, przepijał co tam jeszcze kręciło się na dnie przyniesionój kalety. A kiedy chłopiec, pracując na siebie, już począł zarabiać, stary całą jego pracę przepijał, atoli Stach ani razu nie zdradził swojego ztąd nieukontentowania, owszem, dla ojca był z szacunkiem i posłuszeństwem, i kiedy już szyprował u kasztelana zawsze kładł za warunek swój pracy, aby pan o ojcu pamiętał. Ztąd téż, o ile pogardzano starym pijakiem, o tyle miłość synowska w Stachu w całej osadzie pozyskała dla młodzieńca wielkie zachowanie.

Niéma co długo powiadać o pijackim żywocie, którego teraz właśnie stary Makar dopijał, kiedy Stach szyprował w Gdańsku.

Już na łożu śmiertelném, wypowiadał przed kapłanem i ludźmi, iż Stach nie był jego synem, a tylko od pewnego wielkiego pana wziął znaczną kwotę, aby go przyjął za swojego i daleko uprowadził... czyli mówił prawdę, czy plótł po pijanemu, bo gorzałą się leczył, rozważniejsi nie byli w możności przyjść do jakiegoś pewnego wniosku, a chociaż łamał sobie głowę nad na-



zwiskiem owego pana, lecz i to nie wyszło z zakrzepłej pamięci i ust, śmiercią zastudzonych.

Daléj-że tedy ludziska i kumoszki sobie:

— A co, nie wyszło na moje, że taki dziad nie mógł być ojcem takiego chłopaka, że Stach taki nieodmiennie pańskie dziecko.

Jedna utrzymywała, iż poznała to po delikatnych rękach, druga po szyi, i t. d.

Pogrzebali Makara i przycichło, jak wszystko najgłośniejsze przycicha na naszym doczesnym światku. A tém bardziej, iż skoro z kolei wieści o tych bredniach doszły do kasztelana, ten je z góry zgromił, powiadając:

— A to imé pan Wadwicz, chcąc na gwałt schłopić swoją siostrzyczkę, poddał gorzały umierającemu pijanicy, aby mu jakieś koszałki opałki wygadał.

I przycichło!

Przedśmiertna paplanina starego pijaka niezawodnie przeszłaby sobie kolejną swych koleżanek, w podanie, legendę, a nakoniec po wiekach i nuyt, któremi wiatr, igrając po szerokim świecie, muska groby zmarłych—gdyby nie następna okoliczność:

W kilka czasów po śmierci Makara, zjawili się w osadzie jacyś ludzie, a jak prostaczkowie ich zwali „pankowie,” a wypytujac dokumentnie o starego Makara i opisujac dokladnie jego po-

wierzchowność, z osobliwszą pilnością wywiadywali się o dziecię płci męskiej, które ze sobą przyprowadził. Dopieroż tryumfowały wszystkie gaduły i kumoszki, kiedy cała sprawa o dwór się kasztelański oparła.

Pokazuje się, iż przybysze byli ludźmi statecznymi, bo pan ich ugaszczał na zamku, sama zaś ich sprawa miała pewną wagę, kiedy natchmiast, co rychlej, swojego szypra z Gdańska powołał.

Stach, pospieszywszy na wezwanie pana, skoro przed nim stanął, dopieroż się zdziwił, kiedy dwaj stateczni panowie, wysłańcy znanego magnata i dostojnika, z respektem i submissyą go witali—jego, który zawdzięczał cały byt pijaczynie starcowi, w tym względzie, iż go do poczciwej osady przyprowadził, gdzie zdobył miłość ludzką i sposób do życia.

Lubo korzystając z okazji, możnaby powieściowym procederem piękny rozdział wypisać, lecz, że jeszcze długa rzecz przed nami, a muszę się obliczać z cierpliwością czytelnika, więc skracam, o ile w méj mocy.

W istocie rzeczy tak stały, iż Stach nie był synem Makara, ale tylko pewnego magnata, który podejrzewając swoją żonę o nieprawę związku, nie uznał jój syna Stacha za swojego, a opłaciwszy sownie jakiegoś włóczęgę, powierzył mu dziecię, aby mu znikło z oczu, a podejrzaną o wiarołomstwo małżonkę, zamknął w klasztorze.

Czas i okoliczności po latach wielu, wykryły niewinność biednej niewiasty, niewinnej pokutnicy fałsz podejrzenia.

Krótko mówiąc, ów ojciec srogi, dziś przy schyłku życia kający się swojego czynu, wzywa, prawego syna, zwracając imię, wielką fortunę i pozycyą na wyższym szczeblu społecznym. Sam zaś przybyć nie mogąc, ciężką śmiertelną chorobą złożony, uprosił statecznych sąsiadów, aby, w imieniu jego działając, restytucyą wygnanemu synowi ponieśli, oni to wysłańcy, znani kasztelanowi, w poszukiwaniach swoich dotarłszy z dalekiej strony aż nad Horyń, prosto na zamku za gościli, a skoro sprawdzili, o ile można było po śmierci, tożsamość włóczęgi Makara, pozostawało tylko wyklarowanie, co do osobistości samego bohatera Stacha, czego ohotnie się podjął kasztelan, rad będąc faworytowi szyprowi świetną kondycyą zapewnić. Wszakże działano w tajemnicy, aby rzeczy, tak ważnej, przedwczesnego nie nadać rozgłosu. Wynałazłszy tedy jakiś pre-  
text handlowy, kasztelan co rychlej kazał powracać swemu szyprowi, od paru lat bawiącemu już w Gdańsku.

Stach, stawiać się pilnie na rozkaz, skoro się panu meldował, ten miał przy sobie, niby z wypadku, onych dwu poważnych przybyszów, a ci, skoro ujrzeli wchodzącego, szepnęli do siebie jednocześnie:

— Co za podobieństwo do starosty, kiedy był w tych latach, usuwające już wszelką wątpliwość.

Tymczasem kasztelan, jakby nie było, wypytywał młodzieńca o swoje sprawy, a przechadzając się po komnacie, ciągle mu się, niby od niechcenia, przyglądał.

Szyper, bawiąc przydłuższy czas między Niemcami, mimowoli przejął strój tamtejszych flisaków, który się składał z kurtki sycowej rozpiętej, a pod nią koszula biała, związana na szyi czerwoną wstążką, a rozwarta na piersi, dalej pas czerwony, pokrywający pludry obcisłe wełniane, wpuszczone w buty długie juchtowe.

Kasztelan, dyskurując o tém, o owém, jak zwykle z faworytem sługą, którego do bliższej przypuszczał konfidencyi, ozwał się w końcu, niby coś postrzegając po raz pierwszy:

— A powiedz-że mi, Stachu, zkad to masz ten krzyżyk bukszpanowy na żelaznym łańcuchu, czyś kupił w Gdańsku?

— O, nie, jegomość, to mi zawiesiła matka, której znać nie miałem szczęścia, gdyż mię odumarła w niemowlęctwie—odparł młodzieniec ze wzruszeniem.

Kasztelan, jakby zaciekawiony, wziął krzyżyk w rękę, pilnie go przepatrując i wymówił od niechcenia:

— A to i litery wyrzeźbione *S. R.*, pewnie nazwisko twój matki, jakże się zwała?

— I tego nie umiem powiedzieć, bo kiedy dorosłszy, pytałem nie raz ojca o imię matki, abym je w modlitwie wypowiedział, zwykle mię krótko zbywał, powiadając: „Na co ci tam wiedzieć, westchnij tylko za jęj duszę, a Pan Bóg wię bez ciebie, jak się zwała, i da jęj wieczne odpocznienie.”

— A o tym krzyżyku nie nie powiadał? — pytał, niby obojętnie, kasztelan.

— Wiadomo jegomości, że moje biedne ojczysko miał ten nieszczęsny nałóg, a bywało, jak sobie podchmieli, mawia mi: „Słuchaj, chłopaku, pilnuj tego krzyżyka, jak oka w głowie, a nie mieniaj go nawet na złoty, bo w nim dla ciebie spoczywa wielka pomyślność, a kto wię, może i krescytywa, przezeń możesz się stać jeszcze wielkim panem, a tego rodzimego znamienia, co masz na piersi pod krzyżykiem, nie wygubiaj nigdy, choćby cię jak baby namawiały, bo ci powiadam, że przez to oboje może cię jeszcze wielki los spotkać.” Tak to majaczył sobie biedne ojczysko, kiedy podochocił, jam tego nie brał do serca, a zawsze krzyżyka nie oddałbym i bez tego za żadne pieniądze, jako jedynęj pamiątki po nieznanęj matce, a znamienia pozbywać nie myślałem, kiedy Bóg mię razem z nim na świat posłał.

Tak sobie opowiadał szyper swobodnie, jako sługa, do konfidencyi pańskięj przypuszczony, a kiedy rzecz toczyła się o onych literach *S. R.*

i o znamieniu, dwaj oni goście pańscy, niby bez zamiaru, przysłuchywali się rozmowie, a przypatrywali pilnie krzyżkowi i znamieniowi, aż na koniec poszeptali chwilkę pomiędzy sobą i starszy, zbliżywszy się do młodzieńca, położył mu rękę na ramieniu i prawił z powagą:

— Nie omylił się stary Makar, twój przybrany ojciec, iż krzyż ten doprowadzi cię na szczybel wyższėj fortuny i dostojenstwa, i jakby na tobie ponownie sprawdzały się one pamiętne słowa *in hoc signo vinces*, bo przez ten krzyż i znamię odzyskujesz wszystko utracone w dzieciństwie i my, tu przytomni, a upoważnieni przez prawego twego ojca, który na łożu boleści widzieć cię pragnie i przycisnąć do rodzicielskiego serca, co nim nastąpi, my w jego imieniu mamy honor powitać wmość pana, jako starościca . . . . . żewskiego Stanisława Poboga.

I obaj skłonili się głęboko przed szyprem, który stał niemy, jakby osłupiały, nie pojmując tēj ciemnej dla siebie mowy.

Kasztelan, że to lubiał *zalać* każdą okazyą przywoicie, buknął zaraz na służbę, aby podano orztruhany i wino, a na wpół przytomnego z podziwu Stacha obejmując za szyję, prawił z afektem:

— Miły mój bracie starościcu, rad jestem powitać cię, jako kolligata, bo trzeba ci wiedzieć, iż twoja prababka, Leliwitówna z domu... Ale nim co do czego przyjdzie, zrzuc ten strój pro-

stacki, nie przystojny naszemu stanowi, a pozwól tymczasem służyć ci mojemi sukniami...

Tu zwrócił się do sługi i rozkazał:

— Szatnego!

A gdy się ten zjawił:

— Przeprowadź waść starościca do westyarni i daj strój, co bogatszy, jaki sobie wybierze.

I wskazał na Stacha tak znacząco, iż szatny, acz zdziwiony i nie pojmujący widocznie rozkazu, jednak zgiął się przed szyprem we dwoje, dając gestem do zrozumienia, iż gotów jest na jego rozkazy.

Stach przecierał oczy, jak senny i macał się za głowę, jakby się przekonać pragnął, czy ma mózg na miejscu.

Kasztelan, swojego już ex-szypra potrząsając zlekka za ramię, chciał wyrwać z téj wątpliwéj alternaty i rzecze:

— Chciéj-że starościcu zadość uczynić naszéj supplice i wracaj co rychléj, abyśmy wypili za naszą parentelę.

— Raczy mi jegomość wybaczyć, ale nie z tego wszystkiego nie zrozumiałem — odparł Stach, jako człowiek, ze snu nagle zbudzony.

Zabrał tedy głos poważniejszy z przybyłych:

— Jako umocowany imci pana starosty, ojca waszmości, pozwól, starościcu, iż rzecz całą w krótkości wyluszczę: jesteś jegomość jedynym synem z prawego małżeństwa imśé pana staro-

sty . . . . . żewskiego Poboga i kasztelanki Salomei R... Aliści fatum mieć chciało, iż za przyjściem twojém na świat, pomiędzy rodzicami zaszły rozmaite kollizye i wątpliwości, nad któremi obszerniej rozwodzić się tu nie będę, skutkiem zaś takowych nastąpiły dwa smutne fakta, (których dziś ojciec wmości, imć pan starosta, dość odżałować nie może), wyrzeczenie się ciebie, chociaż prawego syna i to, że biedna matka waszmości zmarła w klasztorze p.p. Brygitek, jako pokutnica, za winy niepopelnione. Czas wszakże i nieprzewidziane okoliczności wyjaśniły niesłuszność podejrzeń imć pana starosty, spowodowanych intrygami złych ludzi, nakoniec głośna spowiedź przedśmiertna jego małżonki, a twojej matki, reszty dokonała, tak, iż starosta sam jest dziś pokutnikiem za cudze winy oszczerców i intrygantów, a na łożu, już prawie śmiertelném, (czego tać przed waszmością nie myślę), wzywa cię, abyś mu swego przebaczenia udzielił, a przez to i bozkie mu przyspieszył... Widzisz, waszmość, iż czas nagli nas do drogi i spodziewam się, iż nam zechcesz towarzyszyć, bo acz to smutno wyznać przed synem, ale śmierć nie czeka...

Szyper wysłuchał całego opowiadania, wybladły i drżący. Wszysey przytomni, z kompassyi dla jego wzruszenia, stali, jakby w osłupieniu, każdy zresztą, że tak powiem, przeżuwał w myśli owe straszne alternaty, w losy trojga istot najniewinniej wplątane.



Malarz by tu mógł przenieść na płótno obraz, zatytułowany „zamieszanie” — w bogatej komnacie pańskiego zamku rozstawić taką grupę: szyper w stroju prostaczym, słuchający opowiadania dwóch poważnych personatów, submitujących się niejako przed biedakiem; kasztelan, z dumą wyczekujący jego ostatecznej decyzji; szatny, zgięty we dwoje u drzwi, z całą gotowością do spełnienia pańskiego rozkazu i nakoniec służba z gąsiorami i roztruhanami, czekająca skinienia, aby z pełnego nalewać.

Pierwszy kasztelan przerwał ono milczenie, dla wszystkich aktorów tego dyalogu nazbyt uciążliwe, a kładąc rękę na ramieniu młodzieńca, prawił kordyalnie:

— Ano, mój chłopaku, *sapienti sat*, pewnoś tedy spenetrował całą ową smutną circumstancją twójgo żywota... Bogu się podobalo zesłać na was ten ciężar smutków, skarać niewinnych może za grzechy ojców, bo to niezbadane są wyroki opatrności, poddać się im bez szemrania winniśmy. Bóg zasmucił, On też i pociesza odzyskujesz ojca, imię, świetną pozycją, a ja winszuję sobie, iż w tobie zdobywam nowego kolligata mojego domu... No, chłopcze, ponieważ śmiertelni, a tēm bardziej chorzy, nie czekają i czas ci pospieszyć na apel czcigodnego rodzica... więc *et haec facienda et illa non omittenda*, bo i wypić za zdrowie odzyskanego brata szlacheica, a kolligata mojego wypada, a zatēm najprzód

idź waść, przywdziej strój, wysokięj twojój pozycyi przystojny.

To powiedziawszy, kasztelan Stacha razem z szatnym wypychał żartobliwie za drzwi, a do tego ostatniego powiadał:

— Proszę-ż cię, Macieju, wynajdź co bogatsze suknie, tak, rozumiesz—galanckie, Zygmun-towskim krótszym krojem, bo to młodemu w długich nic potém, ale żebyśmy się nie powstydzili za starościca... rozumiesz?

Szatny skłonił się w pas kasztelanowi, na znak, że rozkaz pański pojał i wykonać akuratnie gotów, a czekał tylko, aby nowemu dygnitarzowi dać prym przed sobą, gdy Stach zatamował ów pochód, odzywając się z respektem do kasztelana:

— Wybaczy jegomość, że ja nie będę korzystał z łaski i sukien nie zmienię.

— Jakim-że to sposobem, przy zmianie stanu strój ten nie przystoi?... przecie orły piór wronich nie wdziewają?... Wlazłeś, chłopcze, w kosz, bądź-że grzybem, a powiadam ci, dobry jest on kosz szlachecki, a luboć to wprawdzie nie suknia człeka zdobi, ale, jak mówi przysłowie, „każdy kiep swoim strojem” — zakończył kasztelan żartobliwie, znów potrącając młodzieńca zlekka ku drzwiom; snadź pilno mu było dobrać się do pubarów, które niecierpliwie oczekiwały.

— Cóż to za niechęć do stroju, a wyznam wcale wspaniałego, który stanowi twojemu przynależny.

Młodzieniec, ująwszy rękę kasztelana, do ust ją przycisnął, a wypowiadał z pokorą:

-- Wybaczcie mi łaskawie, jegomość, iż wam, któremu moję pozycyą zawdzięczam, muszę się stać nieposłusznym, ale nie mając zamiaru zmienić mojego stanu, i stroju zmieniać nie widzę potrzeby.

Tu dopiero nowe osłupienie, a daleko większe od poprzedniego owładnęło całym zgromadzeniem, żaden z przytomnych nie mógł wyjść z podziwu nad słyszanem... jakto, prosty szyper, miany dotąd za chłopą, lekcewazył sobie godność szlachecką, do której się tylu prostaków, bez żadnych praw, przyszywało?

Aż kasztelan, po namyśle, zdawało się, iż rzecz całą głębiej spenetrował, a ozwie się przekonywająco:

— Rozumiem, chłopaku, iż nie życzysz sobie opuszczać kondycyi flisowskiej, do której wdroyłeś się od dzieciństwa, ale jedno drugiemu nie przeszkadza, żegluga przecież nie jest ni łokciem, ni miarką, nie proceder to anti — szlachecki, jako sprzężony z rolą, a podczas możesz się nim zabawiać, na własnych jeziorach i rzekach, których tam znajdziesz podostatkiem w dobrach twoich, ale co strój, osobliwie w okazyach poważniejszych, jako oto owa i dla stawienia się przed rodzicem nie przystoi... zatém, chłopcze...

I znów na zakończenie popychał go, a szyper znów się opierał:

— Wybaczcie mi, jegomość, ale pragnę pozostać i przy moim prostym stanie i przy stroju— rzekł z pokorą, ale stanowczo.

Tu podziw i zgorzenie wszystkich przytomnych, a ze stanu szlacheckiego, bo i słudzy, dworzanie kasztelana, byli szlachtą—doszły do najwyższego punktu.

— A wiesz-że waść, o ile zaszczytną jest godność szlachecka, iż ją tak lekkomyślnie odrzucasz?—gniewnie zawołał kasztelan.

Młodzieniec stał, jak winowajca, ze wzrokiem, utkwionym w ziemię, lecz w tych oczach malowała się pewna determinacya.

Wystąpił z kolei przedniejszy z posłów, a jął prawić do sentymentu:

— Zważ waszmość, azali godziwem jest takie postąpienie syna, które zasmuca ojca na łożu śmiertelnem, zatrzuwa ostatnie chwile jego żywota goryczą?

— Przecie imé pan starosta zatruł nie jedną chwilę, ale całe życie mojej biednej matce—mnie zaś rzucił na pastwę włóczędze i pijakowi, którego wszakże czeilem do śmierci, mieniając go być ojcem; gdyby nie opatrność, a przez nią pocziwi ludzie zesłani, nie wzięli mię w opiekę, nie nauczyli pocziwości, a rzemiosła, możebym przejął wszystkie nałogi ojca przybranego, którego mi sam rodzony wybrał i dziśby mię ten ostatni odrzucił, więc może mnie mieć za straconego, jak tego chciał przed trzydziestoma laty.

— A jeżeli ten ojciec, kający się, chce otrzymać przebaczenie od syna, azaliż, jako chrześcijanin, masz prawo odmówić go?

— Nie moja rzecz wybaczać, bom nigdy, a nawet w tej chwili, kiedym świadom wszystkiego, nie żywił zawziątku i rankoru do imé pana starosty, lecz nawykłem od dzieciństwa, od pierwszego poznania życia, szanować godność ojca, w starym Makarze, czcic rybaków, co się zaopiekowali mojem sieroctwem i w stanie tych poczciwych ludzi dotrwać do końca, nie pożądamy innych honorów i dostatków.

— To wolisz być Stachem Makarczukiem, niżli szlachcicem Pobogiem, to bądź-że nim sobie do stu katów!—zawołał gniewny starosta, passyi już nie hamując.

— Z przeproszeniem jegomości—odpowiada szyper z godnością, lecz bez przechwałki—a któżby szlachcicem być nie wolał, przecie tylu rybaków naszych zdobyło sobie szlachectwo w ostatniej wojnie szwedzkiej, a to nie przez żadne mactwa, ino krwią własną, a po wojnie pochowawszy pergaminy z respektem, znów wrócili do więcierzy. Da Bóg wojnę, może i ja się o to pokuszę, ale teraz...

— A jaż ci tu, mości starościecu, wystosuję argumentum ad hominem, którym prawdopodobnie cię zkonwinkuję — przerwał wesoło i rubasznie kasztelan, a nachylając mu się do ucha, dodał półgłosem:—A Justysia pewno nie zrekuje starościa, tak, jak Stacha, prostego rybaka

Na te słowa krew spłynęła młodzieńcowi na piękne oblicze, oczy mu ogniem zabłysły—czyżby się zawahał w postanowieniu?

Już tryumfował kasztelan, zacierając ręce:

— A cóż waść, mości starościcu, na ono dictum acerbum, czy nie wyjdzie na starą gadkę, iż „gdzie dyabeł nie może, tam babę poszle?”

— Jeżeli mię ona miłuje, to poczeka czasu wojny, a wtedy...—odparł nieśmiało szyper.

Snadź starosta do dna wyczerpał wszelkie argumenta, bo nagle wylatując z komnaty, jak bomba, zatrzasnął drzwiami, aż się szyby zatrzęsły i wrzasnął:

— Pal cię kaci z twoim stoicyzmem, jam nie bonifater, żebym z waryatami dysputował!

Znów, po odejściu kasztelana, tło do obrazu: służba po środku komnaty z pułkami i gąsiorami, szatny, przykowany do progu rozkazem pańskim, a nie wiedzący co czynić, posłowie zaś, z wyczerpaną argumentacją, po kątach.

Krótko się zakończyło to przejście, niepraktykowane w onych czasach: kasztelan dawnego szypra znać nie chciał, a nowemu kazał zboże ładować. Posłowie zaś starosty, z niczém odjechali.

W kilka miesięcy po tém, Stach został zawiadomiony, iż po zmarłym ojcu staroście, spadało nań szlachectwo, ze znacznemi dobrami; wszystkie, stosujące się do tego akta, miał sobie wręczone urzędownie.

Pergamin, jak to powiadał o innych rybakach, schował z respektem, a dalej prowadził rzemiosło, do którego od dzieciństwa był wdrożonym i zawsze się Stachem szyprem mianował i pod tém mianem zawsze sływał.

Co zaś do zapisu majątku, od tego natychmiast manifest w grodzie zaniósł. Krzyczeli wprawdzie ludzie, że waryat, przekładali, iż *beatus qui tenet*, przeto uparty szyper swoje zrobił.

Zarzucisz zapewne, miły czytelniku, iż ta historyjka na one czasy, wylęła się chyba w mojej wyobraźni autorskiej, a trąci dzisiejszą demokracją i realizmem, o których tyle wówczas wiedziano, co o wilku żelaznym i chociaż całe to przydarzenie dotąd się dochowało w żywej tradycyi, przyrosło do murów, które do niedawna mocne stały w dość twardej ruinie—jednak nie śmiałybym tego opowiedzieć bez poparcia, że tak rzeknę, urzędowego, znany mi jest z akt ziemskich krzemienickich reces Stacha rybaka od spadku po ojcu.

A jak to bywa na tym Bożym świecie, co jeden wyrzuci, drugi podejmie, wszak i w śmieciach biedni ludziska grzebią; tak owo, wzgardzony przez stryja majątek wzięli prawem spadku dalsi jego krewni, także prostaczkowie i wszelako umieli użyć tych darów Bożych, powiększyć fortunę przez rozmaite zabiegi i alianse z możnemi familiami, dochrapali się godności w rze-

czypospolitéj, a ich potomkowie z łaski Stacha rybaka, takie butne panki do dziś znani hrabio-  
wie.. (*nomina odiosa!*) herbu *Pobóg*.

Wybacz, sentymentalna czytelniczko, dla'któ-  
rój dzieje serca są pożądanższemi, iżem się za dłu-  
go zastanowił nad oną szlachetczyną; atoli czy-  
niąc ci gwoli, powiem krótko, że stary Wadwicz  
nic nie miał przeciw temu, ażeby siostrę wydać  
za Stanisława Poboga.

Justysi suponuje, były obojętnemi wszystkie  
pergaminy całego świata, byle z miłym Stachem,  
czy to rybakiem, czy uszlachconym, połączyć  
się—tak się téż stało ku jój pociesze.

Kasztelan zawsze się dąsał. Kasztelanowa  
jednak swoją ulubioną, nigdy respektową pannę,  
poblogosławiła cichaczem—i czegoż jój więcéj  
było potrzeba?

---

Małżeństwo!—zdawałoby się z tém ostatniém  
wielkiém słowem pragnień dwojga kochanków  
cała osnowa powieści, (a raczój, jak tu przydłuż-  
szego nieco epizodu) rwie się po samym środku  
i nawiązać się snadno nie da. Aliści pod oném  
ostatniém słodkiém słowem tak często znajdzie  
się zaprawa piolunów i przeróżnych goryczy, iż  
ta czara zaiste najtrudniejszą do wychylenia na  
dnie samém.

Nadużywając jak najmniej cierpliwości czy-  
telnika, już krótko powiemy, co się dalój stało—



a no cóż? młodzi kochali się. Stach został Stachem, a *Poboga* schował z respektem, jak to czynili rybacy. Chociaż stracił szyprostwo u kasztelana, razem z łaską pańską, co „na pstrym koniu jeździ,” ale iż tyle lat szyprując, doszedł do swojego statku, a więc lepiej mu się działo, niż przy „pstrym koniu.” Latem żeglował, zimą ściszał żonę, statki naprawiał i dobrze im było.

Z powaśnionych w pałacu i dworku rybackim, dwaj najbardziej po sobie tęsknili kasztelan i stary Wadwicz, pierwszy ukryty za strzelnicą najwyższej wieży, przez lunetę polową wypatrywał starego sługę, który ze swój strony ukryty za jakimś drzewkiem swojego ogrodu, zadarłszy głowę do góry, na ona strzelnicę poglądał: obydwóm się zdawało, iż jeden drugiego nie widzi, a byli, jako one żórawie, chowający głowy pod skrzydła, dla osiągnięcia nieświadomości.

— Poszłę po tego starego kozła, napiję się z tym basalykiem małmazyi i będzie zgoda, bo mi setnie tęskno po tym nieponiu!

Mruczał sobie pod nos kasztelan, tak z serca; aż tu tymczasem buta, pod postacią niby rozumu, wtrącała:

— Gdyby był co dobrego, to by się sam upokorzył, przecie to lat tyle i sam zawiązek rankoru zniknął, wydał tam sobie tę siostrę, za tego cudackiego szypra szlachcica... A czy to podsędek nie był lepszy, bo possessionatus mosanie i urzędnik ziemski, a to jakiś szoldra

gdański, co szlachectwem spernuje. Niech-że tam sobie siedzą, obchodzę się lat tyle i dalej się obejdę.

— Chyba pójdę, uścisknę kasztelana za kolancko, przecie to Leliwici, dobrodzieje Wadwiczów od kilku wieków, do czegoż nam ta scyssya?

Już nieraz stary bywał na pół drogi, ciągniony sercem, jak łódka wielkim statkiem, gdy wtém trafiał na on nieprzebyty skrupuł rozumu, o który wszelka dobra chęć rozbijała się:

— Ej po co!—mówił rozum—gdyby to był pan łaskawy, sam by po mnie przysłał.. ale u tych Leliwitów większa buta i fantazya, niżli łaskawość. Obszedłem się lat tyle bez łaski pańskiej, to i dalej się obejdę.

I tak rzeczy się przeciągały od roku do roku, że pan siedział z lunetą na wieży, a sługa w krzakach...

O, gdyby to popędem serca nie stawał w poprzek drogi, on upór zwany rozumem, jakżeby dobrze było na świecie.

A może to on, włos długi białogłowski, od którego, jak twierdzą uczeni, rozum się ma odwracać, więcéj za to miejsca na serce zostawia: owoż kasztelanowa z Justysią swoją, niegdy ulubioną respektową, widywały się często, niby to przed srogim małżonkiem pokryjomu—ale gdzie tam, kasztelan, odkąd się rozstał ze sługą, sły-szał, jak we dworku rybackim trawa rosła, ale zazdroszcząc, tolerował i mawiał, wzdychając:

— Owóż podwiki lepsze, a sentymentalniejsze są od chłopów, dowód Justysia, wdzięczniejsza od brata, tego kozła upartego.

Cóż dopiero, gdy spenetrował kasztelan o przyjęściu na świat bliźniąt Justysi, które jego żona sub secreto do chrztu św. podała:

— A co, przepuścili najlepszą okazją pojednania, nie mogli mnie jawnie razem z jejmością w kumy poprosić, przecie takiej chrześcijańskiej usługi nikt nie odmawia?

Z rok jeszcze poczekał stęskniony kasztelan, aż tu druga para bliźniąt na świat przyszła:

— Co teraz, już nie chybi! — projektował kasztelan.

Ale nie z tego, dla pana było za nisko, dla sługi za wysoko i znów pierwszy poglądał ze strzelnicy, a drugi z poza krzaka, ale obaj z ukosa.

Jedna wszakże pozostawała im nadzieja, a każdy do niej wzdychał.

— Gdyby tam choć jaka taka wojenka, to zawsze Wadwicz z Leliwitą pójdzie.

— Ha! w razie wojny, to już Leliwita bez Wadwicza się nie obędzie.

Jedyna ta pozostała pociecha w strzelnicy i krzaku.

Błogosławieństwem szczęśliwego pożycia dwojga małżonków były one dwie pary bliźniąt, a do tego chłopców. Na widok ich, lubo dorodne były chłopięta — wzdychały, a kręciły głowami, kumoszki, iż to zwykle bliźnięta się nie chowają,

a szczególnie tój samej płci, a jeżeli które i dorosnie, to już nieodmiennie bez swojej pary. Wszakże pomimo złych omenów i prognostyków, rosła czwórka chłopiąt, jak rydze i jak niegdyś ojciec ich, od wczesnego dzieciństwa miłość całej osady zdobyli.

A chowali się, jak na on czas dzieci dobrej szlachty, pracującej około roli, lub jakiego bądź procederu—ksiądz poduczył katechizmu, pan dyrektor ze szkoły narodowej, czego sam umiał, ot i filozofia. Ojciec najwięcej dał nauki w swoim rzemiośle, bo skoro byli wyrostkami, starsza para bliźniaków, już flisowała z nim do Gdańska, podczas kiedy dwaj młodzi pilnowali dobytku i gospodarstwa, pod okiem matki i wuja.

Pan i sługa oczekiwali długo tój spójni, mającej zagładzić ich niesnaski—wojenki; a zaprawdę długo, kiedy oni mieli czas się postarzyć, a chłopięta podrosnąć.

Nakoniec nadeszła pożądana wojna, co zaś przyniosła dla mieszkańców zamku, opowiedzieliśmy na początku. Ze tu nam chodzi już tylko o mieszkańców dworku, więc powiemy, że skoro jednocześnie prawie wieść o tém gruchnęła na wyżynach zamku i na płaszczyźnie Horynia—pan i sługa, obaj w jednym momencie, zrzucili pychę ze serc swoich i wspólnie jeden do drugiego pospieszał.

Zeszli się na dolnym wale na pół drogi. A gdy po latach spojrzeli sobie nawzajem w przyjazne

oczy, w których gniew już dawno zagaś, zawołali jednogłośnie, ów wyraz magiczny:

— Konfederacya!

Pan chciał paść słudze w ramiona, ten, uprzedzając, do kolan mu się pochylił; pan go podnosił i na sercu bijącym składał, a łkając rzewnie, przez rzęsne łzy, wołali:

— Przeciel

Na explikacye i rekryminacye zobopólne, momentu nie znaleźli, bo jak za zwyczaj czasu góraczego potrzeby, siła adherentów w szeregi kasztelana cisnęła się. Szły przygotowania szybkim krokiem, broń czyszczono, ładowano obozy, ludzi w mustrze ćwiczone, słowem, czyniono wszystko, co do wyprawy rychłej należało.

Zamek nie spał, ale nie spał i dworek rybacki. Stach szyper, także już z panem pojednany, ładował broń wszelką, a na wypadek galary, większe i mniejsze łodzie, aby na każdy wypadek usłużyć, czém można, ogólnej sprawie.

Jemu także pilno było do wojny, bo na niej chciał zdobyć szlachectwo, któreby sam sobie, a nie ślepemu trafowi, zawdzięczał; gdyż o oném, co mu po ojcu staroście zostało, mawiał do żony:

— Jeżeli nie odrzucił tego pergaminu, który mi fantazyja pańska odebrała bez słusznych powodów i bez nich nagle zwróciła — czyniłem tak dla wspólnego z tobą szczęścia; ale jeżeli mam ambicyą dać ci szlachectwo, lub dzieci nasze uszlach-

cię, to jedynie pergaminem, zdobytym na wojnie, krwią własną i trudami opłaconym.

Co się tam w sercu Justysi działo, czyli i ona pragnęła wojny, rozsypującej to jej miłe i spójne gniazdeczko? Trudno na to pytanie odpowiedzieć, aliści znając swoją powinność, czynnie się krzątała około przygotowań, a w duszy mężnej zagłębiła na dno łzy i smutek.

Chłopaki rwali się na to pierwsze pole, jak zwykle młodzi onego czasu, u których potrzeba ogółu nad wszystkie ważyła rachuby i konsyderacye.

Co żyło, nie tylko młodych, ale i starych w rybackiej osadzie, zdolnych do udźwignienia broni, wszystko to, zarzuciwszy siecie i więcierze, wzięło się do oczyszczania starych flint, polerowania zardzewiałych szerpentyn. Nie poznałbyś cichęj osady rybackiej, myślałbyś raczej, iż to obóz wojskowy.

A chociaż pomiędzy rybakami znajdowała się siła starszych, co to już kiedyś i wojny zaznali, wszakże jednogłośnie Stacha swoim wodzem obrawszy, ani dali mu się wymówić od przyjęcia nad nimi komendy—tak to on u nich od pieluch prawie mir zdobył i do końca zachować go umiał.

— Widzisz tedy, moja jedyna—mówił do żony — iż co żyje jeszcze, jakim takim życiem, wszystko wyrusza, krom białychgłów i dzieci, sami niedołężni starcy pozostaną w osadzie. Czy nie zostawić ci drugiej pary dzieci, Staszka i Ju-

stysia; oni, choć silni i roztropni chłopcy, ale młodzi, zaledwie lat 17, jeszcze się nie jednej wojny doczekają, a nie chciałbym cię zostawić bez pomocy i opieki...

— Nie bluźń, mężu, przecież to Bóg najlepszy i najpotężniejszy Wojski (\*), osłoni nas od wszego złego. Chłopaków zaś pozbawiać takiej okazji, to oni, choć dobre dzieci i posłuszne, do śmierciby nam tego nie przepuścili. Idźcie z Bogiem, a reszta co się stanie, to już niech będzie Jego święta w tém wola.

I wyruszyli!

Justysia, na czele niewiast osady, żegnała odchodzących obrazem Matki Bożkiej Poczajowskiej, która zawsze była Orędowniczką Wołynia, dopóki w cudownym wizerunku na ziemi téj przebywała.

Pożegnaniel... toż obfity materyał dla powieściarza, tyle tam akcesoryów doskonałych do wyzyskania, spazmy, mdłości—„achi!” „ochy!” Aliści tamtoczesne niewiasty więćej posiadały męztwa, niżli nerwów i skłonności do spazmowania, a nadewszystko górowało w nich święte i wielkie poczucie obowiązku.

---

(\*) Wojski—jak wiadomo—był to urzędnik ziemski, czuwający nad bezpieczeństwem publicznem, a opiekujący się niewiastami, dziećmi i wszystkimi w ogóle pozostałymi w domu, podczas, kiedy ogół szlachty wyruszał na wojnę.

Jako poszli—rzecz nie moja powiadać, jako nie piszącego dziejów, a my zostaniem z pozostałymi.

Jako mąż jęj przerastał duchem całą osadę, tak i Justysia, przewodnicząc pozostałym, dawała im przykład pracy, wytrwania i zgodzenia się z wolą Bozką i potrzebą ogółu.

Trwała nieboga rok i drugi, pracowała, a modliła się i wymodliła nakoniec powrót swoich. Wrócili!

Odarci, postarzali, Stach o kiju, kaleka na nogę, jeden syn bez palców, inni poranieni.

A niewiasta? Powitała sercem, opatrzyła litością, przygarnęła opieką, wymodliła spokój u Boga i pod jęj opiekuńczemi skrzydłami spoczęli, wzmoogli się na siłach, odżyli dawném życiem, jakby nic nie było utraconém.

Krom ran i kalectwa, nic nie wynieśli z wojaczki, Stach nawet upragnionego szlachectwa nie zdobył — bo i któż w rzeczy miał mu je dać, kiedy stawał w konfederacyi.

Już zapomnieli o wszystkiém na łonie opiekuńki, matki i żony, i znów ciche, acz smutniejsze życie popłynęło—jak zwykle po utraconych nadziejach. Lecz pomimo tego, jeszcze nie odzyskali spokoju i bezpieczeństwa: ojciec bowiem z synami, stał w załodze obleganėj twierdzy, po zdobyciu której uniknąwszy niewoli, wymknąć się im udało z resztą niedobitków. Lecz gdzieniegdzie trwała jeszcze walka rozpaczliwa, bez na-



dziei zwycięstwa, — niezawodnie ojciec z synami wzięby w nią udział, ale losy inaczej ich krokami pokierowały. Zwierzchność, widząc sprawę straconą, rozproszyła się po obczyźnie, zapaleńsi trwali do końca.

Zaledwie się czas jakiś rozgościli nasi rozbitkowie i oręż poczynali zamieniać na narzędzie spokojniejszego rzemiosła, gdy gnany zastępem nieprzyjacielskim jeden z onych rozpaczliwych oddziałów, szukał w osadzie schronienia i bezpieczeństwa. A niestety orszak silniejszy goniących, na pięty mu następował. Stach poznał garstkę swoich, na której czele był jeden z odważniejszych wodzów...

Było to na wiosnę, roku 1770, kiedy wylew rzek całego kraju, a szczególnie Wołyńskich, smutną kartą upamiętnił się w kronikach. Horyń w tym miejscu, w połączeniu ze Słuczą był niedostępny...

Ale tu wóz i przewóz... śmierć niechybna od wody, lub miecza; już na dalekiej górze widniał liczny oddział nieprzyjacielski... pół godzinki dla przebycia krętych wąwozów i staną w osadzie, a wtedy...

Nie namyślał się szyper, a głosem pewnym, który szum rozbukanych fal zagłuszał, zawołał do synów:

— Chłopcy, w mgnieniu oka zbić cztery małe czółna do kupy... Ich z wodzem sześciu, nas pięciu, damy radę wodzie, zresztą to stara znajoma, a nie

taka głupia i nikczemna, aby pochłonąć tego, który się cały dobrej sprawie poświęcił.

Nim zastęp nieprzyjacielski miał czas spuścić się w wąwozy, aby się z nich na wierzch wydostać i następnie w osadzie stanąć—już wszyscy jedenastu siedzieli w łodzi, a kiedy oddział co tchu nadbiegł, już ujrzał rozhukane fale, miotające statkiem, jak piórkiem...

Nad brzegiem stała Justysia, żegnająca płynących tym samym obrazkiem Matki Począjowskiej; z tym samym, jak przedtém, spokojem—ino być miała nieco bledsza na obliczu—snadź dla tego, iż jawne niebezpieczeństwo miała przed oczyma.

Pomimo całego zawziętku względem uchodzącej zdobyczy, dowódzca orszaku, z litością prawie i komposyą, zawołał:

— Szaleni!... już niema ich co gonić, śmierć tu niechybna!...

Usłyszawszy te słowa, niewiasta zaczęła gęściej żegnać obrazem łódź, miotaną przez fale.

— Oszczędzę im chyba mąk topielców—pomyślał głośno wódz.

A zwracając się do swoich, głośno zakomenderował:

— Cel, pal!...

Padły setne strzały, lecz łódź, szarpana falami, dalej szalonym pędem pokołysała się po powierzchni spienionej wody, a tylko echo, jakby szyderyczym piekielnym śmiechem, odbiło strzały chybione. Dowódzca wydał nowy rozkaz strzela-

nia, a woda jeszcze się bardziej naigrawającym, echem ozwała. Wódz, rozdrażniony tym odgłosem, urągającym echem i swoją własną niemocą, zapomniał o pierwszém uczuciu litości dla onych zuchwałych, żeglarzy, tak śmiało igrających z rozhukanym żywiołem.

Jak to jest powiedziano, iż „*vana sine viribus ira*” (próżny gniew bezsilnego), tak i ów dowódzca zapragnął na czém-bądź spędzić swą rozplomienioną sierzystość — a dojrzawszy niewiastę nad brzegiem, ciągle żegnającą obrazem, wrzasnął:

— Musisz ty być spółniczką onych zbrodniarzy, uciekających przed prawowitą władzą — gdzie twój dom?

I on piękny dworek Stacha, będący ozdobą całej osady, na rozkaz wodza w mgnieniu oka ze szczerem splondrowało rozjuszone żołdactwo; cała jego chudoba, latami zabiegów i pracy gromadzona, w jeden moment zdobyczą stała się wojenną.

I odeszli tryumfatorowie! pozostawując ruinę tam, gdzie przed chwilą był zasób i wszelaki dostatek...

Po ich odejściu, Justysia, zniemożona, zbita, ledwie żywa, na resztkach swój, niegdy pięknej, siedzibki, padłszy na kolana, ze wzniesionemi ku niebu rękoma, wołała w modlitwie:

— O, Panie Jezu i Matko Najświętsza Pocza-jowska! .. tę naszą ruinę, za której dopust dzięki Wam składam, jako zesłaną karę za grzechy,

przyjmcie, jako ofiarę za życie i całość moich drogich istot, a chroncie ich od wszelakięj złęj przygody!

Mijał dzień jeden, drugi i trzeci; woda, co raz większa, groźnięj huczała, najśmielsi wioślarze, chociaż gorąco miłujący Stacha i jego rodzinę, puścić się nie ważyli na zwiady, raczēj na śmierć niechybną. Z innych brzegów nikt tēż się nie ruszał — i zresztą gdzież onych brzegów szukać, kiedy najbystrzejsze oko ich dojrzcć nie mogło, a rzeka w niezmierny ocean się zamieniła.

Niewiastę biedną, jako żonę i matkę, odstąpiła wszelka otucha. Nie biadała ona nad stratę mienia, owszem, rada mu była niejako, supponując sobie, iż u Opatrzności łaskawęj okupi tą ofiarą życie i całość sercu najdroższych.

Po czasie i wody opadły, i już zuchwalsi rybacy rzucili się na popyt o nieszczęsnych żeglarzach, ale ani śladu, ani słychu! Nakoniec woda już prawie w zwyczajne weszła karby, brzegi się oczyściły, cała osada, wszystkie łodzie, czółna, większe, a mniejsze, puściły się na odszukanie swojego ulubieńca—ale napróżno!

Nieszczęsna matka i żona, skamieniała już na kolanach u brzegu rzeki, zkąd się ona łódź puściła. Złożyła ręce do modlitwy i tak jęj zda się na wieki zastygły. Poczciwi ludziska, sami srodze frasobliwi z tēj straty, siłą ją musieli odrywać dla zażycia jakięj chwili wczasu, lub nędznego pokarmu...

Aż po czasie wody jesienne ulitowały się nad nieszczęsną niewiastą i klęczącej u brzegu rzuciły do kolan pięć martwych ciał, splecionych ramionami, snadź w uścisku konania... Choć ciała uległy już znacznemu zepsuciu i te drogie twarze do niepoznania się zmieniły... Ale od czegoż miłość macierzyńska? Od czegoż serce kochającej niewiasty?

W pierwszym szale rozpaczy, nieboga, rozżalona, razem z drogiemi trupami chciała się stoczyć w nurty rzeki, ale ją wstrzymali... ludzie rozsądni—boć rozsądkiem zwie się w dykcyonarzu moralności, nie dać zginać nieszczęsnemu, a kazać mu wlec dalej żywot obmierzły i uciążliwy, pozabawiony wszelakięj pociechy, a pełen goryczy.

I żyła nieboga.

Zebrała drogie trupy, pogrzebała je w pięknym wirydarzyku dworku szyprowego, a nad niemi wzniosła pięć krzyży, jeden większy, a cztery mniejsze, splotła je między sobą ramionami, jako ojciec i synowie byli w czas śmierci spojeni i dała napisy:

*Stach.*

*Jaś. Szymek. Staszek. Justyś.*

Wirydarzyk urządziła jak najstaranlięj, w krzewy, kwitnące latem, a zimą zielone iglaste, aby się biednemu sercu zieleniła ciągle nadzieja połączenia z drogiemi duszami w lepszym życiu. Tam niewiasta u drogich mogił przepędzała życie, nie bacząc na pory roku i słoty.

Domu, zrujnowanego przez pogoń, poprawić nie dozwoliła, a jakąś ocalałą dolną izdebkę zostawując sobie na rzadkie chwilowe wytechnienie.

Ludzie, szanując boleść tej biednej żałobnicy, już to i przez pamięć dla Stacha i jego poświęcenia, czcili to miejsce żalu, jakby kościół i nikt bez oddania hołdu należnego, nie minął tego cmentarzyka. Miejsce to, którego opis zajął nam tyle czasu, lud pobożny zwął:

*„Pod pięcioma krzyżami.”*

Pomimo całej kompassyi, jaką obudzała w osadzie ta samotnica, nikt nie poważył się żalu jej ciężkiego przerywać czezemi konsolacyami i całe lata pozostawili ją w tym żalonym spokoju. Wszakże z czasem troski zbolałej duszy zawiodły silne ciało, śmierć jej brata, a raczej, jakby ojca, Szymona odnowiły zablizniające się rany smutku i rozpaczy—zaniemogła ciężko obłożnie, a mimo woli groby drogie opuścić musiała.

Złożono ciężką chorą w jednej izdebce, jaka ocalała od zniszczenia, ale próżne były zabiegi litościwych, bo ani pokarmu, ani lekarstwa przyjąć nie chciała, ciągle powtarzając:

— Zostawcie mię w spokoju, puście do moich drogich zmarłych.

Jedna Hanna uzyskała dostęp do nieszczęśliwej niewiasty; zapewne sprawiła to wspólność ich pozycyi, rozłączenia z oblubieńcem, jakiej staruszka doświadczała za młodu— a teraz, kiedy innych oddalała, zawsze rada była kasztelanico-

wój, chętnie ją zatrzymywała przy sobie, lubiła rozmawiać o jej mężu:

— Tak, moje dziecko — mawiała — i ja kiedyś tęskniłam za moim miłym, jak ty dzisiaj, ludzie mi go wydarli, a potem wrócił, ażeby mi go Bóg zabrał. Bo to widzisz życie nie z uśmiechów, ale z łez się składa, a uśmiech ledwie się rozpali, zaraz zagaśnie, więcej trumien pod ziemią, niż kolebek na ziemi.

Nie mogła się podnosić z łóżka, więc Hanna z Pawłem, jej synowcem, służbę przy chorój na przemian odbywali — ich tylko znosiła przy sobie, ale zawsze mawiała:

— Opuśćcie mię, niedołączną, pozostawcie mię na tej drodze, która do „moich” prowadzi, raczej doglądaj moich zmarłych, co się dzieje z ich grobami?

I dzień po dniu chora pilnie dopytywała o każdy krzaczek i kwiatek. Hanna nie tylko pielęgnowała chorój, ale nadto rozciągnęła gorliwe starania nad cmentarzykiem, który z gustem, właściwym młodej kobiecie, a kompassyą czułego serca, podtrzymywała i ozdabiała.

Kiedy staraniem Hanny, staruszka mogła już za pomocą swoich opiekunów, zwlec się z łoża boleści i przez okno na drogie groby spojrzeć — dostrzegłszy, jak staraniem poczeiwej ręki wirydarzyk jej zmarłych zakwitł — zalała się łzami wdzięczności, a tuląc główkę piękną kasztelanicowej do wdzięcznej piersi, zawołała w uniesieniu:

— O, moja dobra, moja jedyna pani, tyś nie darmo Leliwitowa, masz tych ludzi serce i łaskawość!

Widok ozdobionych, a zakwitłych pięknie grobów, bardziej może przyczynił się do uzdrowienia staruszki, niżeli czule starania jej opiekunów; odtąd oboje Hanna i Paweł, ożywiwszy samotność tej żalobnicy, stali się dla niej rodziną; a ona, doznawszy, jeżeli nie pociechy, to przynajmniej ulgi w ciężkim frasunku, oglądnęła się dokoła siebie, szczęśliwa, iż prócz pamięci zmarłych, coś mogła jeszcze pokochać na ziemi, a mówiła do Pawła, swego synowca:

— Synaczku, gdyby nie z prawa natury tobie przynależała ta chudoba, spuścizna po mnie, to zawsze wam bym ją tylko dała, jako moim najmilszym, a najserdeczniejszym opiekunom... Daję to nie tyle tobie, ile Hannie, jako Leliwitowój, bo z ich to łaski przez kilka pokoleń spłynęło na nasz ród, któregoś ty jest ostatnim... Boże, chowaj ich od złego, ale kto tam wie w tych ciężkich czasach, na co komu przyjdzie; padają zamki, a im co wyżej się wznosi, snadniej w proch runie. Niech-że to będzie pamiątką moją dla was wdzięczności, a po mnie o drogich grobach nie zapominajcie.

Paweł tedy pościagał od ludzi, gdzie tam co było, a każdy z pocziwych rybaków bez oporu oddał wszystko, czego z łaski wdowy używał. Nowy zaś gospodarz ład tam jakiś zaprowadził,



nie tylko w całym dobytku, ale i dworek wewnątrz urządził, pozostawiając powierzchowną ruinę, jako pamiątkę, którą Justysia zachować pragnęła. Często tam przybywali oboje pocieszać samotnicę, która w ich czułych sercach znalazła po latach osłodę swoich smutków.

---

### III.

## Dziewica-mężatka.

Przyznaję, iż za daleko odbieźeliśmy od rzeczy, zastanawiając się przydłużej nad losami Justysi, a mimowoli pociągnęliśmy za sobą miłego czytelnika na te manowce błędne, w które nas starych wlecze jakaś nieprzeparta siła, skoro uznojony duch skąpać możemy w ożywczych nurtach miłej, a bodaj niepowrotnej przeszłości. Wybaczcie!... bo nie uwierzycie, co to za rozkosz w oném „*dulcis recordatio praeteritorum!*”

Owóż przypomnijcie: kiedy kasztelanica z Pawłem, wygnana z zamku ojców, a potem z pod skromnej strzechy rodowej, znalazła się tułaczką na obszernych niegdy ojcowiznach i za całe panowanie pozostały im nad głowami firmament niebieski, a pod stopami wydarta ziemia i Paweł nieśmiało przełożył schronienie w domu ciotki, które Hanna z radością skwapliwie przyjęła.

Pod ten czas, a był to wieczór letni, staruszka siedziała u drogich grobów, które z laski Hanny wyglądały, jak ogród najpiękniejszy. Widząc przybywającą Hannę, ucieszyła się staruszka, jak zawsze, lecz dojrawszy zawiniątko w jej ręku, przemówiła:

— Oho już moje złotko kasztelanicowa, jak ta pszczołka do ula znosi dla mnie starego dziecka jakieś przysmaki, lub jakąś nową niespodziankę dla moich drogich grobów. Ej! droga paniusiu, nie psujcie mnie starego dziecka, bo wam się do reszty rozkapryszę i stanę się nieznośną.

To mówiąc, jasną główkę Hanny do ust i piersi tuliła.

— Oj nie zgadłyście, matulu — szczebiotała wesoło młoda kobiecina, oddając z przymileniem pieśczoły—przynoszę ci ja wprawdzie dar, ale trochę za uciążliwy. A zgadnijcie, matulu, co przynoszę?—zakończyła figlarnie.

— Pewno coś dobrego, bo zle z twoich pięknych rączek i złotego serduszka wypłynąć nie może... A Pawełek czego się tam chowa za wrotami ze swoim tobołkiem?—rzekła stara, dostrzegając Pawła, który się z wejściem ociągał.

— I on tam ma dary, ale także takie, które pewnie matulu wyrzucicie za wrota.

Frasobliwa staruszka, że to z młodemi, a miłującemi ją podczas, odmłodzić się i rozweselić umiała, rzekła z uśmiechem:

— Ano, dawajcie, co macie, nie drażńcie sta-  
rego dzieciaka, żeby nie płakał.

— Oto macie, matulu, dar on ogromny! —  
zawołała Hanna, zawisłszy Stachowój na szyji,  
a zwracając się do Pawła, zawsze za wrotami, do-  
dała:—A chodź-że tutaj, bo to nie dość, matulu  
na jednym; macie aż dwa prezenta—a prawda,  
że duże?... a gdzie je podziejecie?...

— Moje złotko, moja-ż ty ptaszynko jedyna,  
toś ty przyszła pozostać ze mną starą na zaw-  
sze... ano chyba nie na długo, bo mi pilno spo-  
cząć w moich grobach, obok nich... ale niech-że  
ci Bóg stokrotnie płaci... — mówiła prędko sta-  
ruszka z uniesieniem, nie posiadając się z radości.

— Tylkoż, matulu, bez komplementów, boć  
to wcale nie z dobrego serca, ale z musu... Nie  
mam dachu nad głową.

— Ty, ty, moje złotko, Leliwitowa bez da-  
chu!—lamentowała staruszka.—O, Boże wielki,  
czegóżem to ja doczekała!... Leliwitowiel... chyba  
żartujesz?...

I dalej staruszka szlochała, lecz kasztelani-  
cowa, nie tracąc fantazyi, pocieszała ją swoim  
humorem:

— A już co o mizernych Dębniakach, to ma-  
tula i wspomnieć nie raczą.

— A gdzież się podziało, ogień, czy woda,  
czy jakie nieszczęście?...

— Zabrali.

— Zabrali!... ha, to już dola nasza.

Staruszka, przeżegnawszy się, wzniosła oczy ku niebu i wyszeptała jakąś modlitewkę, a potem, rozwarłszy ramiona, ze łzami radości Hannę tuliła:

— Bądź że mi dzieckiem, moja złota rybko oby mię Bóg natchnął, ażebym potrafiła choć w setnej części oddać ci tę opiekę, jaką otoczyłaś moje starość i smutek... Otóż mi dopiero dar... chodź-że tu, mój miły darze, na serce moje stare, niech się tobą nacieszę!...

I staruszka tuliła, a piastowała młodą niewiastę, jak dziecię. Uspokoiwszy się z pierwszych porywów radości, zakłopotana powiadała:

— O, Boże!... ale gdzież ja mizerna znajdę przytułek, godny mojej pani, mojej Leliwitowej? Owożem była szaloną, iżem dla pamięci zmarłych dała upaść wszystkiemu w rudere .. czy nie dość było pamięć ich w sercu nosić?... Mojaż ty królowo, moje paniątko, gdzież ja biedna gdzie ciebie umieszczę?...

— Tu, w poczciwém waszém sercu, najdroższa, jedyna matulu, które kochającój was „doni” stanie za najświetniejsze pałace.

Zmówiła pieszczotliwie młoda kobieta, główkę jasnowłosą tuląc do jej piersi. Staruszka, zanosząc się radośnym płaczem, wołała:

— O, doniu!... doniu!... tyś anioł, ale nie niewiasta... tyś godna być Leliwitową!

Po wylewie tych sentymentów, stara znów wróciła do dawnego zakłopotania:

— Pawelku!—wołała—cóż się chowasz, jak niedźwiedź w barłogu, pójdź sam tu, czyliż nie wiesz, jakiego zaszczytu dostąpili Wadwicze, iż Leliwitowie u nich goszczą?... Zakrzętnij-że mi się, leniwcze, żeby choć jako tako wszystko przygotować na ono dostojne przyjęcie...

— Pozwólcieź, mateczko, że wasza donia sama się tu rozgospodaruje, a już ja sobie krzywdy nie zrobię.

I nowym uściskiem zakończyła cały ten skweres młoda kobieta.

Niema się co obszerniej rozwódzić nad cichém i spokojném życiem, jakie płynąć poczęło we dworku: rezygnacya w złej doli młodej kobiety, na którą wszystkie oczy były zwrócone, zgadzanie się jęj z losem, poprzestawanie na małym, wkrótce zaradziło zbytecznemu troskaniu się Stachowęj i Hanna pomiędzy tymi prostymi rybakami stała się ich towarzyszką, przyjaciółką, słowem zlała się z tém życiem skromném i prostaczém, jakby nigdy innęj lepszej doli nie zaznała, a wśród nich się zrodziła.

Zresztą zajrzawszy głębiej w utęsknioną duszyczkę tęg dziewicy, na chwilę ślubnym ozdobionęj wiankiem, i dziwowaćby się nie można, iż podwójne wyrugowanie z siedzib ojczystych nie wywarło na nięj głębszego wrażenia, a nie zasnućilo wielce, bowiem na dnie tej duszy zagóściła tęsknota po ulubionym, po mężu chwilowym, który pęta jeńca dźwigał. Krzepiac się

na silnym duchu, odważna niewiasta, w osamotnieniu tonęła we łzach tęsknoty za drogim niewolnikiem, bolejąc nad niemożnością niesienia mu ulgi i pomocy, a wypatrywała splekane oczy prędko-li opatrzność wróci jój ukochanego.

Chociaż nie mamy zamiaru—co zresztą i domyślny czytelnik łatwo odgadł—w tój naszej gawędzie potrącić o powagę dziejową, którą o ile można dotąd wymijaliśmy, lecz tu wyjątkowo nadmienić musimy, iż mąż Hanny, Stanisław Leliwita, stał się jeńcem pod Maciejowicami, wspólnie z innymi mężnymi wojownikami, biorącymi udział w tój rozpaczliwój ostatniej potrzebie, która zniweczyła bezprzykładny wysiłek narodu... Na unikającego zatém historycznej wzmianki, i tak za wiele powiedziałem—wiadomo zaś z historyi, jako surowém i pilnie strzeżoném było to więzienie, ztąd przebaczoną jest owa beczynność młodej kobiety, nie śmiejącej nawet pokuścić się o niesienie ulgi mężowi.

Jedno co pozostawało „czekać i spodziewać,” to też w mężnej cierpliwości spełniała to młoda niewiasta, razem z całym społeczeństwem, które czekało i spodziewało, jako to jest jedyném poniżonych i nieszczęśliwych bogactwem.

Trzeba było wielkich przewrotów, zmiany panowania i łaskawości nowego monarchy, aby po dwu prawie latach, owa tęsknota oczekiwania wcielić się mogła w urzeczywistnioną nadzieję.

W letni wieczór, kiedy cała gromadka dworku—staraniem Pawła i pomocą gorliwą, a skuteczną, całej poczciwój osady rybackiej, przypro-  
wadzonego do dawnego stanu świetności—sku-  
piła się w swoim najmilszym przytułeczku do-  
koła grobów, jakby dziś powiedziano w „salo-  
nie,” przybył jakiś podróżny, zbiedzony długą  
drogą, wymizerowany widocznie chorobą i nie-  
dostatkiem. Stojem, prawie w łachmany zamie-  
nionym, zdradzał nędzę i ubóstwo.

Nie byli rzadkością podobni niedobitkowie  
w czasach tych krwawych katastrof, jakie przez  
kraj się przesunęły, nikt się tedy nie dziwił,  
przybyszowi, wszyscy powstali z szacunkiem dla  
powitania jednego z tych ofiarnych kozłów, po-  
chłanianych tak obficie przez całopalenie po-  
święceń ogółu.

Podróżny, przy dobrze zapadłym zmroku nie  
mogąc rozróżnić twarzy wszystkich przytomnych  
przemówił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus..  
Azali niema między wami kasztelanicowój, Han-  
ny Leliwitowój?...

Lecz zaledwie przemówił, nie dała mu do-  
kończyć Hanna, a zerwawszy się z miejsca, za-  
wisła na szyi przybyłego, wołając ze łkaniem,  
pełném tysiąca sprzecznych uczuć:

— Nie widzę twój twarzy, głos masz zmie-  
niony, ale serce moje odgadło, iżeś to ty jest,  
mój najdroższy, mój jedyny Stasiu!...



Ramiona małżonków splotły się w silnym uścisku rozrywającym, to powtarzaniem długo, długo wszysey przytomni to śmieli się, to płakali z radości — o! lzy takie rzadkiem były zjawiskiem w tych ciężkich czasach...

Wybaczcie, iż na tém krótkim orzeczeniu urwę rzecz moję, takie bowiem powitanie nie kreśli się inkaustem, chociażby ten z mody społecznej wpadał w barwę jasno-niebieską, ale musi je uwinąć serce młodego czytelnika, a bardziej czytelniczki, równoletniej z naszą dziewicą-mężatką, ze siedmiorakich żywych barw tęczy, a okrasić urokiem młodej wyobraźni, jeżeli jeszcze do tego sama mniej więcej w podobnej się znajdzie alternacie, jak ona nasza „dziewica-mężatka.”

---

#### IV.

**„Lepsze imię dobre, niżli maście drogie.”**

Istotnie, iż tylko serce rozmiłowane mogło w przybyłym odgadnąć dziewiętnastoletniego młodzieńca—jakim widzieliśmy go po raz ostatni, kiedy z równym zapalem wyrwał się z uścisku Hymena, przy świeżo rozpalonej szczęścia pochodni, aby paść w twarde Marsa ramiona.

Małoby powiedzieć, iż przez onych lat parę, wiek się młodzieńca zdwoił, głowa odarta z bujnej ozdoby połyskujących młodych kędziorów, świeciła nagością trupięj czaszki, wyniosła niegdyś postawa nagięła się ku ziemi, na świeżej ongi młodocianej twarzyczce, pałającej rumieńcem powietrze zgubne lochów więziennych sprowadziło jakąś czarną cerę, jakby zgnilizny.

Był niedopoznania przybyły — aliści jedno serce, które go odgadło, pobudziło uderzenia tysiąca innych; wieść gruchnęła najprzód w osadzie o powrocie ostatniego Leliwity, radośne echa przerzuciły ją rychło na zamek i całą okolicę,

której ten ród stary można powiedzieć patronował od wieków.

Na ogromnej przestrzeni zaburzyło się, jak na spienionym oceanie, a mury zamku, niebotyczne lasy, odwieczne skały, wody i ziemia sama, zahuczały jednogłośnie:

— Pan nasz wrócił!... Leliwita jest z nami!

A wtórowały im tysiące piersi ludzkich przy bijących sercach.

Od kiedy stał dworek wdowy, nie widział z rodu takiego zbiegowiska: zbiegły się gromady włościan, osiadłych na obszernych niegdyś posiadłościach Leliwitowych, zwyczajem zaś tamtejszych chłopków, nikt nie przychodził z próżnemi rękoma, każdy witał dawnego pana gościńcem, na jaki kogo stać było—zamożniejszy kurę z kogutem, biedniejszy samą kurkę, lub tylko jaj kilkoro, nakoniec ręcznik, kunsztem chłopek wiejskich w misterne zygzaki wyhaftowany, lub i kołacz prosty—byle nie próżna ręka, bo to zły prognostyk.

Jak wytechnienie nieodzowném jest podróżnemu, aby dotarł do celu przeznaczenia, a nie padł wycieńczony na siłach w połowie drogi; jak choroba, trapiąca człeka, daje chwile ulgi, by wzrosły siły do dalszego jój przenoszenia—tak i los, prześladowający ludzi i społeczeństwa, podczas folguje swój srogości, aby się wzmogli prześladowani i dalszą wytrzymali chłostę. Tak tedy i dla téj warstwy nowój starego zboląłego społeczeń-

*Lepsze dobre imię niżli maście drogie.*

13.

stwa, czas łaski i folgowania zaświtał, czas, wiele rokujący przy swoim zawiązku, ale... przypomniałem, że nie piszę historii.

Dość, że dla narodów całych tak, jak dla jednostek „mutantur tempora” na złe i dobre, bo i podczas dni zasłonych długim szeregiem samo niebo wciąż się nie chmurzy, a chociaż chwilowem słońkiem pocieszy.

Biadali wszyscy nad Leliwitą wydziedziczonym, sarkając na niemoc swoją, iż temu zaradzić niezdolni są. Biadała najwięcej Stachowa z synowcem Pawłem, a zapominając na ten moment swych zmarłych:

O, synaczku, mój panie!—wołała, załamując rozpaczliwie dłonie do przybyłego — na toż to mi przyszło nieszczęsnej z udobrodziejstwowanego przez was Wadwiczów rodu, abym wyplakanemi oczyma patrzyła, jako wy Leliwita z mizernej mojej lepianki oglądać będziecie na wasze nigdy dziedzictwo...

I stara we łzach i szlochaniu padła na łono swojego wychowanka.

Nie frasujcie się, dobra matko!—pocieszał kasztelaniec — bo z wolnością razem, sam monarcha wrócił mi posiadanie dóbr dawnych i oto jest reskrypt monarszy...

Nie dano mu słów tych dokończyć i pergaminu rozwinać, który z torby podróżnej dobywał, kiedy tysięczne wiwaty napęłniły powietrze...

Niesiono Leliwitę na rękach do zamku...

Nowy właściciel, który się rozsiadł na Leliwitowej siedzibie, widząc tłumy, dążące ku zamkowi, a nie świadom powodu tego najścia, gotował się do obrony; most podniesiono zwodzony, wytoczono działa, ludzie zbrojni na basztach stanęli.

Widząc, na co się zanosi, najstarszy wiekiem ex-wojewoda S. objął od razu komendę nad bezbronnym tłumem, który na widoczną śmierć zdążył; a wysunąwszy się przodem, wziął pergamin ów monarszy i obok białej płachty na długiej żerdzi umocował.

Widząc nieomylny znak parlamentowania i chęci spokojnych wysłano z zamku parlamentarzy, ci obejrawszy on reskrypt i pieczęć monarszą, nisko się przed niemi skłonili i razem z wojewodą, pergamin do nowego pana zamku nieśli. Tłum zaś, ujęty przez powagę wojewody w karby posłuszeństwa, przez ten czas spokojnie się u bram zachowywał.

Zanim dowiemy się o końcu wyprawy, wprzód musimy zabrać znajomość z onym czasowym posiadaczem zamku i włości.

Owóż nim do tego przystąpimy, wysadzamy tu ono odwieczne, a słuszne *sum cuique!*... A przy tej sposobności niech wolno nadmienić tak nawiasem, iż gdybyśmy pomiędzy poważnionymi zarządzili się tą zasadą, mniejby się rozlewało goryczy i cierpkości, a prędzejbyśmy się porozu-

mieli, a do onój czary goryczy, którą wspólnie a spokojnie wychylić byłoby najzbawienniej, nie domięszaloby się tyle żółci i fusów — „sapienti sat.”

A teraz poznajmy się z owym czasowym właścicielem zamku, którym był generał B... szlachcic inflancki, człek prawdziwie rycerski, powszechnie szanowany, z téj i owój strony; pełen rozumu, szlachetności, a nawet czułości i galanteryi, właściwój swojemu czasowi, pamięć niezatartą po sobie zostawił i wiele serdecznych stosunków w tym kraju zawiązał. Lubo urodzeniem i pozycją postawiony w obozie zwycięzców, lecz przez wspaniałą i szlachetną naturę, zaufanie i szacunek stron obu pozyskał.

Niech się nikt nie gorszy i nie oburza, bo jako tarczę przeciw wszelkim niewczesnym naganom wystawiłem owo *suum cuique*, które mię do oddania sprawiedliwości zniewala.

Co powiedziawszy, idę dalej:

Owóż zaledwie upłynął niedługi moment konferencyi wojewody z generałem, gdy most spuszczone, a ludziom zbrojnym z baszt zejść kazano. A sam generał w galowym uniformie poprzedzony muzyką i otoczony swoim orszakiem, trzymając ony pergamin, złożony na bogatěj poduszce, przebył most zwodzony, a zbliżywszy się do onego nędznego przybysza, przemówił ze wzruszeniem: (\*)

(\*) Wszystko autentyczne.

— Kasztelanicu! najszcześniejsza to chwila, jakiej kiedykolwiek doznałem w życiu, że wspomniałomyślność mojego monarchy powraca ci dzieciństwo ojców, którego poczytując się tylko depozyterem, rad jestem, że ci je mogę zwrócić.

Po tych słowach i serdeczném uściśnieniu, generał, ująwszy pod ramię kasztelanica, prowadził do zamku.

Skoro zaś stanęli na zamku, zdziwili się, bo takiej świetności zachowania już dawno nie pamiętano, wszystko było, jak za dni jasnych blasku chwały i potęgi.

Kiedy stanęli pod broną zamkową, kasztelaniec padł na kolana, lzy mu się puściły z oczu na widok odwiecznego godła rodowego i jak mały żaczek, uczący się syllabizować, wymawiał literę po literze, a zdawało się, iż każdą kładł do serca i delektował się nią, jakby najprzedniejszym nektarem.

Wszyscy w uroczystém milczeniu, rozrzewnieni do głębi duszy, poglądali na to powitanie z godłem dawnego klejnotu. Zdawał się kasztelaniec wpatrywać w każdy punkcik, ażali którego nie brakło.

Kiedy się już nasycił tym rozkosznym widokiem, generał, prowadząc go do komnat, prawil:

— Jestem i ja szlachcicem, jak pan, lubo innej narodowości, a stając się, jak powiadałem, depozytorem, lub czasowym właścicielem zamku, pozwoliłem sobie przyswoić to piękne godło wa-

szego rodu, które jedno chce za waszém pozwoleniem, ze wszystkich owych dóbr zatrzymać, ażebym kiedy ztąd wyjdę, a z prawdziwą rozkoszą, mógł powiedzieć, nie kłamiąc:

„Lepsze imię dobre, niżli maście drogie.”

Wchodząc tu przy kilku waszych starych sługach, którzy się tych murów trzymali, spisałem dokładny inwentarz wszystkiego, com zastał, a teraz w całości wam oddaję.

Oprowadzeni po zamku dziwili się, a raczej wzbudzali w sobie cześć i uwielbienie dla generala. Nic uronionego nie było, wszystko zachowane święcie, podtrzymane własnym sumptem i staraniem...

Długo to o tém mówić: w młodości mojej znałem starców, pamiętających i biorących udział w tém wydarzeniu, wszyscy z uwielbieniem cześć oddawali szlachetnemu człowiekowi.

Następowała wspaniała uczta, na której ten czasowy gospodarz zaprosił dawnego pana i dostojniejsze przybyłe z nim osoby. Lecz i w tém uniósł się delikatnością wyrefinowaną, bo jako najstarszy rangą, pierwsze miejsce pomiędzy gośćmi zajął, a kasztelanica do przyjęcia roli gospodarza zniewolił.

Skończyłem w krótkości moje „*sum cuique*,” którego sami przyznajcie, pominąćby się nie godziło, przez to zaś szlachetne postąpienie general tak sobie zjednał swojego monarchę, iż mu je znaczną pensją i dystynkeyami wynagrodził.



## V.

### Miodowe miesiące.

Po dniach znoju nastąpiły dni słodkiego wczasu—i jak promień jasnego słońca rychło ruguje z pamięci czas słotny i burz zniszczenie, tak i w ludziach, co dopiero ostatnim heroicznym wysiłkiem resztki dobytku rycerską osłaniali piersią, a życie na hazardowną grę stawili, nowym uśmiechem losu ukołysani, zapomnieli fatalnego „wczora” i na groźne „jutro” nie bacząc, z nieogłębnością rozigranego dziecka, za nowem uganiali się cackiem.

Ludzkim to jest udziałem płochość, w naszym społeczeństwie takowa idzie w niepojętém, a dziwaczném zestawieniu z najszlachetniejszemi popędami ofiarności i szlachetnych uniesień. We krwi naszej jest zapalczywość, ale ducha dotrwania nam braknie i według słów pisma nie możemy powiedzieć, iż „będziemy zbawieni, bo nigdy nie dotrywamy do końca.” Poświęcić mienie, byt do

ostatniej krwi kropli, złożyć życie w ofierze bez namysłu, to grunt naszego charakteru, ale oglądając się na przyszłość zgromadzić, dorobić się, czy to duchem, czy mieniem, to nie nasza zaleta.

Czyliż to raz tak bywało, iż poszli razem wszyscy, jak jeden człowiek, na śmierć widoczną, jakby na całopalenie, i ci, którzy pomimo najszczerzej chęci, nie mogli ze siebie złożyć ofiary, zapominali po chwili o pozostałych na ofiarniku.

Tak i dziś ona garstka wróconych z ciężkich prób, w chwili onej wytechnienia zapomniała o przeszłości, o stratach, o wielkich mękach minionych, a oburącz chwyciwszy tę czarę zwodniczej pomyślności i nadziei, pili z niej chciwie spragnionemi usty.

Czyliż można się dziwić młodemu kasztelanicy, który dzieckiem rzucony w ten wir życia z ławy szkolnej zakuty w zbroję i postawiony jednocześnie na ślubnym kobiercu, nie miał czasu opamiętać się, zdać sprawy z tego, co się z nim działo. Zresztą dojrzeć nie mógł przy ciepłym domowym ognisku, rozpatrzyć się w onym życiu obywatelskim, w jego surowych warunkach i wymaganiach. Że bitnym był i ofiarnym dla sprawy ogółu, to już wyssał z mlekiem matki, razem z pacierzem wsiąknął w pamięć dziecienną.

Nie dziw więc, że kasztelanicy młody niedoświadczony, dotąd wprawny jedynie w wojennym rzemiośle, dał się olśnić nowym otaczającym go zbytkiem; generał B. bowiem, sam przez się bo-

gaty, uważający zamek nie jako swą własność ale raczój depozyt, nie uganiał się za zyskiem, lubiącemu zaś życie wystawne schlebiało to, że przepychem zamku odwiecznego mógł zaimponować okolicy.

Nie tylko więc niczego nie zmarnował i nie zniszczył, jak to się w podobnych razach praktykowało u innych, ale przeciwnie, wszystko podtrzymał, oczyścił, odnowił własnym sumptem, a zamek na takiej stopie postawił, jak go jeszcze nigdy młody dziedzic nie oglądał.

Nie trzeba powiadać, że Stanisławowi było pilno i do miodowych miesięcy, które spędził w obozie i murach więziennych; młoda żona stęskniona, z miłośnym zapalem, padła w objęcia małżonka: nie dziw więc, iż on, zapomniawszy o trudach i znojach bojowych, o niewczasach więzienia, odetchnął pełną piersią i wciągał w nią łakomie miłość i zbytek, jakie go od razu otoczyły.

W okolicę zamku wrócili tam i inni, których pożoga wojny nie wymordowała, cierpienia niewoli nie przygniotły na zawsze—i oni, zabaczywszy dawnego, upajali się nowym zbytkiem i rozkoszą. Spojrzawszy na ten kraj, nie dawno krwią zbryzgany, ogniem i mieczem wyniszczony, ani byś poznał w tych nowych ucztownikach dawnych mężów z granitu, pochopnych do wszelkiej ofiarności i poświęcenia. W téj to różnorodnej anomalii zawarła się cecha naszego społec-

czeństwa, które lekkomyślność naganną umiało połączyć ze szlachetnością i zapalem poświęcenia.

Za dalekoby nas zaprowadziły szczegóły hulaszczego życia na zamku i w całej okolicy; życiem tém upojeni ludzie zapominali o wielkich obowiązkach, o powołaniu obywateli kraju, o rycerskości antenatów i po prostu dziecinnieli, upajając się tą nową exystencyą.

Cóż dopiero, gdy się nowy, a zdawna pożądaný zjawił gość na zamku—kasztelanicaowa powila córeczkę:

— Lepiej-by to syna, bo kto wie, jakie tam czasy nastaną i za oręż przyjdzie jeszcze pochwyć—szemrali starzy.

Ale wzięto, co Bóg dał i zamek rozległ się radością, jakiej dawno nie pamiętano.

Jak nasz kościół dzieli się na cierpiący, wojujący i tryumfujący—tak i społeczeństwo tym-że działom ulegało, z różnicą jedynie, jak na nasze opowiadane czasy, że pierwszych i drugich było zawsze podostatkiem, o tryumfach tylko już przeszło od wieku zapomnieli. Za toż miasto „tryumfujących” byli poświęceni; a podczas, kiedy ci życie nieogłędne pędzili, byli inni, co wiedzeni, a słuszniej rzec uwodzeni płonnymi nadziejami i przyrzeczeniami bohatera, pod obce nieba nieśli ofiarę z życia, krew przelewali, jakby jój mieli za dużo. Gdzie wschód, południe, hen! i po za morzami, we Włoszech, Egipcie na Haiti, wszę-

dzie ginęli—możnaby powiedzieć wierni dobrej sprawie, gdyby smutna rzeczywistość nie okazała, iż były to tylko szlachetne rycerskie marzenia—ale zawsze tylko marzenia.

Z grona rozbawionój okolicy i zamku wymykali się jedni i drudzy na pole chwały, często tam kogoś zabrakło, poległ, lub dźwigał pęta niewoli, ale nie wrócił. Lecz wzrok całego kraju utkwiony był w zamek Leliwitów, bo ztamtąd wychodziło przewodztwo, tam zawsze najpierw rozwijano chorągwie.

Lecz dzisiejszy dziedzic zamku, a potomek dawnych rycerzy, pijąc rozkosz życia młodemi spragnionemi usty, przy pięknej miłującej żonie, zapominał, co był winien sprawie ogółu. A gdy odchodzący na pole powinności, upominając go, chcieli rozbudzić z tego odrętwienia, odpowiadał, obojętnie:

— Jam dług swój z lichwą spłacił, w wieku, kiedy jeszcze młodzi niemal łątkami igrają, postarzałem się przed czasem w niewoli, niech wypocznę, kiedy inni czynią, a potem skoro będzie rzeczywista potrzeba, stawimy się.

## VI.

### P i o r u n .

I szło to życie rozkoszne, hulaszce na zamku już lat kilka. Córuchna prześliczna zamek ożywiła, a już biegła i szczebiotała—rozkoszna to była dziecina; ciesząc się nią, rodzice martwili z drugiej strony, że nie przychodził potomek mężki, a takim był pożądanym, bo kasztelanie ostatnim był w rodzie. Pobożna Hanna na tę intencją zwiedzała miejsca święte, czyniła rozmaite vota— a jako niewiasta, z natury do nadzwyczajności i mistycyzmu pobopna, radziła się wróżek i znachorek. Inni znów na pocieszenie małżonków, przytaczali ostatnie słowa umierającego kasztelana, że Stanisław nie będzie ostatnim w rodzie, które jako proroctwo poczytywali.

W takim stanie rzeczy, łatwo sobie przedstawić, co to za radość była na zamku, kiedy łaskawe nieba znów zesłały Hannie nową nadzieję macierzyństwa, a do tego skoro rozmaite ku-

moszki guślarki, zapewniły o męzkim potomku—zamek zawrzał ucztą, jakiej dawno nie pamiętają.

Krewni, koligaci, przyjaciele, a w ogóle szlachta bliższej i dalszej okolicy, zjeżdżała się gromadnie witać ten omen (według nich niezawodny) podtrzymania dawnego, a męznego rodu—spieszyli, jak do miejsca cudownego.

Nie będziemy opisywali solenności i przepychu, z jakimi ona inauguracya odbywała się na zamku — na zamku, który z łaski szlachetności generała B., zakwitał i obfitował w dawne dostatki.

Kiedy ucztują w najlepsze, zaszedł taki wypadek, którego opowiadacz historyi murów pominąć nie może: w piękny pogodny wieczór, kiedy po sutym traktamencie szlachta z gospodarzem zabawiali się na dziedzińcach zamkowych, dosiadaniami koni, strzelaniem do celu, gonitwą na kopje i t. p., jak do czyjjej fantazyi—nagle z najczystsze go nieba, nie przyćmionego najmniejszą chmurką, padł piorun w główną bronę zamku, skruszył front kapitalny z napisem, a tak symetrycznie, jakby biegły rzemieślnik wyciął kawał z największą uwagą; odleciały wyrazy z napisem:

. . . . . imię dobre, niżli . . . . .

A pozostało godło w ten sposób:

„Lepsze . . . . . maście drogie.”

Już powiadało się wyżej, jako dawniejsi wenerowali ze czcią bałwochwaleczą niemal, klejnoty i godła rodowe, ztąd snadno przyjsć do wniosku, jaką trwozę ów piorun wywołał. Dodać zaś do tego pobożność wierzących, to łatwo wniesć, że w takim piorunie, spadłym z pogodnego nieba, bez burz i nawałnicy, który jakby widocznie z woli opatrności, niszczył najważniejsze godła znaczenie, a sens jego przemieniał—dopatrywali w tém przestrogi niebios i palca Bożego, a to tém bardziej, iż znane i pamiętne im były słowa przedśmiertne o tém godle starego kasztelana.

Przerażenie było ogólne, białogłowy lament podjęły, szeptano o fatalnych omenach dla spodziewania kasztelaniców; słowem wiara z przesądem złączona, budowała na tym fundamencie najrozmaitsze, może nieco i dziwaczne omiena i prognostyki. W całym zaś gronie nie znalazło się ani jednego niedowiarka, któryby filozoficznie na tę katastrofę spoglądał. Wszyscy się zadumali nad sposobem wyjaśnienia tego mistycznego zjawiska. Zwołano co starszych sług i domowników, aż nakoniec jakiś zgrzybiały sługa domu, będący już na łaskawym chlebie, tak rzecz kla-rował:

— Jam już prawie jest stuletni, a za czasów mojego dzieciństwa słyszałem, jako ludzie powiadali, że kiedy pradziadek terażniejszego naszego jegomościa ociągał się iść na Turka z królem Janem, taki sam piorun, jako teraz, strza-



skął broneę i tę samą część jęj wyrzucił, a na dowód tego, jeżeli się przyjrzye, ichmość państwo dokumentnie, to tu jest w onęj strzaskanęj części kamień odmienny, jaśniejszy, co za mojęj pamięci jeszcze widoczniejszém było.

Po tych słowach starca rzucili się wszyscy przytomni do zbadania gatunku kamienia i okazało się, że chociaż powierzchownie poczerniał na pozór do barwy, jaką całość miała, jednak wewnątrz był odmiennym; ta okoliczność utwierdziła ich w tęg konwiky, iż stary nie bredził, a więc go chciwie dalej pytali:

— Cóż więc wiecie dalej o tęg, staruszku?

— A proszę ichmościów, tak to było, jak powiadali ludzie, że państwo zafrasowało się wielce tym znakiem, jako to teraz ichmościowie, a że w Ostrogskim konwencie O. O. Kapucynów mieszkał wówczas bogobojny i świętobliwy zakonnik staruszek O. Samuel, który, jak lud pobożny utrzymywał, i cuda tworzył, więc do niego się udali za poradę— „coby czynić mieli?...”

I jakąż dał radę?—zapytała na raz ciekawie setka głosów.

Powiedział ówczesnemu jegomości ten mąż Boży: „Masz młodą żonę, oczekujesz potomka, który i w twojęj nieobecności przyjsć na świat może; a ty tymczasem w rozkoszach i zabawie zapominasz o powinności obywatela kraju i kiedy wszysey z królem dążą pod Wiedeń na złamanie bisurmańskięj potęgi i wyswobodzenie chrześci-

jaństwa od muzułmańskiego jarzma, ty zostajesz w domu, jako baba, lub kaleka. Owóż Bóg tym znakiem piorunu ostrzega cię i upomina, że jako starł *imię* twoje z kamienia, tak je zetrze z ziemi w twoich potomkach, jeżeli zobojętniejecie dla dobra ogółu i powinności obywatelskiej.

— Cóż wtedy pan zamku uczynił?—zawołano zewsząd.

— Sprowadził co bieglejszych majstrów, którzy front bramy zreparowali, a sam z gośćmi licznymi, na zamku ciągle bawiącymi, sformował cały pułk wojska i wyruszyli z królem, a za powrotem jegomość zastał synaczka zdrowego, który przychodził się dziadem naszemu kasztelanicowi. Mój ojciec, lubo naówczas był człek podżyły w lata, ale przeto jeszcze rzeźwy, poszedł z panem pod Wiedeń i nawet był raniony.

Ledwie dosłuchali starca, kiedy już ztąd i z owąd z gościnnego gronka, ozwały się głosy:

— A czemuż i my nie mielibyśmy tak uczynić, przecie to Bonapart z Niemcem wojuje i co żyje naszych, bije się w jego szeregach... Vivat, kasztelanic! niech on nas prowadzi tak, jak jego pradziad naszych pradziadów.

A tymczasem któryś tam z grona spytał:

— A cóż tam jeszcze wiesz o tém, staruszk?

— Ano tak to ludzie powiadają, jam na to patrzeć nie mógł, nie będąc na świecie, na który w kilka lat po tém przyszedłem. Atoli i to jeszcze mawiali, że dwóch Leliwitów nigdy na zamku

nie siedziało, a tylko jeden, kiedy inni wojowali, tak już to Bóg miał nakazać ich rodowi, dla tego to może i nieboszczyk kasztelan świadom tego, naszego jegomościa jeszcze wyrostkiem na wojnę wyprawił (\*).

---

Po wysłuchaniu tego, kasztelanie rozesał czeladź na wszystkie strony, aby mu odszukano biegłych rzemieślników do naprawienia brony, która w kilka dni odnowiona do niepoznania, znów zajaśniała dawnym napisem w całości:

*„Lepsze imię dobre, niżli maście drogie.”*

I z tej strony wszelkie trwogi były zaspokojone.

Na zamku działa się dziwna metamorfoza—zawiał na rozhulanych wiatr heroicznego poświęcenia, ucichły gwary, hałasy i uctowanie, znikły wiwatowe puhary i towarzystwo lekkomyślne sowizdrzałów, jakby mocą czarodziejskiej różdżki zamieniło się w rycerzy i bohaterów. Miasto brzęku szkła, dawały się słyszeć szczęki broni, wojownicze okrzyki:

— Leliwita nas prowadzi!

---

(\*) Autentyczne, a wzięte z żywego rodzinnego podania—a zresztą na tém miejscu uprzedzam czytelnika, iż wszystkie tu przytoczone fakta, brałem co najmniej z podań, jeżeli nie dokumentów familijnych—wyobraźnia autorska najmniej tu miała do roboty.

*Lepsze dobre imię, niżli maście drogie.*

Nastąpił czas ofiarności i poświęcenia. Każdy sam się zbroił, ludzi sztyftował, nie szcędząc na to nie tylko trudów, ale i własnego mienia, jak kogo stać było...

Urwać tu z konieczności, muszę opowiedzieć, gdyż wiecie, iż nie piszę historyi ludzi, ale tylko murów—inaczej za daleko zająłbym musiał, bo był to właśnie czas, kiedy Napoleon I wojował z Niemcami—czas bohaterских czynów—czas wielkich nadziei... spełzonych na czezych obietnicach!... Ale nie piszę historyi ludzi.

Wracajmy tedy do naszych murów, ogołoczonych ze wszelkich rąk silnych, gdzie tylko pozostali sami starcy niedołężni, dzieci i białogłowy—do murów, ogołoczonych ze wszelakich bogactw i dawniej świetności... do murów, gdzie okrzyki Bachusa zmieniły się na szczepek broni marsowy.

I wyruszył z Leliwitowa—(jak to jeszcze starzy do dziś pamiętają)—pod wodzą kasztelanica pułk przeszło tysięczny, na którego sztyftowanie poszło całe mienie, tak samego wodza, jak i okolicznej szlachty—a że pułk ten razem z mężnym i dzielnym dowódcą, cudów waleczności dokazywał, wie historia, której, że nie piszę, wracam do moich murów.

Hanna, acz blizka rozwiązania, ale z duszą mężną nieodrodnej Dębniakówny, na ile siły starczyły, rękę niewieścią do przygotowań wojennych przyłożyła.

I ruszył mężny zastęp, przeprowadzany błogosławieństwem i modlitwami młodej kasztelanicy, ale nie łzami, bo tych nie roniła, wiedząc, jak oni, iż „lepsze jest imię dobre!”

Mimowoli nasunęły mi się pod pióro kilka z tych przysłówów, które pamiętam, o szlachcicu:

„Z jednego drzewa krzyż i łopata.”

„I do stroju i do łoju.”

„I do tańca i do rózańca.”

„Do włóścienicy i do szablicy.”

Zapewne więcjby się takich znalazło, ale mi nie są wiadome, lub zapomniałem. Ale czyliż po wsze wieki patrząc na naszą szlachtę, jak się przerzucała ze sponu na wierzch, jak z mętów i fusów nie raz klarował się z nięj napój posilny i zdrowy, jak nie raz, zwalana błotem, oczyszczała się we krwi i poświęceniu, jak z nagannęj obojętności wynosiła się na szczyt patryotyzmu i chlubnych uczuć—trudno zaiste nie uznać mądrości narodu w tych przysłowiach: „z jednego drzewa krzyż i łopata” etc.

Żałować tu tylko przychodzi, iż potępiający naszą przeszłość, zaznaczają tylko naganne strony tęj szlacheckięj metamorfozy, zapominając o szczytnych i chwalebnych — ale jest jeszcze inne przysłowie — „wolno psu na Pana Boga szczekać.”

## VII.

### P o w r ó t.

Gdyby nas powinność kronikarska nie przykuła do murów, a wolno nam było za bitnym orszakiem podążyć, nie rychło rzecz byśmy naszą skończyli; z czynów bowiem, iście bohaterskich owego czasu, kiedy jeszcze osobistą odwagę nie wyrugowało, jak dziś, wydoskonalenie wojowniczych przyrządów—sam Homer mógłby czerpać natchnienie do swojej epopei.

Ale skorom się stał przysłowiowym „grzybem,” muszę leżeć do kosza i starąją moją bramę pilnować—owóż, co się dokola niej działo:

W kilka dni po odejściu onęj wyprawy, przyszedł na świat gość pożądaný, w osobie nowego potomka Leliwitów, a z woli, którą ojciec, odchodząc na wojnę, pozostawił, na chrzcie św. otrzymał imię—imię, którym świat cały dyszał naówczas, któremu jedna połowa ludzkości cześć niemal bożką oddawała, a druga drżała na jego odgłos—imię „Napoleona.”

Cieszyli się niezmiernie pozostali na zamku, radość była ogólna, starzy zaś prognostykarze i kombinatorowie, podwójnie tryumfowali, szepcząc sobie z cicha:

— A jużci coś tam wiedział stary nieboszczyk jegomość, kiedy powiadał, iż czasu wojny dwóch Leliwitów na zamku siedzieć nie może— musiało to być prawdą, bo i teraz jeno jeden poszedł wojować, zaraz go drugi zastąpił, a tak Bogu tylko wiadomo, coby się stało i każdego z nich była szkoda, bo to ród przygasa, czekać nie można.

Prawem metamorfoz naszych szlacheckich, po odejściu wojennego zastępu, zamek opustoszał. Nie tylko bowiem sami panowie, lecz i liczna służba za broń chwyciła, który tylko miał zdrowe ręce.

Pozostali w zamku, jedni zgrzybiali starcy i białogłowy, na ich czele stara wdowa szyprowa dzieląc czas swój pomiędzy grobami, a afektem dla żyjących, spłacała Hannie z nawiązką dawną jej nad sobą opiekę.

Zamek, ogołocony z bogactw i sprzętów, nie potrzebował już wprawdzie dawniej obsługi i dozoru, parę tedy izdebek, co najskromniejszych, dawniej czeladnych zamieszkała, ta powtórnie słomiana wdowa, a nie sromając się pracy ciężkiej, na wspólny ze starymi sługami krzątała się około wspólnego wyżywienia.

A dobrze jęj było! Wszak i ona była szlachcianką i ją Bóg łaskaw stworzył „do stroju i do łoju.” A jeżeli o co wznosiła modły, to o powodzenie oręża, któremu drogi jęj Stanisław służył i o powrót męża z chwałą. Wypatrzyła oczy, słuch nateżala na każdą wieść o bohaterskich czynach tych ludzi i mówiła sobie z dumą:

— I mój Stanisław z nimi!

Na mierność, niemal ubóstwo, jakie ją otaczało, była obojętną, a pocieszała się stałem godłem swojego rodu, „lepsze imię dobre.” Szło jakoś życie, a nawet toczyło się niezgorzėj tėj gromadce zbiedniałej pysznego niegdys zamku. A jeżeli czego doglądali, jak oka w głowie, jakby świętości, to onėj brony z godłem herbowném, i jeżeli wypadkiem jaki tam ubył kamyczek, lub szczerba w murze powstała, natychmiast setka rąk słabych niewieścich i drżących zgrzybiałych mężkich, stawała do roboty.

Żyła sobie tak kasztelaniceowa skromniuchno, jakby nigdy nie panowała na onym wspaniałym zamku i jeżeli o co w cichości zanosila modły do nieba, to w tych krótkich wyrazach:

— Boże, powrój już ich! czyliż się nie dość nawojowali.

Wszakże tęsknota ma swoje prawa i przegryzie młode serce, jak rdza najtwardsze żelazo. Mocowała się, biedna pani zamku, jak ją tylko stać było, ale piątego roku, po odejściu męża, już jęj sił zbrakło, ciężka niemoc powaliła ją



o łożę boleści i jeszcze się krzepiła, jeszcze wydawała rozkazy, jeszcze rąk do odpoczynku nie złożyła, pokąd w nich sił ostatek pozostawał. Czyliż tu opowiadać trzeba, jaki smutek ciężki zawładnął całą gromadką.

Nie wszakże wola i męztwo nie pomogły, gasła nieboga w oczach. A właśnie, kiedy zbliżał się dzień powrotu Stanisława, jakieśmy to na początku opowiadania widzieli, nagle chora, już prawie bez nadziei, dobywając sił ostatka, powiadała, jakby proroczym duchem natchniona:

— Stanisław już w drodze z Pawłem, są blisko, ach! jacy wynędzniali i zmizerowani!... Zanieście mię do rodowej sali, tam pragnę uroczyscie pana mojego powitać.

Stało się zadość rozkazom pani zamku.

Chociaż sala, jakieśmy ją w paru już odmiannach losów rodziny, oglądali—zmieniła swoją postać, pozbywszy reszty bogactw i przepychów, jednak zawsze poczytywaną była, jako sanctuarium rodu. Zawsze tam świecili minioną potęgą dzielni przodkowie, lubo już z ram i ozdób odarci.

Jakby odżyła chora, skoro ją wniesiono do tego przybytku, oblicze jój wybladłe rozpromieniło się, a spojrzawszy na ołtarz sali, tego świadka odwiecznego wszystkich zmian ważniejszych tyłu pokoleń rodu, rzekła wesółą i uśmiechniętą:

— Ach! przy tym ołtarzu stanęłam do ślubu ze Stanisławem... Tak mi tu dobrze, już ztąd nie wyjdę... ja tu zdrowie odzyskam... Położcie

mię na tém łożu „ostatniém,” gdzie leżał nieboszyk nasz ojciec, ono mi siły przywróci.

Acz z ociąganiem i niechętnie, przytomni jednak wykonali wolę choréj, myśląc, iż może w istocie ta fantazyja zdrowie jéj przywróci. Lecz nagle, jakby ją zmysły opuszczały, poczęła majaczyć:

— Stanisław zbliża się już o parę dni drogi od domu... o, Boże, te małe dwa dni życia... bądź mi miłościw!... Ale Bóg dobry, ja go pierwsza przed wami obaczę!...

I ostatnia Leliwitowa oddała Bogu ducha, na rodzinném „łożu ostatniém” — snąc taka to rodowa była predestynacya.

## VIII.

### Leliwitówna.

Jakby las, rosła sobie u nas ta dawna szlachta, a jeżeli kiedy stary pień nadpruchniał i ginął, to jeszcze z ostatka jego soków dobywały się świeże latorośle i znów zakwitwały, rozwijały się, aż wybuchały do pełnej siły. Nie darmo to mawiał stary facetus Hulewicz — „świat przemienie, a po nim choć jeden jeszcze szlachcic zostanie.”

Kiedy kasztelanicowę złożyła choroba na łożu boleści, które się już dla niej w ostatnie zamieniło— córka jej, Julcia, piętnasto-letnia dziewczeczka, nagle dojrzała do sił i ducha matki; wątłą, ale przeto energiczną i pracowitą ręką ujęła wodze rządów zamku, a kiedy los ją uczynił sierotą, bolejącą u łoża matki, chwyciła pięcio-letniego braciszka w słabe ramiona, a podnosząc ku niebu, zawołała ze łzami, jakby w modlitwie:

— O, Boże, dopomóż szczerym mym chęciom, abym bratu memu zastąpiła najdroższą matkę

i aby on nie uczuł sieroctwa, które mi serce krwawi.

---

A teraz, miły czytelniku, następuje stanowcza chwila „powiązania końców,” a w tym celu ucieć się muszę do twój pamięci, prosząc, abyś sobie przypomniał z pierwszych rozdziałów pogrzeb kasztelanicy, a następnie tajemne złożenie obok niej w katakumbach, zwłok nieszczęsnego jej małżonka, jakby dla zadośćuczynienia proroczym słowom umierającej, iż „ona go przed innymi obaczy.”

Po dopełnieniu tego smutnego obrzędu, stał długo poczciwy wachmistrz, przy grobie wspólnym małżonków, targając niemiłosiernie sumiastego węża, po którym łzy mimowoli spływały. Jakby tam długo stał, nie wiadomo, gdyby xiądz staruszek nie wyrwał go z téj smutnej zadumy uderzając po ramieniu. Ocknął się wojak, jak ze snu, a xiądz pytał:

— Cóż teraz, Pawle, zamyślasz?

— Hej! ojcie dobrodzieju, albo ja wiem?... ot, gdyby się jaki „profos nadarzył, coby mię zagryzł,” w rękębym go pocałował.. Do czego ja się komu przydam, kaleki niedołęga? — ot, pójdę w świat, gdzie się biją, zdam się jeszcze na kaszowara, albo sługę przy ambulansie, a może tam jaka miłosierna kula..

— Nie bluźnij, stary — upcминаł surowo xiądz — Bogu to jednemu wiedzieć, na co czleka

trzyma na ziemi, a pō co ci tam szukać daleko „miłosierněj kuli,” jak powiadasz w ciężkim grzechu braku zaufania w miłosierdziu bożkiēm, kiedy tu pod ręką stać się możesz użyteczniejszym, bo w obozach, których o jednej nodze długo szukać ci przyjdzie, jest komu i bez ciebie kaszę warzyć i chorych obsługiwać; tu zaś nasza panienska na zamku sama jedna, opuszczona, bo z dawnych slug, ci się zesztarzeli do reszty i już nogami suwać nie mogą, inni przenieśli w świat lepszy za dawnymi panami, możesz jēj się stać pomocnym. Zresztą to niejako powinność twoja, gdyż Wadwiczów z Leliwitami los dawno złączył, a już niema przy panie nikogo z was, bo stara szyprowa, twoja ciotka, przed, rokiem położyła się w szóstym grobie, około swoich pięciu.

— Mądre są słowa wasze, ojczy dobrodzieju, a ja sam tak myślałem, jako powiadacie, ale co tu zrobić, gdy mię panienska spyta o pana pułkownika, o ojca? — co inaczěj przecie być nie może.

— Powiesz, że poległ pod Możajskiem—odparł xiądz po namyśle.

— Skłamać!... a bodaj że mię profos!...—zawołał z oburzeniem stary wojak.—Od pięćdziesięciu przeszło lat, odkąd się włóczę po świecie, ani razu nie skłamałem!

— Kłamstwo to niewinne dla pociechy bliźniego i ujęcia mu smutku, które ci z góry rozgrzeszam — mówił xiądz, a potēm dodał: — Ale

pod warunkiem, iż spełnisz twą powinność, którą jest opieka nad panną i młodzieuchnym jej braciszkiem... Biedne opuszczone sieroty!... Nareszcie brak przy chłopaku mężkiej ręki, któraby go wyćwiczyła w wojenném rzemiośle, a ty jeszcze krzepki, podolasz temu... Leliwitom bowiem żyć bez tego nie przystoi, a kto wie, co tam ich jeszcze czeka? Idź, stary, w „imię Ojca i Syna i Ducha świętego” spełń twą powinność — zakończył kapłan, kładąc znak krzyża św. na poraném troską i ranami czole żołnierza, który rękę błogosławiącą do ciepłych ust przycisnął.

Odszedł xiądz, a wachmistrz sam w katakumbach przy grobie drogiego pułkownika pozostawszy, wyprostował się, rękę do furazerki przyłożył, jakby z żywym rozmawiał:

— Meldować mam honor panu pułkownikowi, że idę do panny pułkownikównej, Jego przeznacnej córy, a służyć jej będę wiernie, jakby pod sztandarem, a za nią krew do ostatniej kropli przeleję i to mizerne życie położyć gotówem!...  
*Wiw lamprer!*

Lecz nagle obejrzał się starowina, iż na ten okrzyk tryumfu nikt nie odpowiedział mu, jak za zwyczaj inny podobny, a tylko echo rozniosło go smutnie po murach grobowych. Dostrzegł smutnej rzeczywistości, iż i on bez swego dowódcy był, jakby sierotą, a sparłszy głowę o kamień grobowy, załkał głośno, jak dziecię... Po

chwili nagle otrząsł się z téj boleści i zaczął przemawiać, jakby do kogoś:

— Zaraz! zaraz! staję do apelu!...

Dopalało się jeszcze pod sklepieniem parę świec przy katafalku, które xiądz pozostawił — przy ich świetle rozpoczynał wachmistrz swoją tualetę, mrużąc:

— Stawić się przed panną pułkownikówną, trzeba to jakoś szarf i galancko, żeby nie zepsować opinii drugiego linjowego...

Dobrywszy szczotki z torby podróżnej, począł co siła szurować lachmany, które to miały mundur wyobrażać. Woskiem ze świecy wąsiska sobie nastuburczał... prostował się, musztrował rozmaicie, dodając sobie animuszu i wojskowej postawy.

A kiedy już według swojego rozumienia, był gotów do należytej prezentacyi, spojrzął na grób i znów go fantazya opuściła, znów padł na grobowy kamień, szlochał i łkał, jak dziecię... Aż po czasie oderwawszy się, jakby gwałtem, od drogiego grobu, zawołał przez niezatamowane łyzy, z całej piersi:

— „Allom, marsz!”

I tempem żołnierskim, nie oglądając się po za siebie, wyszedł z katakumb. Postępując dalej, dla dodania animuszu, podtrąbywał sobie rozmaite marsze pochodne, a czasem zakomenderował i jakoś owa krótka droga, prowadząca od ka-

plicy do zamku, z początku szła mu dość rażno, lecz gdy się zbliżył do mostu zwodzonego, który co prawda, już od dawna nie był „zwodzonym,” jakoś starego wojaka fantazyja opuszczała i znów jął mruczyć nie po wojacku, ale jak prosty śmiertelnik:

— A bodaj-że mię profos zagryzł... jak tu stanąć przed pułkownikówną, bez pułkownika, a do tego skłamać... ano prawda, xiądz rozgrzeszył to święte, ale zawsze kłamstwo dla żołnierza...

Przerzucał się biedak w tój niepewności z nogi na szcudło, to szarpał wąsiska niemiłosiernie, a trwało to jakich kilka dobrych pacierzy.. Aż nakoniec znów się wyprężył po wojskowemu i zakomenderował sobie nie na żarty:

— Do attaku *atubrid!* (à toute bride).

Zatrąbił sobie siarczystego marsza i literalnie klusem, na ile tylko ciężkie szcudło dozwalało, puścił się od mostu do krużganku zamkowego, zkąd właśnie wczora widzieliśmy wychodzący orszak pogrzebowy.

Kiedy już dogalopował wachmistrz do zamku, na krużganku stała dziewczeczka w czerni. Na ten widok, wojak, umitygowawszy pierwszy zapal, począł iść miarowym żołnierskim krokiem, trzymając palce przy furażerce, aż kiedy doszedł do panienki, wyprężony, jak struna, rozpoczął szeregowym, acz mimowoli nieco drżącym głosem:

— Mam honor meldować się pannie pułkow...



Dziewczyna pilnie się wpatrzyła w przybyłego, a jako dziecko żołnierskie, znając barwy pułków i dystynkcyą stopni, a dostrzegłszy wypłowiałych galonów na jego łachmanach wojskowych, nagle mu przerwała:

— Panie wachmistrzu, wy z drugiego linjowego, znacie niezawodnie pułkownika Leliwitę, mówcie, gdzie jest, tylko żywo—rzekła niespokojnie, kładąc rękę na sercu, jakby gwałtowne jego bicie uśmierzyć chciała.

Była to prawdziwie ogniowa próba dla starego wojaka, trudniejsza nad liczne ataki, które odbył w życiu. Pot zimny kroplisty wystąpił mu na czoło, ręka skostniała przy furażerce, a język kołem stanął.

Dzieweczka tymczasem, blada, z zapartym oddechem, drżącym głosem, ze złożone mi rękoma błagała:

— Co się stało z pułkownikiem waszym... a moim ojcem?.. Na miły Bóg! mówcie prędko!..

— Mam honor zameldować pannie pułkownikównie—jakaś stary, ledwie dosłyszalnym głosem — że pan pułkownik, Jój ojciec, pod Mo... Mo... żajs... kiem po... po...

— Poległ!...—zawołała nieszczęśliwa dziewczyna głosem, pełnym rozpaczey.--O, ja nieszczęśliwa, całkiem sierota!...

I padła na kamienie kruzganku.

Zbiegły się wnet niewiasty domowe, podniosły i ocuciły zemdloną.

Biedny wachmistrz tymczasem targając niemiłosiernie węża, karcił się swoim zwyczajem:

— A bodaj-że mnie profos!... to ten xiądz wszystkiego narobił... czy nie lepiej było iść w świat?...

To znów się biedaczysko pocieszał, mrużąc sobie:

— Ano jakoś to gładziej poszło, niżli mogłem się spodziać, a zawsze może się tu na co jeszcze przydam.

Nazajutrz w kaplicy odbyły się exekwije za duszę pułkownika, wszakże xiądz z wachmistrzem jedni tylko wiedzieli, iż te miały charakter pogrzebu.

## IX.

### Wyprawa ostatniego Leliwity.

I znów z łaski wachmistrza Leliwici na nowo zrosli się z Wadwiczami i dobrze im było, o ile dobrze być może przygnębionym. Ubogie gospodarstwo w sprężystym ręku Wadwicza, szło różnie, i jeżeli nie było zbytku, to mierność uczciwa, przy której brak drogich sercu oplakiwali.

Szczególniej przydał się wachmistrz małemu Polciowi, którego od dzieciństwa do wojaczki wprawiał. Rósł tak chłopczyna pod wrażeniem bohaterskich opowieści starego żołnierza, a od dzieciństwa myśl pomszczenia ojca już w nim zaświtała. Siostra, zastępując mu matkę z pomocą xiędza staruszka, uczyła tego, co sama umiała, a najprzód, jako każdego Leliwitę uczono syllabizować na stariej bramie zamkowej — „lepsze imię dobre, niżli maście drogie” — i uczyli od chłopięcia szanować to imię, a nie sponiewierać go w kale brudów i zobojętnienia... Tak to ongi bywało!

Żyliby tak może długo i szczęśliwie, bo już i młody Leliwita, stając się mężem, był pomocą nieco podstarzałemu wachmistrzowi, gdyby nie ozwała się po latach trąbka wojenna, a na jej odgłos młody nie zadrgał całą piersią, a stary nie odmłodził...

I wyruszyła garstka walecznych, według odwiecznego zwyczaju, pod wodzą nowego Leliwity.

Jako historykowi murów, wiernemu swojemu zadaniu, iść mi za nimi nie wolno, ino na miejscu pozostać. Cóż jednak w zamku nowego? W nim pozostała Leliwitówna, dziewica choć w sile wieku i krasy, lecz urok marzeń i dum jej młodzieńczych utonął w przybranych uczuciach macierzyństwa dla młodego brata.

Nie czekała wszakże długo pani zamku na powrót nieobecnych, a zaledwie strawiła w oczekiwaniu tyle miesięcy, ile jej matka lat.

Pewnego dnia znów zjawił się na zamku wachmistrz, ten sam, jak przed laty, może nieco więcej przygarbiony i smutniejszy. Znów wąsy smarowidłem najeżył i z równą, jak dawniej, nieśmiałością, krokiem miarowym, zbliżał się do zamku — i znów pani wystąpiła na krużganek, nieco wprawdzie odrapany i pochyłony ku upadkowi — i znów wachmistrz, wyprężony, jak struna, przyłożywszy palce do furażerki i głosem obozowym, recytował, jękając:

— Mam honor meldować się panie pułkownikównie...

— A Staś!—przerwała mu żywo pani.

— Pan chorąży, bo tój rangi po pierwszej batalii dostał—odpowiadał, co raz bardziej jąkając, starowina—pod Gro... Gro... Gro...

— Polegli!—przerwała mu młoda kobieta, ale już bez spazmów i mdłości, jak niegdyś po ojcu; a z ciężkim smutkiem, którego nawet dobroczynne łzy zalać nie chciały, dodała spokojnie:— „Lepsze jest imię dobre, niżli maście drogie” — i jam ostatnia ze swoich została, o, Boże! kiedyż mię do nich powołasz?...

---

W roku 18... będąc w B., widziałem całe miasto splakane, dążące za prostą trumną ubogiej zakonnicy Matki Marty, przełożonej klasztoru p.p. Maryawitek: płaczący opowiadali, iż przez długie lata zmarła „matka zakonna” była opiekunką ubogich, pocieszycielką stroskanych i nauczycielką dzieci. Ktoś z bardziej w tajemniczonych w życie zmarłej, szepnął mi, że na świecie zwała się zmarła *Julia Leliwitówną* — czyli tak było w samój istocie, sumiennie zapewnić nie mogę, bowiem świątobliwa matka, nie wiadomo, dla jakich powodów, przeszłość swą światową starannie ukrywała.

Wracając z B., droga mi wypadła na Leliwitów, poszedłem obejrzeć zamek, o którym przed tём już wiele słyszałem.

Aż mi serce zabiło, gdym ujrzał zdaleka setki rąk, pracujących około starych murów, a rzęsne stukania młotów, radośnie mi się w sercu odbiły i pomyślałem sobie:

— Ha! Bogu chwała! zamek odbudowują.

Nie czekając, aż się naocznie przekonam, niecierpliwy względem odkrycia miliej rzeczywistości, zapytałem spotkanego robotnika:

— A co to, przyjacielu, zamek odbudowujecie?

— Ej, gdzie zaś, proszę jegomości, walimy ta zwalić nie możemy, takie to jakieś twarde i zakamieniałe...

— Dla czegoż walicie?

— A to, proszę jegomości, Moszko kupił te mury z licytacji i odprzedał nowemu grafowi z sąsiedztwa, który z nich cukrownię buduje.

— O, bodaj-że mu tak było słodko, jak mi jest w tej chwili, widząc tę obojętność dla przeszłości!—pomyślałem sobie.

A z głową rozczarowaną i smutkiem przytłoczoną, udałem się dla obejrzenia znanėj mi bramy zamkowej: stała, napół zrujnowana, a na wierzchu wyraźna jeszcze część napisu, jak po uderzeniu pioruna:

„Lepsze . . . . . maście drogie.”

A na ten widok smutny, mimowoli przyszło mi na myśl ono przedśmierne majaczenie staro kasztelana:

„Pilnujcie imienia, bo skoro je zmażą ostatecznie z bramy zamkowej, biada wam, już po was będzie!”

Snać stary nie majaczył, ale prorokował.

K O N I E C.

**INSTYTUT  
BADAŃ I TWORCZOŚCI PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**

<http://rcin.org.pl>



# SPIS ROZDZIAŁÓW.

## CZEŚĆ PIERWSZA.

<i>Rozdział.</i>	<i>Str</i>
I. Niedobitki . . . . .	1
II. Dzwon rodzinny . . . . .	18
III. Historia murów . . . . .	38
IV. Leliwa . . . . .	47
V. Dębno. . . . .	54
VI. Doczekali się! . . . . .	62
VII. Łoże ostatnie . . . . .	108

## CZEŚĆ DRUGA.

I. Wydziedziczeni . . . . .	112
II. Pod pięcioma krzyżami . . . . .	124
III. Dziewica-mężatka . . . . .	184
IV. Lepsze imię dobre, niżli maście drogie . .	192
V. Miodowe miesiące . . . . .	199
VI. Piorun . . . . .	204
VII. Powrót . . . . .	212
VIII. Leliwitówna. . . . .	217
IX. Wyprawa ostatniego Leliwity . . . . .	225



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



F  
434